

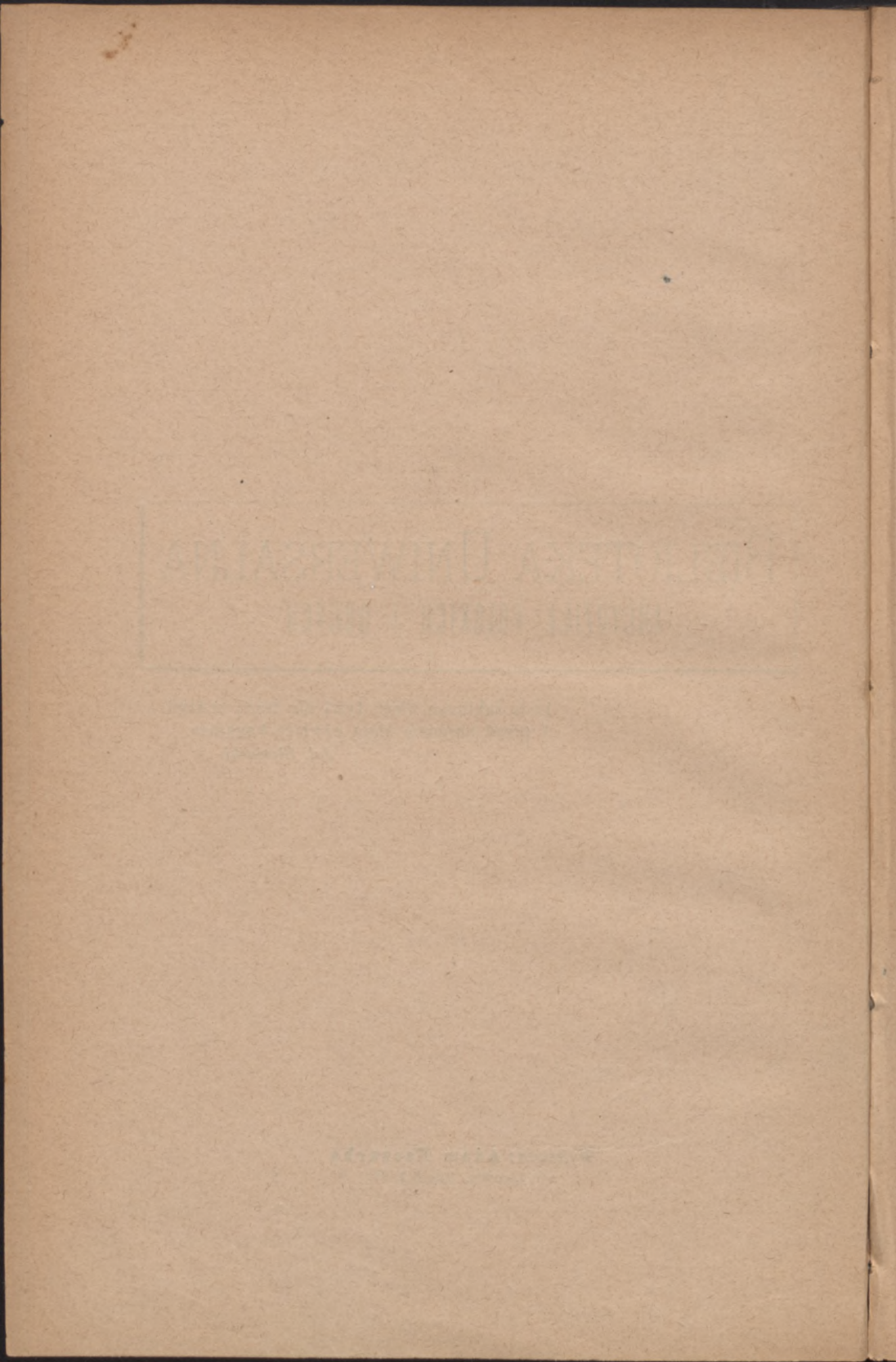
38 № 38

BIBLIOTEKA UNIWERSALNA
ARCYDZIEŁ POLSKICH I OBCYCH.

Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.

Jul. Słowacki.

Wydawca: Adam Kaczurba
we Lwowie, Rynek 1. 37.



Wyborowe

P I S M A

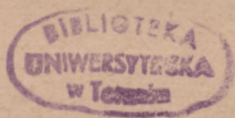
Dominika Magnuszewskiego.



LWÓW.

Wydawca Adam Kaczurba.

1884.



325612

NIEWIASTA POLSKA

W TRZECH WIEKACH.

Sbr.

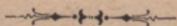
LUDWICE Z BORAKOWSKICH RACIBORSKIEJ

matce mojej

w dowód poważania
szacunku i synowskiej miłości

poświęcam.

Niewiasta polska z XI. w.
Małgorzata z Zębocina
czyli
krwawy chrzest.



THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON

Przedmowa.

Przyszła na mnie pokusa, z którą nie wiem jak wyjdę na świecie; ona mnie już ciągle ku dramatyzowaniu zdarzeń o czystych pędzi i zgina kolana przed każdym objawem cudu charakteru, które w kronikach naszych rozlały się szeroko, pogmatwane nieraz, którym świecą częstokroć symbola mistyczne przeżytej mocy a żywej siły, dawności czynu a świeżości skutku, którym wreszcie brak tylko dobrego opowiadania aby dzisiejszemi były.

Spowiadam się z tej pokusy właśnie na dobre, bo ona dała początek trzem obrazom niewiast, które tu umieszczam; bo ona zarysowała mi i szranki roboty i cel jej wskazała. Zaiste gdybym był sobie założył napisanie powieści dla zajęcia i zabawy, bez szczególnej myśli, może ni takie zamiary, ni taki wybór byłby mi przypadł do serca.

By więc je odkłnąć i wyluszczyć czem one, chcę zagadać do czytelników, powiem ich pierwotwór.

W czytaniu dramatów naszych uderzała mnie ciągle jednota moralnej strony przedstawianych bohaterek niewieścich.

Historja czynów, wiekowa różnica zdań, odcienia myśli porodzonej w jednym okresie a kończącej w drugim, jeszcze

się jako tako wybijały piętnem w charakterach męskich; bo im w pomoc przychodziły imiona Chodkiewiczów, Sapiehów, Glińskich, Żółkiewskich, co jak drogoskazy historyczne, w sztuce przypominały mniej więcej czas przedstawionego wieku.

Ale niewiasta, bohaterka dramy wciąż wieczna, wciąż ta sama i językiem i uczuciami, czynem; matka, kochanka, żona, siostra, czy za Bolesławów, czy za Zygmunatów, czy Sasów, wszędzie uczucia jej jednako wyrobione, czułe jednako, jednako wydane.

Więc historia jej serca nie miałyby swych peryodów, jak historia czynów?? Więc uczucia w niej nie miałyby cieni wiekowych? Więc w życiu prywatnem, więc w obcowaniu domowem wiek następnemu wiekowi nicby nie przysparzał, nicby nie wyrabiał, nicby nie dodał? Niewiasta, ów wyraz prywatnego życia, ona przeciwniczka publicznego zawodu, owa tama publicznemu morzu, coby nas z objęć cywilizacji wyrwało, gdyby ona w okół nas nie opisywała świętym kręgiem krewieństwa, powinowactwa, miłowania siedziby i domu, miałażby być bez dziejów, bez swych własnych dziejów i jej czyny a myśli w kształt lub na przekór czynom męskim różęcy nie miały?

Przyszłażby do tryumfu komnatnego podbicia serc naszych bez walki, bez trudów, bez chwytania co wiek myśli urabianych w świecie, bez postępu w nim? Gra jej miałażby być tylko dla naszych uciech, rozkoszy a nie dla pożytku społeczeńskiego, nie dla powszechnego życia narodów? A choéby i tak, toż sposoby w jej walce byłyby co wiek jedne i te same? Przebóg! toć przecie leży linia przedziału między matronami prapradziadów naszych a naszymi matkami, jak między matką a dzisiejszą kapryśną, spazmową kochanką naszą.

Czyż klasztornicze wychowanie, dyszące jeszcze do Zygmunatów czasu, podobne mogło rodzić w nich myśli jak edukacya salonów lub uczycieli paryskich? Kochać i czuć nie można bez zachcenia, a jednakież będzie zachcenie w sobie czytającej na biblii lub czytającej romanse? Czyż przeznaczenie niewiast w dawnych wiekach nie miało nigdy innej my-

śli Stworzyciela nad myśl, którą w obecnym okresie życia narodów zajmuje?

Wszystko walczy, postępuje, ma cel, doskonali się, urasta, wpływa do ogólnych mas życia a jedna niewiasta jak machina umizgów i pokarmu, w pierwszym słowie wieków, w pierwszym poczęciu się historyi stanąć żeby miała jednym skokiem od razu na pierwszym i ostatnim szczeblu przeznaczenia swego?

Dawna rubaszność, to znów późniejsze okrzeseanie męża, czyż z samej jego wyszło przyrody lub ocierania się z sobą, czy więcej winniśmy ją powolnemu ugłaskiwaniu miękkich rączek niewieścich?

O! u mnie zawsze w myśli stawały dwa obrazy przeciwnieństwa, dwa wyrazy rzucone w całej naturze, co są może zagadką powszechnej walki, którą całość światowa żyje: mąż i niewiasta — siła i oddziaływanie.

Moc, co gnie, moc, co dając się gnać, opasuje wraz obłączystością swoją siłę gnącą i wciela ją w siebie. Może tym sposobem wciela się ziarnko w ziemię, granit w skałę, wola w czyn, boskość w ogół życia!

Może tym kształtem idzie ruch życia natury, jak ruch życia stapiającego społeczeństwa, a w niem niewiasta ujęła szamocącego się męża w pięściwe swe dłonie i póty ku sobie i ku czuciom, w których się rozmiłowała, nagina go i ciągnie, póki on z publicznego życia nie poślubował jej domowego; póki nie wydarła choć cząstki serca dla siebie, co dawniej li dla ogółu biło; póki mu nie wynalazła stanu w stanie, stanu osobistego, domowego w stanie ogólnym społeczeńskim.

Jak matka pszczół, wyrobiła ludzi na rój — i już teraz ino historyk, filozof, by naturalista jaki, zdoła się wybić ze swego roju i wznieść do idei całej, rodzajowej.

Ależ ta walka niewiasty z życiem publicznem, to nie jednodniowe, ani jednowiekowe dzieje!

Od porwania Sabinek latają niewiast ręce między mieczem bijących się mężów i braci.

W feudalnych czasach już biorą krok nad ludźmi, dotąd panami ich i czarują oczyma swemi kochanków, rycerzy. Mąż z walki o idee przechodzi w walkę o niewiasty! Niezabawem

kobieta ścieśni krańce swego władztwa, aby wypadki więcej zależały od jej siły.

Amazonkami zapróbuje, czy mieczem nie utrzymałaby wyższości nad mężami? Amazonki przepadną; nawet oręza z rąk ich wypartego historyra nie uczci słusznem wspomnieniem ino śmiechem.

Niewiasta poczuje, że straci na walkach w polu otwartem.

A więc ima walkę komnatną na stopniach tronu, w dworach w zamkach. I w jej dziejach rośnie nowa figura, walka ogólna, na świat wyznanie: To faworyta, to pierwszy uroczysty szczebel góry niewieściej nad życiem publicznem: to krok od Sabinek do pani Mentenón, a od niej jakże maluciejje opór mężów!

Kiedyś niekiedyś bohater jaki rzuci całą wysokością barków i ujmie za życie społeczne, aby je wskrzesić, podźwignąć, obudzić. Posypią się ognie rewolucyjnych pożarów, popłynie krew, ale daremnie; bo człowieczeństwa rzeka, przedzierzgniona w domową rzekę, wraca w objęcie prywatnego życia, pieścić się, kochać, domować,

Owoż dzieje serca i walki niewieściej z mężem, ogółem, owoż siła gięta a gnąca. I jakże chcecie, by w takiej szermierce postać i kształt walczącej, usposobienia jej moralne i wewnętrzne były zawsze też same i jednakie?

I jakże malujecie, gdy wam kolorytem nie cieniowana historia jej serca, nie różnica wiekowa jej uczuć, nie różnica walki — ino wiecznie wzdychająca pierś krągła lub niebieskie oko?

I jakże myślicie? Czyż dosyć waszej lalki, by nagiąć cały bijący trysk ludzkości w swe łono, aby ku niemu wzdychał i zwrócił się od koleby publicznego zawodu? Czyż krzyk Sabinek, a szarfa rzucona rycerzowi z krążganku — a podwiązka opadła na dworskiej posadzce — w jednych i tych samych usposobieniach podejmowały walkę z przeważnym nieprzyjacielem? Czyż jednakie pieśczoty przystałyby Kazimierzowskiej Esterce, a lubaszce Marynie? Jednakimże wyrazem i o jednakiej miłości mogłyby obie opowiadać swoim kochankom?

Badajmy i nasz język, czy w nim nie najdą się cienie

doskonalenia się uczucia, które my zowiem miłością? W pierwotach prędej była chęcią, nim się na lubowanie ścieniowała, nim z lubości przeszła w szal, w namiętność.

Chuć, chęć dysząca fizycznością, zachceniem.

Lubosc, kędy już świta moralny pociąg w zachceniu — związek — harmonia i Apoteosis, szal, namiętność, kochanie; kędy człek szaleje, tumani i przypada w kolana, jak bóstwu niżąc się niewieście.

W tym przerobie jednego uczucia jednakże tylko strona męzczyzn się przerabia? U niegoż jednego mięknie pojęcie lubości? I skądże jeżeli go przedmiot uczuciowy nie wywołuje sam?

Lecz skończmy dowodzić to, co jest jasnem; skończmy dowodzić, że serce niewiast miało i ma osobną historję, że uczucia kłują się, rosną, doskonałą i kwitną.

Pomińmy nawet ogół — niewiastę, byśmy szczegół — Polkę — wzięli i powiedzmy, jak ona w dramatach i powieściach stać winna.

Jeżeli jak dotąd wprowadzenie jej na scenę dramy czy powieści będzie tylko epizodyczne, dla podłatania dziejowych czynów jakimś zajęciem człowieczem, jeżeli miasto nici wiążącej i poruszającej przedstawiane działanie mamy tylko używać niewiast i jej uczuć, to warto raczej wrócić do fatum starożytności lub scholastycznego ostracyzmu niewiast ze sceny; boć wspaniałej, aby wołał grzmotowładnego Jowisza jak Niemkini Ryxy zginęła Ludgarda.

Ale gdy prawdy lica mają zajaśnić w widowni opowiadań i przedstawień, gdy kobieta wywołana w szranki pewnego czasu ma nam odegrać swój wpływ, swój przekor i swój udział w wypadkach, to precz odrzućmy ideał jeden i ten sam, co się kończy i zaczyna na tem „aby była gładka i skochana“, a ubierzmy ją w prawdziwe rysy jej duszy.

Żona pół-bałwochwaleczego Lacha niech ma chuć, wszak niech ma serce jeno co nagabywane początkowaniem chrześcijańskiego wstydu. Daleko jej jeszcze do wewnętrznych walk z sobą; czyn u niej bliższy zachcenia, chuć u niej pierwsza jak niebo, bo i w jej niebie jeszcze chuci obraży. Pieszczoty

jej do męża rwą się nie wywołane, lecz wywołujące, niestrzeżone, niebaczne; tryumfem jej skradziona chwila od konia i walki.

Ona błędów nie zna, ino zbrodnie. Piersz jej nie wzdycha ale piszczy jak źrebiec w stajence. A dusza ma wprawdzie widzenia miłośne, ale w nich siedziba ciemnych rojeń bałwochwalczych, w nich marzy o skłęciach, czarach, ziołach, jakimiby męża shaczyć ku sobie.

W okresie wzrostu europejskiego chrystjanizmu i Lach pobożnieje; już go od pola i bijatyk kościół jak dom trzymać siluje. Krojem zakonnym poczyną chodzić, poczyną myśleć i mówić polska białogłowa. Oczy swe i czoło, co przed ołtarzem nauczyła niżyc, to teraz chcąc uczcić męża, uwstydlia ją przed nim i korzy.

W ustach jej „mąż i pan.“ W pieczętach oględna, baczna, niezwołana, nie rzuci mu się w ramiona. Chuć słabnie, lubości jeszcze nie ma; ale w myślach zatęsknienie większe, w boleści płacz, w samotnej siedzibie majaki.

I Lach przesiaduje trocha, gęściej powalczy z wilkiem niż z Wołoszą, a w polu poczyną dumać o domie. Aż dalej wpływ obczyzny, więcej wyrobem uczuć spieszczonej, leje się do Polski dworem zagranicznych królowych, co z naszymi królami się pościelają.

Zamorskie zbytki, niemieckie Helźbietów i Annów Austryaczek powagi, ctykiety włoskie, Bońskie rozpusty, dalej kawalerskie Francuzików umizgi kołatają w zakonne schowanie dziewy polskiej i posażą światowemi zaloty.

Już serce śni, oko wybiera, dusza przemyśliwa, przeczuwa, kojarzy się z urobionym sobie wzorkiem na małżonka.

Aż wreszcie Polka poczyną rozumieć walkę ogółu — niewiasty z publicznem życiem; wiążą się z postępownemi natarciami kobiet innych krajów i rosną władczyni, faworyty Urszule — Maryny — Zuzanny — i masz nieraz tajemnicę publicznego wypadku zasnowaną w alkwie kochanki.

Tu dusza, óko i język przemawiają dopiero w polskiej niewieście śpiewniejszem rozkwileniem, cieniowanemi krokami żądzy i skromności, lubowania i namiętności. Tu chuć żadna

lub przelotna chyba jako szczególność gdzie wysłiznie, ale prawdziwe panowanie lubości, co o ciele i duszy myśli, co ma już krój namiętny, a przecie jeszcze szalem XIX. wiekowym nie jest. Od nich krok do markizy Poniatowskiego króla.

Ten trójwzgląd postępu uczuć niewieścich stworzył moje: I. Krwawy Chrzest — II. Barbarę jeszcze, Gasztołdową żonę i III. Posiedzenie Bacciarellego.

A właściwie te pomysły z historii kobiet rzuciłem sobie na papier jak szkice, jak punkt oparcia się w różnicach, gdy mi przyjdzie dramatyzując naruszyć którą z tych epok. Powoli te szkice jeły się wypełniać, wyraźniejszą przybierać formę i żywiej mi przemawiać.

Do owych dowolnych odstępów między Bolesławem Śmiałym a Zygmuntem Augustem i od niego do Stanisława króla, poprzyczepiały się w umyśle moim przechodowe odcienia, i cała wielka historia kobiecego postępu w uczuciowym życiu poczęła mi się ludnić.

Alem ją zaniechał na teraz, bo zawodem moim nie była pierwiastkowo ta praca, ino jak powiedziałem skreślenie sobie szranków, w którychbym się szanćował, gdy mi przyjdzie w dramatach czepiać się jakiego charakteru niewiasty.

Dlatego sprzedaję tę pracę za to, czem jest, za szkice może ciekawe pod względem sztuki, ale nieobaczne, ostre pod względem zajęcia romansowych czytelników, chyba że chcą być więcej zgłębiającymi jak zabawionymi.

Nie bez celu zacząłem ją powieścią, kędy zazdrość mężów przyciąga ich w łono domu z dalekich obiegów na Ruś. (Chuć niewieścia.) Kto wie, może to historyczne zjawisko uczyniło później nasz naród nie tak pokwapnym w bieganiu na cudzą ziemię?

Stratą zdrowia jego się wartość poznaje; stratą domowego szczęścia może poczęli więcej domowymi być te Lachy.

W dramacie Barbary chciałem dać obraz łamania się pierwszego typu narodowej białogłowy z napływowemi włoskimi uczuciami; jeżeli się tam zakonne schowanie dziewicy przeży w potoku bijących nań nowych myśli lubowania, jeżeli wahanie jej ostrego wstydu łamie zwłoszczona pierś Augusta, jeżeli

w tej samej piersi młodzieńczej tętni coś chropawego lackiego ducha — tom wygrał, tom oddał dramę, jaką chciałem napisać; dramat nie czynów, ale uczucia; dramat dziewczicy polskiej, konającej z odrębnem swem życiem.

Mogłem w niej zbłądzić chronologicznie zachowaniem dłużej przy życiu Gasztolda, Trok wojewodę, a bardziej zawczesnem oświadczeniem się Zygmunta z myślą o Barbarze. Ale nie tak dobitnie przemówiłby do nas skok Barbary z jednego życia umysłowego w drugie i odcień strawa męża Gasztolda nie dość żywo ścieniowałaby zwłoszczony Zygmunt charakter, gdyby była nam nie żyjącą figurą, ino wdowiem wspomnieniem.

Ostatnie, Markiza i Pani Krakowska, to już polityczne intrygantki, to już życie publiczne przywołane przed kratki salonu.

Lecz i tu jakże wielka przemiana wije się w tym okresie uczuć kobiecych! Jaka różnica niewiasty elekcyjnego kraju z niewiastą Francyi? Luli i pani Grabowska, to nie proste rywalki o kęs miłości, to rywalki wychowaniem, rywalki środkami językiem i ułożeniem.

Dworeczność południa podchodzona śmiałością Sarmatki — rubasznosc Polki podchwycona w samej chwili tryumfu wybiegiem sztuki nadsekwańskich zalotów, a piłką ich gry król — a ramami dyszące krwią wstrząśnienie kraju.

Czym dosięgnął com zamyslał i czym dobrze zaryślał, to już nie do mrte, ale do krytyka — a o takich gorąco modłę, bo sprawa sztuki, bo sprawa idei niewieściego wpływu, i oddania jej w dramatach i powieściach, warta roztrząsań, chociażby do nich mierność mojego utworu z siebie sama nie dawała powodu.

Pisałem w Zabuczcu.

I.

Krwawy Chrzest.

Roku 1074.

Na piaskach, nie spytanych jeszcze o imię, siedziało ze dwadzieścia dworców; jedne się zawlekły jak żaby ku wodzie, drugie tuż przy nich, ale wynioślejsze, jak trzcina wodna; a trzecie poodskakiwały bokami ku lasowi i jak grzyby nisko przycupnęły ku ziemi.

Te, co przy wodzie, wyciągają długie szyje, jakby drzewem chciały naśladować płynienie rzeki; ale im wkrótce urywa się szyja, strzecha spadzisto z szczytu na kark leci, tłoczy ku ziemi, ostro je kończy — a co dwadzieścia stapań masz taki dworzec, takim kształtem, tak drugiemu do miary jak drugi pierwszemu.

A to są szlacheckie wspólne komory — zabudy.

A wspak tym dworcem, o kilka stajań koni, inne co siedzą pod lasem, to mają czoło w pole kołami dębowemi zabite, w górę nie spojrzysz nad głowę człowieka; oba boki zataczają ku sobie w stronę lasu, a od tamtej strony otworzyste; ścianą im żyjące drzewa, które im dach trzęsą z liści zielonych.

Dosyć i tego, bo tam konie mieszczą, a owi, co z nich zsiędą, jeżeli przedniejsi, to idą do owych trzecich dworców, u których strzecha wyżej nad inne w szpilkę wylazi, a których oczy wydlubione w ścianę, niby żywe, mają zszywane powieki z zewnątrz. Budowa ich prosta, lecz w owe czasy już wybredniejsza nad wspólne zabudy. Coś i zbytku tam widać, lubo ten zbytek jeszcze w drzewie, jeszcze w zaciesaniach majstra, lub w doborze mchu ku szpar lepieniu.

Boki tych dworców cztery i słupów w bok jeden cztery, a od nich w kształt ziobier kładziono dwoje inakich, z jednego rogu od stóp słupa pochyło sady się jeden, na przekor mu z drugiego słupca kuleje drugi, oba ściskają się w środku, brzuchami słojów wadząc się o siebie — po zwadzie jeden górnym końcem leci z pochyła ku strzesze, a drugi drugim, nierównie, sękowato, a nieraz tak się zgarbią jakby wyglądały za siebie; przecież idą w górę i tam trzymają bale strzechowe.

Zewnątrz tego układu nie widno, bo dębowe koły w rząd kładzione; ale wewnątrz dworca świecą te sploty, całe zdobne korą, od natury utkaną w śniegi, na niej bitwa miąższości drzewa z łykiem młodocianem wypisała się rozrywaniem taśmy lub sękiem, a jako walka poostawiała po sobie szramy.

Jednakowość owego wnętrza przerywa brzoza biała swą bielizną, w którą się ubrała do lasu; lecz za to na nią jedną czterdzieści dębów rozdziawia porąbane konary, niemi wszere i wzdłuż cisnąc zaplątaną ścianie płaczką borową; ona ich jednak przedzierzgnie i krzyż biały na ścianie ułoży; pod nią to staje ława dębowa, na niej przysiedzie Supanova żona, zwoławszy ku sobie stół czworonogi, dobrze mokrym piaskiem wyczesany.

Tak siedząc ma wprost siebie dwa łoża drewniane, flamskiem płótnem skryte, bieluchno zawdy ku nocy i we dnie ubrane, jak owa w krzyż brzoza; z pod płótna wysłiznie się czasem zielony mech, pieszczona pościółka swej pani.

Tak siedząc Supanova żona ma bokiem odrzwie do sieni kołkiem krzywym zaspilone, a ów kołek siedzi w dziurze drzwi na wskróś; jednym końcem patrzy w sień, skrzywionem ramieniem trzyma odrzwie komnaty: weźmiesz go za koniec od sieni

to ramię krzywe podskoczy w górę klepki, na której spało — dygotnie, przepuści cię do komnaty i uśnie na klepce, w której już sobie siodło wyrobiło.

A tak siedząc Supanowa żona, kiedy podłuży okiem w oko dworca, widzi przed się płynącą Białą-Wodę¹⁾ dalej goniące się drzewa w lesie, z pod nich brzuchate stajanie koni, skosem dymiące przyrodne budy szlacheckie, a ona to wszystko dobrze widzieć może, bo jej komnata siedziujak purchawka nad ziemią; pod nią, jak pod okapem purchawki, piwniczne mieszkanie, gdzie siedzi albo szczur domowy, albo Węgier dworcowy, albo piwo, co w cztery sudziny sadzone, cztery rogi stołu obstawi.

I takim krojem siedziała Swatochna, Supanowa żona, w komnacie swej, a pan jej mąż Owada miał fórtę złotą o dwoje drzewi, na niej korona — to był jego znak.

Po chrzcie zwał się Jan, po mieczu Owada. Po domu nosił giermak szary²⁾ — po polu bechter z mieczem u bioder a miał biodra szerokie i miecz szeroki, nogi krepkie i tabuna krepkiego — o rękę nie wiem, ale wiedzą Węgrowie. Dworzec ten stawiał sam, bo ojciec mu jeszcze się lasem odziewał, kiedy chciał spać, a matka go łykiem wiązała na noc do konia, kiedy koń spasać miał. Tak się kolebał Owada Jan. Ojcowi jego Węrowie nie dali długo żyć, syn przeto gdy dworzec budować miał, czworo tych Węgrów zwiózł na kulbace, każdego sam łeb i we cztery rogi posadził ich w ziemię, by mocniej dworzec stał, piątego chłopięciem zasadził żywego w ciemnicy pod dwór i jeść mu dał i pić mu dał i żyć tak bez widna już lat ze trzydzieście popuścił, krzyżem go ino świętym i wodą święconą na ten skład podziemny zżegnał — a on, co siedział tam, słuchem miał rachować stapanie pana swego i słuchem ino uczyć się o chodzeniu.

A nie sam jeden co tak dzielnym był Owada Supan. W podle mu urobił także dworzec Mikołaj Wścieklic — ten znakiem Bończe miał: a za niemi tuż trzeci równy Supan im, Porczyk ze znakiem Byka, usiadł.

A tak Supańskie dworce jako pierścienie węża między swej szlachty dworcami perzą się i strzeszą.

Od Wścieklickiej bramy sadzi białogłowa mimo dworca

Owady — weszła w sień, kołek na klepce dygotnął. Zbudził oczy Owadowej żony, zbudził jaskółkę modlącą się nad okiem dworca; przez drzwi wleciał wiatr, bazarz leśny, a za nim weszła Helźbiena, Mikołaja Bończy żona.

Od Poryckiej bramy sady białogłowa, puszcza dworzec Bończy bokiem, mimo dworca Owady — weszła w sień — kołek na klepce dygotnął, zbudził oczy obu żon Supanowych! Zbudził jaskółkę modlącą się nad okiem dworca; odrzwiami wleciał wiatr, bazarz leśny, a za nim Helgunda, Porczyka żona.

Okolify się ramionami, siadając na ławie i pojrzały sobie w twarz, poczem rękawy fałdziste zleciały im aż do kolan, upięcia ich głów odtarły się od siebie, brzeżone taśmy zawisły na czoła i trzy przepaśnice ich troich adamaszkowych stanów, między piersią nad łonem zaciśnione wróciły w karb itak zasiały Supanowe żony: hoża Swatochna, krasna Helźbiena, krągła Helgunda.

Poczęły szyć, jedna w kwiaty flamskie płótno, druga jęła kądziel swego lnu, trzecia czehel swój: a brody ich przy takowej robocie zaściebiły się w żalózkę bramowaną bogato w złotą kompankę; i ono troje oczu siwe, czarne i modre, latało w koło stoła, by orzeszne wiewiórki.

A gdybyś spatrzył ich przez okno dworca, a miał w sobie ducha ojców naszych Sławian coś, to tak siedzącym za stołem, w szare zagubionym powłoki, przywiódłbyś cielca i cielicę, barana a owcę, kozła i kozę, kura i kurzyce, a kijem bijąc te ofiary, wołałbyś: —

To wam Ziemniaki, Bogi wam.—³⁾

A nie pierwszy to dzień jak siedziały Supanowe żony same bez mężów. Nie pierwszy to rok, ale siódmy, jak Owada Jan, Bończa Mikołaj, Porczyk Byk kopnęli się z dworców na przelaj na Ruski lud: boć im Bolesław król ostrogą był. Pogonił za śniegami na zamróz, a leciał daleko jak zapadał śnieg.

Śniegowi lecieć daleko, bo ma skrzydła strzałki. Bolesławowi gonić z nim, bo ma skrzydła husarskie. Śnieg padł aż pod Kijów; król spadł aż na Kijów i tarabani mieczem u bram a z nim Supani i Lachy. A lecieli nakształt jednego konia — Bolesław król by głową był — w grzywie Bończa Mikołaj.

Porczyk Byk, Owada Jan, szumieli skrzydły, drgali mieczem, jak u grzywy włos, w ogonie zaś wielkiego konia zajazdu szlachetne hufy lackiej krwi, ów z prawa, ów z lewa, ów bokiem, ów w czoło bieżali w Kijowski mur, i tak się kończył lacki ów koń, którego głową Bolesław król był.

Dawno to było!

Białogłowom nuda, choć ich mężowie nie przyuczili do boków swych, boć oni jeszcze więcej siodło chodowali, niż żony swe; ale i chwila skradziona od konia milsza im była i dwułożne sypialnie za szerokie im teraz bez panów w dworcu; a przez siedmioro lat tak się rozprzestrzeniło, że białogłowom nie wyleżeć do rana; tyle tam nakładły myśli i rozmów na drugie łoża.

A na początku myślały o tem wiele przez lat dwa, schodziły się ku sobie. ale o tem nie gadały — a po czterech latach myślały więcej, schodziły się ku sobie i poczęły gwarzyć a po sześciu leciach myślały z odkazowaniem na mężów, schodziły się — i otóż są u Owady żony.

Najśmielsza też między niemi Owadowa żona, bo krewka i młoda, bo roczkiem ino przed owem biegiem na Ruś została niewiastą w zawitce.

Szyjąc tedy czeheł swój oczyma gęsto na podłogę zbiegała, i tam jej oczy jakoby w białej wodzie tonęły.

Oj! czemu tak?

Bo te modre oczy, kiedy sama była, już dosyć a dosyć nalatały się w komorze — z łoża na wiązanie ścian, ze ścian na brzozę w krzyż, z krzyża na fórtę złotą, o dwoje drzwi, a wszystko to jej pana Owady; a serce jej piszczy jako źrebiec w stajaniu.

Zrachowała szpary w dębowej podłodze, falowanie łyka brzozonego na sękach, Jana nie ma; a serce jej piszczy jak mokra gałąź w ogniu.

Nastała się okiem w oku dworca, że mało nie przyrosła tam.

Na zielonym boru chciała już białych nici zimowych — doczekała nici; to chciała by słońko z nieba przylepiło zie-

lone zawitki drzewu na głowę, i drzewo się zawilo zielono, a pana męża nie ma.

Czemu tak?

Bo Owada wziął z sobą słońce swe Bolesława króla; dopóki on świecił na Ruskiej ziemi Owadzie, nie ma zimy, wiosny; nie ma żony, dworca, śniegu i liści.

Owadę grzeje kord — Owadzie śmieje się koń, Owadzie każda godzina wryta jak słup.

Jak wioskę spali, to przejdzie dzień; jak wróga zwali, to mknie godzina.

Jak krzyknie król, to rok wybija. A kiedy w końcu rohatyna ruska zwadzi mu bok i krew wypije, to mu tam wreszcie po bitwach, po wioskach, po bliznach na piersi porachują wiele żył lat?

Więc Swatochnie tonęły oczy w podłogę i coś tam zawiadziała. Schyliła głowę niżej i usłyszała głos z ziemi głęboko, z ciemnicy

To ruszył kajdanami Węgier jeniec.

Szparko pobiegła oczyma do ocz Helźbiety, już i Helgunda sprzęgła z niemi swe siwe galki.

Wszystko troje posłyszało węgrowy ruch, ale jedna Swatochna podjęła myśl z tego ruchu, myśl bezbożną, w której Węgier czy Owada, jeniec czy pan, wszystko jej jedno było, byle był ktoś, coby jej rojenie zgadł, coby na drugim łożu spał.

I słowem zbudziła myśl taką samą w obu Supanowych żonach:

— Węgier by mąż. —

Ta myśl tak łacono sunęła im w głowy, jak chłopięciu ujrzyć źrebca i wyciągnąć ku niemu dłoń.

Zamilkły przez mgnienie oczu, a każda z tych twarzy przemówiła tą myślą: Helźbiety się czoło zwadziło z brwiami marszczką: jak woda, kiedy na niej labędź.

U Helgundy siwki oczy zapatrzyły w krzyż dwóch szabli; a u tej, co pierwsza słowo nie z Bogiem wyrzekła, czerwiniem wybrnął na lica, zapuchły, odęty, jakby po nim róża być miała. Ten sprośny głos urodził się bez koleby, a oto trzy

matrony już podawały łono swe za kolebę mu; a dopust boży tak ich sprzągał ku tej pokusie, tak gnał ich chęci i ogniem tlił, że każda czuła ile jej żyłek drga, ile tam weszło krwi, bo każda kropla siarką szła aż do pięty.

A u Supanowych żon jeszcze nie było pytać o moc religii, walczącą w przekór złemu całą siłą przyszłości zbawienia, piekła i kar.

Maluczkie wyobrażenie ich bożków, Poświstów, Pasturków, Poklusów, jeszcze zawadzały na wpół wielkiej Jezusa Chrystusa figurze, a choć już w drewnianym, obszernym kościele za dzwonkiem do chrześcian schodziły kaplicy, to przecież wracającym z pacierzy do dworców w bżowem zadrzewiu skowycał im Puschajta — Bóg, i każdy głos, który do nich natura posłała, ich babek językiem grzmiał.

Dla tego myśl Swatochny nie miała hamulca, bo całą ich wiarą dotąd był strach, a strach ten daleko odbieżał z męzami aż w Kijowie.

Jak na wrzecziono len, igła w czecheł, tak pomysł Swatochny dzierzgną im w głowę, lubo, zaczepnie, tkął wszystkie obrazy sprośnego czynu; tak się roilo jakby myśl czynem była.

Splecione, to rozrzucone ramię, zacięte, to wyskakujące za wąsem usta; oczy szkłem, oczy w słup; podchwytywany oddech, to całą piersią rzucon, aż gęgnął w drugim gardle tego, co męża grał.

Włos, olenderska nić, włos w sznur inną spleciony pierś; przepaśnica-zemknięta aż po za biodra, załóżka aż po za piersi; zawitka po za czoło, i po za czoło wstył. —

Hej! na ops Supanowe żony!

Owada Jan na śniegu, Owadowa żona w pościeli; nuże w tany! —

I u niej nie ma dnia; u niej nie ma lat — odszukała swe słońce.

Węgień słońce; póki nie zmruży ócz, to jej dzień; póki nie skusi ust, jej godzina, póki nie krzyknie mąż, to jej rok.

Supanowa żona nie ma żaloby, ino tę iżę tyle lat sypiała wąsko w łózko, gdy było do tyle miejsca.

Nie pada płatek śniegu sam, ale tuż za nim dwa, i drugie dwa, aże się wiąże duży kłęb; im dalej polecą, tem więcej ułowią, tem nasiąkną sporzej, tem rozdmuchną szerzej; a każda ma taki dworzec, a w każdym dworcu to Węgrzyn jeniec, to pacholę Lach.

Drzazga jest, iskra jest, płomień będzie.

A jako z ich głowy wyrzała jedna myśl zła, tak teraz wygląda i druga i rzecze Helgundy głosem:

— Jeżeli już z mężów w polu kość, to nie wróci kość; a gdy Bóg nie da tak, wracając utną w kopyta, kopyt można podsłuchać, łoże czysto flamskiem obrzucić płótnem, a jeńca zamknąć na wiek — i będzie cicho.

Do dworców swych rozbiegły się matrony — przed deszczem rój — ale nie z miodem do dworców; bo każda niosła w ustach krzyk, ta Węgra, ta Lacha wołając.

To już nie za mężem panem żałoba, to już nie przy ścianie samotny płacz, to już nie przy wieczorni pacierz; ale to niedźwiedzicy ryk, kiedy bartnika kusi.

Podwieczór był — smolna drzazga, w rogu komory zaknięta, krzekoczy jak w bagnie czoło żab, bo jednym końcem trzyma się dębowej ściany, a drugim końcem sięgnie ją i pożera płomień, a drzewo uciągnąć się nie da, harde jak Lacha szyja, ino skowyczy i wierzga węglem to tam, to sam.

Wszystko w komorze blaskiem łuczywa czerwono świeci.

Swatochny zaś cień, rzucon w podłogę, łamie się we dwa, a na każdym sęku lub kołku łukiem obiega cień, a na każdej ścianie brzeży się w tyle pasów, ile ściana brzeżeń ma. A gęsto po ścianach i po podłodze przerzuca się Swatochny cień, boć idąc i wracając ode drzwi do rogów komnaty nie mało razy mknęła koło drzazgi.

Milczy Supanowa żona, czeka jak kura jagieł, a tymczasem idąc mimo okna zasuwa mu drewnianą powiekę — a tak nie bywało dawniej, i często zalatywał tamtędy księżyc do komnat, to popatrzył Swatochnie w twarz i oblał srebrną skra, potem sunął się do brzozy w ścianie, rozumiał że to druga Swatochna biała z rozkrzyżowaną ręką do modły; nawet zdało mu się, że słyszy białej brzozy głos, bo nie zajrzał za nią

świerszcza, co się modlił co wieczór krzykiem. Zachrobotaly odrzwi i wpuściły za siebie obcą im postać; byłto wprowadzon jeniec z ciemnicy, a jako olśnał pierwszy raz widokiem światła, tak ręce skrzyżował na oczy swe, że między włosami głowy a brody było ino dwie rąk bieluchnych, jako skrecony na nici len.

Nie trudno mu było białe ręce mieć, myła je lat trzydzieści wilgoć piwnicy, kryła je przed upałem podłoga z dębu i nie zgrubiała mu skóra, boć od lat tak wielu wciąż ino przetrzucał piasek modry z jednej w drugą pięść; a teraz opuścił ręce w dół, i także białe lica rozjaśniły komorę, a w licu dwoje oczu, szarych jak kocie patrzyły, a na nie tak, jak na palącą drzazgę.

Swatochny nie ujrzał, i łoża nie ujrzał białego; nie w głowie mu to — ale on pierwszy raz zdawna ujrzał gorejącego coś tak małym uwięzion, że o tem zapomniał; a owo palące, czerwone, migotne, kręci mu oczy, piszczy; on czasem tak piszczał gdy strawy chciał. A drzazga tli się i rzuca węglem, węgiel czerwony skoczy ku niemu, on uskoknie; węgiel przygaśnie, on się rzuci nań; czarności się nie bał, bo w niej siedział ze trzydzieści lat.

I takie się dziwy odbywały w dworcu Owady Jana; Janowa żona dzierzgała po Węgrzynie okiem w rogu komnaty; to w ręce białe, któremi twarz schował, to w lica, które za ogniem biegaly, potem i w męską brodę, którą schował włos.

Swatochna całą jego kibić ujęła w oko; a jako on smolną drzazgą, ona bawiła się nim. On się zaśmieje do drzazgi, ona do niego; on się odrzuci od węgla, co w podłogę spryszczył, on do niego, on wyciągnie dwoje rąk ku łuczywmu, ona podbiegła ku niemu i poddała mu dwoje swych rąk.

Zadumał jeniec, zląkł się jak zwierz i ścisnął swe ręce ku siebie, niedźwiedzim ruchem tył oparł w odrzwie, przód pazurami nasterczył i spojrział pierwszy raz na łańię swą.

I pilnie patrzy Swatochnie w twarz, a sam miał twarz jak dziwo, bo pewnie jak siedział w zamknięciu z trzydzieści lat, a przecie maluczka jego młodość siedzi mu w licu, rzekłbyś nie dawno od piersi on.

Prócz ciekawości nie mówiło okiem jego nic, ale i pełne uczucie to usiadło na niej z góry tak, jako na siodło Lach.

Dla niej ostrogą dwoje Węgry ócz.

Węgrowi Swatochna koniem, Węgrowi ciekawość strzemieniem. W to strzemię wrzucił już oko, jak zmaca grzywę dłoń, jak dłoń zazuje sierść, to Węgier rozrucha się, to Węgier poleci — jak Mieszko po postrzyżynach zawidzi w Swatochny świat.

A w tem zbiegł z za klepki kolek, odrzwie krzyply, i wbiegło do komory chłopię Lach; Helgundy posłanek, Helgundy bratanek z dworca Helgundy, kędy nahasał się już, w Swatochny wbiegł komorę, bo jego matrona rzekła mu:

— Takiego druha Swatochna szuka, mistrzyni nam. —

On zajrzał i zaśmiał się — widzi jak Węgier zdala stał, a w drugim rogu komnaty jak drzazga Swatochny bucha wzrok!

Ty chłopię nie śmiej się.

Im głębsza Biała-Woda, tem z wierzchu większa pogoda, i marszczki nie znać tam; ale no wpluśnij w wodę, zwiąże cię nie po pas, nie po ramię, ale nad całą głowę, od głowy twej na drugiego ciebie będzie tam wraz — a więc ty chłopię nie śmiej się!

Na pierwsze polknięcie chuci, na pierwszy uścisk, chłopię za mało cię: w krągłych Swatochny ramionach małobyś zacięzał, tak że między tobą a jej szerokiem zamysłem jeszczeby wlażło wilków trzech; a na jej białych poduszkach od serca kiedybyś zaspiał, jedno mgnienie ócz onaby miała w to, że ty już rok jak spis.

Chłopię Helgundowe spuściło kolek i zbiegło. —

Swatochnie zebrało się na słowa, jak chmurze na deszcz, i rzuciła jeńcowi:

— Ej, czy wy niewiast nie macie tam?

A Węgier na to cichy, jak smętarz kościelny stał.

On zapomniał słów w ciemnicy, ojca, miecza, pacierza, krwi. On kiedy się urodził matka skłęła. Ojciec, kiedy go chował, skłął, i sadząc go za siebie na koń, skłął; i to skłęcie węgierskie było mu jak pas rycerski, rycerski znak.

A on i tego skłęcia zabaczył, którem go ojciec zwitał, pożegnał, a cóż o niewiasty pytać?

Supanova żona waży to, aleć i waży jak u Węgrzyna poczyna kipić pierś, a tam nie woda jest, nie woda bije mu w twarz, nie woda bije do ocz.

Drgnął Węgier jakoby jaka moc wzruszyła w nim krwią i Węgier zaklął się. Pierś zniosła w usta bluźnierczy krzyk ojca jego, i on przejrzał nim.

To węgierskie postrzyżyny; po uich przemówi w nim zle.

A w okół pożoga niewieścich chuci; zatlił ją wybryk Supanowych żon. Pożoga ciśnie się na schwał i w szlacheckie szyjowate dworca, co wprzód na niezbożeństwo w dąs patrzyły. I wstała z łoża Supanowych żon, piekielna kaźń, zarzuciła na się bezwstydu płaszcz, a gdzie się powlókł ten płaszcz, tam mór na cnotę i łoża.

Serca dziewic, szlacheckich żon, Supanowych żon, podbite zarazą tą; a młóź i Węgry jeńcy, śród morze, szaleją wronim korowodem pod slotę.

I układła się z Supanowych łoż w inne szlacheckie łoża rozdrażniona myśl, kazała im spać z rozwartemi oczyma, czekać mężów nieczekaniem i patrzeć na dzieci swe nie po staremu. Dawne ich myśli a nowe zeszyły się z sobą jak króle dwa, jeden choć krzepki podawał tył, bo stary już — zaś drugi król naprzód zagonił, choć paproć, trzcina, ale że młody był. Nad Białą-Wodą więc to byłoż całkiem pustkowie dla cnoty? — Nie całkiem widzi Bóg!

A był tam jeden dworzec z osobna ku Białej-Wodzie; bokiem miał strzelnicę rosłą jak dąb i wyżej jak dąb, bo jeden dąb na drugi składziono, na drugim trzeci, dopiero czwarty krajał się w zęby u góry: i tak zębato patrzył bez strzechy w niebo wprost.

Ten dworzec Mikołaj Strzemieniec miał, a tę wieżę król. Wieża jak król bronila pod sobą stojące dworce od węgierskich, czeskich szabel; bo na niej gdy w domu męże, stajał w zbroi Lach; i na błonia, piaski, bory utykał okiem pod noc, a gdy

zoczył wędrowny ogień z gościem z Węgier lub Czech, krzyczał z góry na braci: „Hej! hej! do szabli, kto maż!” Owoż cztery stapań od tej wieżycy Strzemięca dworzec był. On przed królem nosił miecz, jak przed wieżą strzecha swój łeb; on teraz z królem, w dworcu została żona, takż wdowieje od siedmioro lat i dworzec ma, i Węgra nie jednego jeńcem ma; a z chucią, rozpustą, nie goni z innemi, bo Małgorzata z Zębocina i cnotę ma. Krzyki i wrzaski pożądlivych chuci dolecają jej to oknem dworca, ona okno zasunie; to wlecają głosem do ucha, na ucho położy dłoń i siedzi jako matka w roju pszczoł, poważna od własnych myśli.

A serce żonine za panem, za mężem wsadziła na koń; tak z nim cwałuje wciąż za słonkiem swem. A gdy przyśni, że on powraca, to jej dzień, a gdy zamarzy, że on daleko, to jej noc — a kiedy zamyśli o ruskim Kijowie, to jej ta chwila rok i Małgorzata w płacz.

A na to nadbiegło chłopię Helgundy bratanek, co to był zajrzał w Swatochny komorę. Widzi Małgorzaty łzy i śmieje się:

— Ja, mówi, dwoje rąk mam, ja mam i dwoje ust, Małgosiu! na co płacz? — Twój przed królem nosi miecz, ja przed ciebie poniosę pierś, a z tej piersi miód ci dam.

Małgorzata podnosi wzrok, a myśli iż to djabeł nie chłopię, co ją chce wodzić na harc.

Więc żegna: „w imię Ojca“, więc mówi „w imię Syna“, a chłopię śmiejąc się wciąż stoi jak stał.

I znów poczyna:

— Małgosiu! na co krzyż? Ja z ramion krzyż ci urobę, wyjmę ci z wargi jęki, ino mi czoło schyl.

Ona potargnęła sobą i sprostowała się: a chłopię przy niej jak polem koło gruszy tarń.

Na przekor woła znów:

— Małgosiu w obie mię ręce weź, bo ja biały ptak; gdy wzlecę ci ku sercu, trzaskotną w oba skrzydła, po mężu nie zapłaczesz już.

Małgorzata jak stała, tak skoczyła ku drzwiom, w białe dłonie uderzyła i w pięści je zaklasnęła.

Chłopię uskokło w bok i hihocze się :

— Małgosiu na co gniew ? — Odrzwie nie łoże — dworzec nie podwórze. — Małgosiu na co tu pięść ?

Strzemięcowa żona nie znalazła na to głosu, ale rąk dwie, jedną pochwyciła chłopię za włos, drugą za kawał drzewa co w rogu stało i uderzy pacholę w twarz. Pół twarzy się śmiało i zostało śmiejące, a drugie pół rozbryzło krwią i ciałem, rozszarpane jak piorunem buk.

— Tomasz pacholę całus ; kloc mój nie łoże, dworzec mój nie podwórze, a w piersiach twych gdzie miód ?

I tak skończyło chłopię igraszki swe, i padając głową o drzwi stukotnął, krwią i ciałem za progidworca posączył i pokładł się w znak, by więcej nie wstał już. I był jakoby wałem, za który bezwstydomi nie stąpić ; a krew, co wyjrzała za progiem, to jako żydowskiego baranka krew pomaściła odrzwie jej, by anioł zemsty, co zejdzie z mieczem na Paschę zemsty, nie zaglądnął tu. —

Teraz cicho było w Strzemięcowym dworze przez jedną dobę i przez jedną noc ; pożoga bezwstydu hulala za wrotami, nawołując do siebie wielką niewiast moc. A cnota poszła na rozstajne drogi, wdowie szaty na się wkładła i czekała tam, aże nadbiegnie chmura z Kijowskich stron ; to ona jej na barki skoczy, mężom Lachom rozpowiada o swem sieroctwie, a do dworców nie wróci aże na mieczu ich.

Gdy nastał dzień chłopięta Lachy i jeńcy nad Białą-Wodą poczęli zwijać się, chodzić, rozglądać, szaleć, pustować, a w czele im Baško-Tur.

To Węgier ów, co go Swatochna wywiodła z ciemnicy, co teraz spija z jej łoża i piwnicy, co miał najlepszego pan ; bo teraz Baško pan.

Rozwahał się w życiu, jak w trawie koń, rozrósł w Swatochny ramionach, a nikt tak nie grzmi w rozpustę siłami całemi, jak on. By taką chucią wrzeć, trza tak szeroką pierś mieć i tak niepokalanie czuć, trzeba by w tej piersi czekając siadło trzydzieście lat, a każde lato by zostawiło swą gorącą krew. Baško-Tur szaleje wszystkimi krwiami swoich lat ; a w każdym lecie kochałby niewiast nie dwie, nie trzy ; a w ka-

żdem lecie silnemi barki ubiłby Lachów nie sto, nie dwie. A teraz Baško-Tur oburącz jął za bezwstydy, on mu i kurdem, on mu uściskiem, on mu zakłęciem, on mu życiem jest — i jakże Baško-Tur nie ma tak szaleć?

Koło dworca Małgorzaty stanął Baško z czeredą. Widzą krew: Czyja to krew? — Odważy drzwi, wysunie niemi głowę i pojrzy po zabitem chłopięciu.

A skoro go Strzemieńcowa żona postrzegła, skoczy do kloca znów, podnosi w górę i mierzy w Węgra nim. Baško zrecznie uskoczył za próg, poznał co rani matronę i myśli: „Złowię ją.“

Baškowi zamyśleć wolno, boć tak dawno jak nie nie myślał, to też teraz zamyśla niestworzone rzeczy. „Ptaszka w locie niewiastę w enocie.“ Zje licha jeżeli dokona tak.

Przybieżala młodź, zlecieli jeńcy na Baški-Tura krzyk i osaczyli dworzec — łomocą weń z całych sił. Małgorzata z Zembočina kółkiem zaszczepliła drzwi, zawala kłosem, a czeka wciąż z starym mieczem w prawicy, co ze szcerbem w domu został sam; jak się nawinie kto, to ona machnie nim, jak pan jej mąż. Obóz bezwstydu ciągle huczy w podwórku, z wrzaskiem w komory się pcha, że aż strach. Małgorzacie to nie — Małgorzacie to ulewa, ona pod strzechą Strzemieńca; skłęcia Węgra słyhać wciąż, to deszcz, ona Laszka. Ale ulewa coraz silniej huczy; dworzec z drzewa, drzewo nie kamień, a oni mocno tłuką.

Małgorzata w płacz.

Na stary pancerz miecznika upadła jasna jej łza, a ręka jej, co za tą łzą biegła, trąciła weń i pancerz dźwiękł — nie dźwiękł, ale zagadał do niej; ona rozumie go, bo tak Pan Bóg chciał. —

On mówił: Wdziej mię, wdziej! — Małgorzata kwapi się bo odrzwie skrzypią częściej, kamieniami tłuką sporzej. Baško-Tur aż chrypie tak klnie. Zawitka z głowy Małgorzacie spada, a włazi hełm: adamaszek zwija z bioder, bierze pancerz — co niewieście, na ziemi, a Małgorzata mąż.

I owoż się tak sunie do walki, ale to waży w umyśle, że ona sama jedyna, a ich tak wielka moc. Co robić, Boże radź!

Stała chwilę z wielką prośbą w oku, z wielkiem słowem modlitwy, że Anioł jej stróż miał czas zalecieć do nieba, uprosić Boga-Rodzicy za sobą i za nią; myślą uniósł w niebiosy jej duszę, ztamtąd do męża na Kijów i z tajemną poradą wrzucił jej w łono myśl.

Małgorzata śmielsza już bierze ode drzwi drzewa kloc, ubiera go w zawitkę białą i adamaszkiem odziewa i sadza go w rogu łoża swego a sama kryje się za drzwi tuż, nogi swe chłopciami trupem zakrywszy.

O! właśnie był czas, bo kołek we drzwiach pękł.

Toczy się zgraja, Baško-Tur jako tur na czele.

Pojrzą na zawitkę białą, więc wszyscy w cwał do łoża:

— Małgosiu! a tuś, a tuś?

Na zbroję nie patrzali; zdała się wisieć na ścianie, a nad nią hełm.

W tem zbroja i hełm skoczy jak łania przez próg, kto w progu jeszcze stał ten mieczem wziął, i w kącie drga; a ona w zbroi, mąż gdzie leci? —

Czy się im wybiega? — Toście przecie czytali wyżej:

„Cztery stąpań ino od królewskiej wieżycy dworzec Strzemińca stał“ — więc Małgorzata do wieżycy i już siedzi tam.

A oszukane chłopięta, a tryumfny Baško-Tur oburącz chwyta przy łożu kloc; jak zdusił go, dopieroż ocknął się. Reszta gawiedzi zesłupiała stoi, zląkła się: kiedy ruszyła zbroja, zdało się im, że wszystka zbroja w Kijowie, że to z Kijowa zleciał Supan, kilku po uszach zaciął, a teraz poleciał w podwórze zwoływać mężów w pomoc — poczęli uciekać.

Ostał się Baško Węgier sam, a na czem świat stoi sklął, cisnął w podłogę kloc, zawitkę rozdarł na dwoje, i chrupał z gardła, jak wilk borowy:

— Czekać Małgorzato wraz!

W dworcu pustkowie, jeden on i łoża dwa; to się przetrzuci na łożę, nogami rozpycha płótno, wywraca się z jednego w drugi bok, tako się tarza po biegu koń w piasku, on w łożu kopytem, on nogą — ten rykiem, a wrzaskiem ów.

Małgorzata wysoko jak cnota świeci puklerzem z wieżycy

szeroko z piersi puściła dech aż do Kijowa, i dalej, bo ten dech posłyszał w niebiosach Bóg. U dołu wejście zasunęła żelazem; tamby i zamorski nie zajrzał gość, choćby z czakanem. A w górze ganek jest i gruby z konopi sznur; ona jak rzuci ku ziemi końcem jednym sznur, to jaka dusza pobożna szlachecka włoży tam chleba kęs,⁴⁾ sudzinę Białej-Wody to będzie dla pustelnicy dość, póki nie wróci z ruskiej krainy Pan z Zębocina jej mąż.

Już czeka tam spełna niedziel dwie; a co wieczór spuszcza węzłowy sznur ku ziemi, a zawsze mrokiem ktoś kładzie jej chleba w węzeł, sudzinę wody zaczepi i ona ciągnie to.

Czy anioł chleb jej dawał, czy jaka rozbitka cnoty, co tam na dola została, Małgorzaty chwając czyn, ale za niska doń; tego ja nie powiem wam.

Dość że się dziwili ludzie czem ona może żyć; bo cały, boży dzień tłuszcza chłopiąt i Baško-Tur tłucze się koło tej wieży, okiem i chucią szczeblują do Małgorzaty; ale to nie nada im, bo ona siedzi wysoko, jak w chmurze grzmot.

Widzieć go ludzie widzą, ale zagadać do niego, ale go zwabić na ziemię, to tylko chmurze i Bogu.

Choć często Baško-Tur całem ciałem rzuci się w górę, zwadzi nogą gdzieś o krawędzie i tak do góry zadziera głowę; wieża jak była z ziemi wysoka, tak jeszcze jest.

Małgorzaty jak tam nie widno, tak i tu — a on zasapał się już.

Od stron Kijowskich leci nawala — miecie śnieg. Ósmy to śnieg bez mężów panów pada na dworce lackie.

Ae to jeszcze nie ów pełny, biały śnieg, co jak pióro ptasze obrzuci strzechę na mróz; bo jeszcze nim strzecha zapłacze na lecie, kiedy do niej zerwie się wiatr, i czernieje znów.

Z zawałą od Kijowskich stron lecą lackie rycerze; w Kijowie nowina ich obsiadła, że żony wpuściły bezwstyd gościna w dom, a ta nowina cwałuje z nimi na siodle, na głowie,

w strzemiönach, i kurczy im nogi, tak że ani koniowi ni wytehnąć, ni postać tylko ostrogą tłuka mu bok, jak gdyby chcieli rozpruć mu boki, zepchać mu zło wróżbę tę plotkę w kłęb, a potem sewalować, zajeździć, zapatrzeć, aż ciby koniowi przepchała się w gardło i wyleciała parą z nozdrz. —

Tak biegli do ziemi swej na czele innych Owada Jan, Mikołaj Bończak, Porezyk Byk, jako Supani swoich huf.

Za nimi skrzydlata szlachta, to huzarska rota; pod kołczanami nie szlachta, to łucznicy, szlachta okuta w stal; i w stal okuty koń, to pancerni; a końcem ich jechał Strzemienniec Mikołaj, niosący miecz, za nim jak przystało Bolesław król.

Na pogoń, to król przodem: bo w przodzie trzeba ócz, bo w przodzie trzeba serca, bo w przodzie trzeba głowę mieć.

A kiedy z bójki wracać w dom, to głowa idzie z tyłu, obziera czy tam za nią nie dzwoni co?

Czy po rycerzach, co przeszli, został się głęboki ślad, by po nim trafić do wroga?

Wielcy królowie robili tak; a nasz Bolesław wielki król był, kiedy na konia siadł.

Po drodze w kraju swym rozbryzgiwa się szlachta do dworców. Każdy przed królem złoży się mieczem, każdemu król powie na głos:

— Krzepkiś był, Chrobryś był.

Aż szlachcie podrośnie, jak w piecu chleb i z kopyta utnie w dom.

A tu już blisko i Supanów widać dworce, więc królowi skłonią. Bolesław każdego wziął za dłoń, do pacałunku rękę swą dał i wyrzekł w głos: „Dzięki Wam“.

Posłyszały lackie żony kopyt gadanie, i chciały schować bezwstyd swój: jeńców Węgrów w ciemnicy ukryły, Lachom chłopiętom kazały zdziecinnieć, jak wprzód; a Supani nie cisną ich ku sercu, jak wprzód.

Między sercami ich a rękami żon stanęła zemsta na poprzek i rośnie kiedy spojrzą na dworce swe. W bocianie gniazdo kiedy wpadnie jaje cudze i wyrośnie cudzy ptak, to bociany zlecają się na rady, długo kają nad owem gniazdem:

w końcu je rzuca z... a matkę gniazda rozerwą na ćwierci. — Sąd b... to lacki sąd. Supanowe żony biada wam!

... do dworca swego Owada Jan i żonę ściągnął z... za sobą. Targnął za upięcia oburącz, aż rozdarła się chustka i naga głowa Swatochny z białą jej szyją zaświeciła mu w oczy wprost.

On nie ciał, on poczynał srogości uczyć się. Jak niewiastę w zemście gnać, jak męczyć, nie znał się: wroga to umiał wprost szablą w skroń; a w długich włosach niewiasty jak w grzywie konia swego umiał zapaść rękę i więcej nic.

Zgrzytnął zębami Owada Jan to mu wspomniało, że kalczy ząb, porwał tedy zębami włosy jej — włosy miękkie, przepadziste dały się rwać i targać w kłęb, ale na nich nie widać bólu. Krzyk z gardła żony on ino brał za strach, za niewieścią broń.

Janowi Owadzie trza było znaku boleści, żeby coś pociekło wskrós; żeby coś wyszło z karbów skóry, żeby do jego oczu przemówił ból.

On chciał tak pełnego bólu jak pełną zemstę miał, żeby aż w oczy się kładł, w uszy się lał i wrzeszczał o cierpieniach stękiem lwa.

Więc z włosów skoczył na Swatochny twarz, a w pomoc zębom pazury mu przybiegły; boć on dopiero w srogości ptakiem poczynał być. Już teraz szyi nie widać Swatochnie, pociekła krwią od pocałunku męża; krew z razu mała bryzga jak deszcz kroplami, wreszcie lunęła Owadzie do ust, i wystarczyła na jedno polknięcie gardła.

Tu Owada zwilczył się, już w srogości zwierz; po pierśiach, po łonie Swatochny skacze ręką i nogą, jak dzik; podarte jej ciało dla niego ciernia krzak; on się kole niemi, a przecie zasuwają się w głąb, by się skryć przed strzelcem swym, zemstą. A zemsta gna go z ostępu w ostęp i nie przepuszcza innej myśli, i nie daje złapać tchu, ino go bodzie, ino go pcha, nagli i woła: „Mścij się, mścij!“ Aże nakoniec wyleciał z piersi Swatochny wrzask pierwszy, ostatni żoniny dech.

Skończył Owada Jan swój chrzest; co zostało żony jego zabierze ksiądz i grób.

A w innych dworcach występnych, biednych, znów taki krwawy chrzest. I wyszli męże przed swoje domy, zmawiając się jak kawki na deszcz, z nimi Owada Jan; ale on nie długo gadał, wpadł do ciemnicy, gdzie Baško był, jak grom! Baška porwał w ramię swe, jak orzeł pisklę i po drabinie ciągnie go na dworca szept.

Jak był wylot dla dymu sadza go, połową w słomianą strzechę, połową nad dworzec i przykrępował go pasem w pół. Nie mógł i zadrgnąć Baško-Tur, sterczał nad strzechą jak drewna kłoc.

Owada w komorę głównię ognistą wniósł i w cztery rogi ogień podrzucił i w każdym rogu splunął trzy razy podziemnym duchom i wyszedł do swych braci patrzeć na Węgra skon.

Płomień już w górę bił, w słomianą strzechę a ona to zecerwienieje, jak słońce na wiatr, to znowu czarna popiołem i dymem, jak góry na zachód.

Wędzi się Baško-Tur, rękami odgania dym; co dłonią utnie po strzesze, to odlecą skry, jak od żelaza pod młotem, ale i strzecha jak żelazo nie stygnie, a płomień sobie wężykiem ślizga do Węgra rąk.

Dymi się Baško-Tur jak zgrzany koń, ale koń cicho stoi kiedy się zgrzał, a Węgier szarpie sobą na gwałt, bo ogień dojmuje nóg.

Pali się Baško-Tur; czerwone jak krew rozleciały się ręce, po nad włosami raz tylko płomień migotnął. Węgier usta otworzył skłął, ze skłębieniem rozleciał w proch: To jego ostatnie modły i dech.

A Owada Jan patrząc na dworca ostatki, rzekł jako prorok do swych:

— O! Lachy, pókty nam żyć, póki w polu żyć — my w domu zginiem.

Małgorzata z nad wieży widziała płomień ten : poznała — to dla niej wesela znak ; uskoczy w dół, odczepi zapory, przed niemi stał mąż, jej pan. Ona mu do nóg przypadła, a on ją do piersi ciśnie, w ramię męzowskie wziął, i tak ją obnosił dokoła z pieśczętą czystą, jak jego miecz, który przed królem niósł.

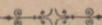
Oj! było za co tak dźwigać ją!

A Lachy chłopięta jedni poszli pod miecz, drugim do pary nóg wiązano koni dwa ; jednego pędzono poprzód, drugi rwał się w skos, i tak rozleciał się bezwstyd z nimi z lackich stron : — Dał Bóg na cały wiek.

Przypiski.

Treść tej powieści czysto historyczna, patrz Bielskiego kronikę karta 195, wydania Gałęzowskiego.

- 1) Biała-Woda, tak zwano w dawnych czasach Wisłę.
- 2) Giernak szary, najdawniejszy ubiór szlachecki po domu.
- 3) Ziemniaki bogi. Puschajta, jeden z nich, siedzi zawsze w bżowie drzewie. Kolacya jemu zastawia się w gumnach : cztery wielkie sudziny piwa na czterech rogach stołu ; potem przywodzą cielca i cielicę, barana i owcę, kozła i kozę, kurę i kurzycę, które chłop prosty po wymówieniu prośby, zaczyna bić po szyi, po nogach, mówiąc : To tobie, o! Ziemniaku, boże nasz! — tak opisuje Strykowski.
- 4) Sudzina, jak wyżej widzimy, starożytna miara na piwa, wyżej kwarty.

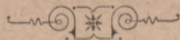


Niewiasta polska z XVI. w.

BARBARA

jeszcze GASZTOLDOWA żona.

Dramat.



BARBARA

OSOBY:

Królowa Bona Sforcja, żona Zygmunta I.

Zygmunt August, królewic, jej syn.

Hrabianki Luzzi i Palli, dworskie królowej Bony.

Stańczyk, ulubiony trefniś Zygmunta I.

Gasztold, wojewoda Trocki.

Barbara, Radziwiłłówna z domu, jego żona.

Książę Radziwiłł Czarny, wuj Barbary.

Piotr Kmita,

Biskup Dziaduski,

A. Górka, marszałek

Jan Ocieski, kanclerz,

Orzechowski, kanonik.

Kaczkowski,

Smolik,

Kościelecki,

Wapowski,

Ilja, książę Ostrogskie ruskie.

Montio, doktor Włoch.

Zamek krakowski — komnaty królowej Bony — sale
posłuchalne.

40

A k t I.

Scena pierwsza.

W zamku królewskim komnata, której ściana kończy się do wpół teatru; w niej środkiem odrzwie karmazynem przysłonięte, a tylko jedna lampa świeci w komnacie; pół drugiej strony teatru poczyna salę oświetloną, w której rozmaite koła tańczących po połowie widać na scenie. Muzyka zdala słaba, głośniejsza czasem, dochodzi z głębi. — Zygmunt August na wezglowiu tureckim w ciemnym rogu komnaty, w czarnym stroju hiszpańskim i z czarnymi ostrogami, rozrzucony opiera głowę na ramieniu Luzzi, obok mu siedzącej.

Luzzi.

Skoczno, wesoło, jak nasze gondole!
 W tanach fraucymer królowej — królowa;
 A wam to marszczka żegluję na czole
 Zyguncie czemu? Czyć jeszcze z Tarnowa
 Jan siadł na myśli? — A z Górką Andrzejem
 Wiodąc na Wołosz? — My się z Górek śmiejem!
 I ty śmiej zdrowy: W tem królowej głowa!
 Abych was w powrót nie puścić im w szponę.

(głaszcząc go.)

Chłopcicia głowę te głowy golone
 Chciały zokować w rysz tunek a w stal...

Zygmunt August.

Chłopię ja, Luzzi? — Luzzi, chłopię chwał!
 Boć już wąż mu, a już skacze w koń
 Bez strzemion w siodło, a na głowie tam
 Chłopięciu siedzi już korona w pól.

Luzzi.

Jać wielką głowę skryję w jedną dłoń,
 Miasto korony całus w czoło dam,
 A za klejnot koronny zwołam czyje oczy...

(Sunie się w tej chwili koło taneczne. Luzzi pokazuje jedną z niewiast.)
 Ową szyję w alszbantach u karych warkoczy
 Dam ci.

Z. August.

To szyja Palli.

Luzzi.

Ale czyje oczy
 Zwołać na klejnot?

Z. August.

Choćby wasze wpleść.

Luzzi.

O — Luzzi oczu do koron nie wznieść!
 Luzzi ubogiej nie stać na Firleje;

Ale na włoskie serce niezstarzałe,
 Na oczy pełne ciebie — dla was stałe,
 Na usta włoskie — z nich czy pieśń wyleje,
 Czy pocałunek, to lecą do ciebie,
 By Turek z winnym haraczem pod nogi,
 Imię twe miotając, Zygmuncie mój drogi!
 Jako noc włoska swe gwiazdy po niebie.
 Puść mię do piersi, ona nie wyniosła
 Dla głowy Luzzi; przeglądałam się w niej
 Jak ma Wenecja w morzu, w którym wzrosła,
 A ty Zygmuncie, czy się z Luzzi śmiej
 Czy lubuj ją, byle Luzzi żyła
 W pamięci wam, jak ci z dawna była
 Równienną boku, źrenicy, zabawy.

Z. August.

O — Włoszkaś ty! Wy zamorskie pawy
 Macie na język tyle stron, na oczy
 Tyle barw, że gdy ogon słów się wam roztoczy,
 To człek się o niewieście z myślą tyra sam,
 I gdzieś wnet na zabawy, na tańce poskoczy,
 Aże opadnie głową już w ramiona wam.

(kręcąc wąs.)

Choć chłopię podstarzało, a cię oburącz —
 Oburącz kocha; boś mu w piersi tak
 Jak pierwszy biały, uglaskany ptak,
 Co go od ojca króla swego miał;
 Jak palcat drzewny, który na łby siał
 Drewnianych Turków, choć mu rwie się wręcz
 W rękę kowana żelazna szablica...
 Bo, Luzzi moja, tyś mi jak siostrzyca
 Chwil uminionych, w których lubo mi!

Luzzi.

Tobie się Luzzi już tak dawno śni,
 Iżec jej obraz postarzał u serca
 Jak kwiat, co pierwszy zszył się u kobierca,
 Starszy od swoich rówienników grona.
 I Luzzi z wami póno wiekiem poswarzona ;
 Boć pierwsza, co ku cercu zagadała ci.

Z. August (słysząc głośniejszą muzykę).

Zaprawdę, Luzzi, że teraz na dobie
 Często się zerwie nowa myśl na czoło ;
 I tak się bawię z wami po połowie,
 Połową smutnie — połową wesoło,
 Jakby mi brakło pacholęcia zdrowie,
 I nie tak gęsto myślę o was, jak o sobie.
 Alećbo, Luzzi, coś mi we krwi gada
 Innego teraz ; kocham konia, kord,
 Jako was dawniej, jako waszy śpiew :
 Nie wiem co cięży, co mi piersi studzi ?
 Ale mam w to, że to dwojga ludzi
 Gra we mnie język i krew :
 Matki krew — wenecki śpiew —
 Ojca krew — polski kord —
 Z gardła wrzask, w polu mord.
 Pas, co mnie ciśnie w pól,
 Koń, co mi pod nogą rży,
 Haubica, kiedy na Wołosz grzmi,
 A kulą żrenicą patrzy im w dół,
 W ordynku związany mąż,
 I orzeł w proporcu, co miota się wciąż
 A lecieć by chciał :
 To ludzi we mnie ojca krew na schwał !
 A okiem inakiem, a okiem jak wąż
 Przeglądam koronę mą.

(z za sceny dolata śpiew.)

A — Luzzi moja — z włoską pieśnią tą

Mnie ino spać ;

Od szyi waszej, jak morska gondola.

Do drugiej szyi płynąć mi niewola

I usta wam brać ;

A tak me serce przywoździć na łodzi,

Póki się niebo z duszą nie spogodzi,

A w tej spogodzie jeszcze z wami spać.

(Podtenczas weszła hrabina Palli i stanęła niewidziana za Zygmuntem, gdy on skończył mowę, Palli schyla mu się na czoło.)

Z. August (zmiészany).

To Palli moja ? Porzuciłaś tany ?

Ja w twoje skoki wmięszalem źrenicę.

Palli.

O — Zygmunt, mój rycerz ukochany,

To zdala lubi swoją tanecznicę,

Jako na ogród popatrzy z tarasu ;

A do swej Luzzi, jak słońce do lasu

Zabiega, by głowę skryć.

Z. August.

Mnie z wami obie po komnatach żyć ;

(bierze rękę Luzzi).

I ty, co pierwszaś do serca gadała,

(bierze dłoń Palli.)

I ty, coś okiem w duszę się pisała,

Jak czarna farba w pergaminu śnieg,
 Obu wam ze mną przy włoskiem zagranu
 Płynąć czy nocą — czy w życia świtanu...
 Obu wam ze mną jako koń mój rzyć.

Palli (wstrząsa głową.)

I obu płynąć? — W weneckiej krainie
 Serce gondola mała, troje nie popłynię;
 Skąła, kochanka włoska, pod wodą ma brzeg!
 Niewiarę — rybaka w swe łono gdy zwola,
 Na łono — dno morskie — zaciśnie wesola
 I dwojgu ino — każe choć po śmierci być.

(chce odejść.)

Z. August (wstrzymuje ją.)

Palli! Pozostań. Ja twe perły lubię,
 Które w podróży ukazujesz mi,
 Gdy ci się o gniewie na Zygmunta śni.

(zrywa się z sofy do Palli z nęciskiem.)

Luzzi.

Skąła, kochanka włoska, pod wodą ma brzeg;
 Brzegiem woda spokojna odbija pałace...
 Szczęśliwa! Tylko rybak podą sobie pracę,
 Wiosłem zamąci wodę i puści ją w bieg,
 Wodne pałace znikną...

(Odsuwa się od nich i staje na skraju oświetlonej komnaty, oczyma w tańeczne poskoki zatopiona; muzyka głośniejsz grzmi).

Palli (z cicha do Zygmunta).

A wy jej wierzycie !
 Młody mój August, zatopione dziecię,
 Tobie ją znać ? Nie słyszy... Wy słowo,
 Słowo dajcie przyjęcia mej jedynej woli :
 Niech ono tajemnicą dzisiaj nas okoli,
 Ciebie i waszą Palli.

Z. August (pustując).

Daj ust !

Palli (skłania mu usta, a potem wskazując na Luzzi.)

To przysięga.

Z. August.

Na długo ?

Palli (przysiada na sofie.)

Dziś do nocy, niecierpliwa głowo.
 Już wam w ustach na długo ! A gdyby na wieki ?
 Gdyby wam sercem sięgać, jak niewiasta sięga ;
 Gdyby wam urodzeniem był kraj tak daleki,
 Jak nasze włoskie morze, a musiał porzucić
 I ziemię swoją i nigdy nie wrócić,
 I kochać na tak długo, jak „nigdy“ trwać może :
 Pytałżebyś się jeszcze czy to „nigdy“ długo ?

Z. August.

Palli! pytałbym nieba: Czyżes ty papuga,
 Co ma tęczy na sobie tyle, ile słońce?
 Bo kiedy zaczniesz mówić, to mej myśli końce
 Rozlecą jak sokoły za ptastwem szeroko,
 A sokolnik nie dojrzy gdzie ich biega oko.

Palli.

Lecz sokolnik pamięcią ino nie zabaczy,
 I aż do nocy moim...

(urywa, bo coś małego w ubiorze kobiecym, w masce ku nim się sunie
 i staje przy wezglowiu; Palli rzuciła ręką do łona po rękajeść kobiecego
 sztyletu.)

Słyszał?

Z. August.

Co za lichy?

(przybyły zdejmując maskę.)

Ha Stańczyk! błazen króla...

Scena druga.

Stańczyk (z przymówką.)

Królewica haczy.

Nie błazen białogłowa.

Z. August.

Jako ?

Stańczyk.

Jam Rzepichą ;
W bombarzynie, w brokadiach schowało się licho,
Schował się błazen Stańczyk jako białoszyja ;
A nędza na pierś dziana w srebro mu się zwija,
I pierś ma włoską salata karmiona,
Jaką lubi na zbytek nam królowa Bona.

Z. August (śmiejąc.)

Kto cię tak odział z pyszna ?

Stańczyk.

Kto ? Mój miłościwy
Królewic Zygmunt August.

Z. August.

Ja ?

Stańczyk.

I to nie dziwy...
Żleby było na męża w tym gmachu przyostać !
Trza spodnicy w brokadzie by się ku wam dostać ;

Dmuchać z włoska na ucho, palcem leść po drutach,
By szukać serca, co się schowało gdzieś w nutach. . . .

(Zygmunt August zapalony chodzi po komnacie, a błazen dalej śmiejąco.)

Mnie młode pacholęcie chciało w Wołosz zwabić,
Alem się zląkł od matki zapasków uchylić,
Mogłaby się Wołosza szablą we mnie zmylić;
Lepiej zawdy w manelach do starości babić.

Z. August.

Stańczyk ! Nie pewna głowa twoja....

Stańczyk (jednako).

Była —

Ale się przed bojażką mądrze uchyliła;
W komnacie hańbić nie ma.

Z, August (błysnął szablą.)

A ja ci zaświecę,

Na ojca krew !....

Stańczyk (skoczył ku szabl, a biorąc ją w obie dłonie).

Żelazo ?! Przynieście gromnicę
I trumnę dla mnie, trumnę, ja wam kark podłożę:
Tnijcie w kark, królewicu! Tnij w kark w imię Boże:
Może gdy krew pocieknie w męstwie się polubisz.
Jak dziedzic, syn mojego króla Polski, Litwy,
Żmudzi i Ukrainy! Może cię na bitwy
Spędzi krew błazna — i Wołosz wyczubisz!
O! tnij mnie królewicu! Bo łacniej błaznowi

Poddać kark jak urągać ojeu i królowi —
 Kiedy się z tym paniskiem zapoznawszy z stara
 I co miał myśli pustych z pieśni mu zwoławszy,
 Gdy spyta dla zaśmiania, rzec mu: Najłaskawszy
 Królu, toć macie syna — a syn — włoska mara,...
 Toć i błazna zaboli....

(Luzzi obejrzała się w tej chwili i skoczyła ku Palli, która przerażona
 zjawieniem Stańczyka nieruchoma siedziała na sofie.)

Luzzi (do Palli.)

Tak Palli na straży
 Trzyma serce podbite, że je Stańczyk zważy?

(chwyta za dłoń Augusta.)

Zygmuncie! Lampy gasną; tyś uczty nie witał
 Ni kielichem lachrymy, ni tupnięciem nogi....

Z. August.

Stańczyk, puść szablę moją! Włoszko — błaznie z drogi!
 Wadzicie mi by chmura sokołowi w biegu.
 Wasz język, piski serea, śpiew włoski — do brzegu,
 Do brzegu z nim! Ja Zygmunt na otwarte morze:
 Puść szablę — morze z krwi urobię!

Stańczyk (spuszcza szablę i składa w górę ręce.)

Daj Boże! —

Luzzi.

Zygmuncie mój!

Z. August.

Wy z płaczem Luzzi?

(waha się i mięknie.)

Czekaj....

Czego płacz? Czego słonisz oczy w obie dłonie?
 Czy blask mojej szablicy?.... Luzzi — nie narzekaj!
 Żelazo schowam, blasku cię uchronię.
 Ino nie płacz, Luzzi!

Stańczyk.

Ona płacze szabli,
 Co próżna świeci w boku. Daj mnie, ja zwierciadło
 Dam ci miasto żelaza; w niem spatrzysz jak zbladło
 Lice waszej piastunki i sameś się zmienił,
 Królewiczu — boś myślał do serca przezeńił
 Włoską zniewieściałość. Szablę niech rwą djabli!
 Daj błaznu; on nią lepiej zawinie w potrzebie.

Luzzi.

Stańczyku! Tobie z komnat fraucymerem zdala!
 Palli, królowej pani odpowiesz za siebie
 I za niego.

(Palli odchodzi w głąb sceny).

Stańczyk.

Niewiastom królowa dozwała
 Zabawić królewica — dziś Stańczyk niewiastą.

(zasepiając się.)

Żłem przystroił twarz moją i rękę żyłastą;
 Królewicu! jam ciebie chciał bawić inaczej.

(Pierwsze półwiersza prędko trzepie z umizgiem kobiecym, a drugie zwrócon do królewica.)

Nie z pysznasz mi w brokadach? Z płaczem przyjsć tu raczej...
Utargałem brwi obie: — Tak targasz swe plemię!

(stąpa kulejąc.)

A baczmagi tureckie? Ty tak stąpasz w strzemię!
A cało jakim urósł — nadobny i zdrowy —
Auguście, bez malarza twój obraz gotowy.

(Zygmunt sępieje, upada Stańczykowi maska.)

Maska — a maska dworska! Na com pozbył maski?
Tu nikt bez niej nie gości. Darujcie mi panie:
I wam odsłonić twarze, zdjęć wam te obrazki,
Z pachnącem mydłem ręce, róż na safianie
Złożyć wam; niech z was kaźden, jak dziś błazen, stanie
Do ócz Zygmunta okiem i skłnie na skonanie
Kto lepiej życzy?

Luzzi (ironicznie.)

Stańczyk niewesoły
Że mu czapka z dzwonekami gdzieś z głowy uciekła.

Z. August (smutno.)

O! niewesoły błazen.

Stańczyk.

Prawdę Włoszka rzekła,
Oj! prawdę królewicu; jak do ula pszczoły
Wróciły do mnie myśli wesole nareszcie.

(drze na sobie suknie.)

Od maski toć twarz lepsza, chociażby obrzydła;
Anioł maska, a zajrzeć — to spodem straszydła.

(Stańczyk odchodzi.)

(Z. August i Luzzi pozostają zdumieni. Luzzi zbliża się ku Zygmunutowi i kładnie mu rękę na ramię. Zygmunt milczy; śpiew Palli za sceną).

Luzzi.

Tyś zamilkł.

Z. August (zimno.)

Słucham.

Luzzi (z przymileniem.)

Kogo?

Z. August.

Śpiewu Palli.

Luzzi (gwałtownie).

Ona

Lub błazen — ich to słuchać tobie? Leć za nimi!
Milsz jak Luzzi oni, to wam bliżej stoją?
Leć z nimi; ja zostanę sama z myślą moją,
Tęskna — czy to do nieba, czy sięgnę ku ziemi....

(z ironią.)

O! Stańczyk rozpowiada o maskach, żelazie....

O! Palli śpiewa tobie, co jej pamięć prześni....

Śpiew jej rodzona maska ; po każdym wyrazie
Wyskubanym od Palli, tobie z Luzzią cieśniej
I nudniej, chociaż sama jedna co was kocha.

(oglądając się wciąż.)

A Palli! — Słuchaj, powiem : Matka wam macocha
Nie matka — Palli u niej, to wędka na ciebie.
Słuchaj, ja spowiem wszystko, jako Bóg na niebie :
Ja jedna co was kocham ! One — matka, Palli,
One chcą byś prysnął w nic, by was schowali
Pod sobolową szubę gdy siedziesz na tronie.
Palli, matka — to w waszej chcą świecić koronie
Jak dwoje ócz Zygmunta : a waszą prawicę
Chcą obwinać niewieścią dłonią w bawełnicę
A Luzzi jedna kocha ciebie — choć przed doba
Widziałeś jako z płaczem kryłam się za tobą.

(od boku wyjęła mu żelazo)

Gdy żelazcem zabłysłeś — patrzaj chwytam w obie :
Masz ! w imię mej lubości nie wierz ino sobie !
Rwij się na Wołosz, Palli nie podawaj ucha.

(całuje go porywczo.)

Mnie lubuj, ale samą i nigdy.... Ktoś słucha....
Nigdy nie zbądź mię z serca, ja wasza jedynie !

(Odechodzi spieszno, jeszcze się oglądając — podczas jej mowy śpiew Palli
ustał, zastąpiła go cicha melodia.)

Z. August (zamyślony.)

Kto mnie z nich kocha ?

Scena trzecia.

(Palli wchodzi, oglądając się za sobą.)

Palli.

Zygmunt! zanim czas upłynie,
Wiąże cię słowo wasze, żądam....

Z. August (oziębło.)

Czego?

Palli (z uśmiechem.)

Ciebie.

(usuwa szkarłat kryjący drzwi środkowe.)

Tu się wam skryć mój luby.

Z. August.

Ino?

Palli.

Dosyć tego

Dziś po moim rycerzu.

Z. August (imając ręką szkarłat.)

Lecz Palli, dla czego?

Palli (rzucając za nim oponę.)

Będzie pełna odpowiedź.

(Niebawem wchodzi królowa Bona na scenę. Ogon jej sukni niesie Firlej, kilku pokojowców świeczniki przed sobą na stoliku stawiają; idzie dalej fraucymer dworski, a z nim Luzzi. Bona żegna skinieniem dworaków. Firlej i pokojowi odchodzą. Damy dworskie poczynają zdejmować z Bony ubiory: Luzzi dyamentowe upięcia z głowy, Palli koronki, alszbanij z szyi, na której łańcuch, a Beata Kościelecka uknęła i podaje tureckie baczmagi na poduszce szkarłatnej.)

Luzzi (zdejmując królowej pierścień z ręki.)

Wabny kamień i napis — snąc matczyne słowa....

Bona.

Byłam wonceas księżniczką Sforcją, dziś królową —
A nie przepomnę chwili gdy m go w palec brała.

(czyta na pierścieniu)

„Benedicat te Deus et crescere faciat in gentem multam“
Życzenie matki! Po niem synam w porę miała. 4)

Palli (rzuciwszy okiem na szkarłat).

Miłe wspomnienie syna!

Luzzi (zawzięcie).

Ale dziś nie w porę —
Królowo, pani moja, mnie skarżyć na Palli.
Ino cośmy go z ręku Górek wydostali
I głaskać przychodziło wodzom na przekorę

Rozbujane chłopięcia za szablą skargi,
 Inom mu narzucała, co przyniosły wargi:
 Palli błazna dopuszcza — Stańczyk jak zmówiony
 Całą mu pięścią bije w słabe serca strony
 Waszej, królowo pani, prześmiewiskiem wiary.

Bona (cicho do Luzzi.)

Stańczyk? Spytam Nontiego czy Stańczyk dość stary
 By mógł zniknąć gdy każe.

(Odwracając się do orszaku kobiet, zrzuca mu łańcuch swój z szyi.)

Dzięki za usługi....

(orszak odchodzi.)

Luzzi, Palli, zostaną. — Wieczór tak był długi,
 A syn mój z tobą, z wami.... Jako, nie wiecie,
 On z nami?... Mąż król musiał uledez, gdy chce Bona,
 Cóż syn nasz?

Luzzi.

Skolysane na dziś wasze dziecię

Palli.

Zygmunt królewic smutnym był.

Luzzi (niespokojnie.)

Tyś zniewolona

Smutkiem, to w smutek stroisz i twarz królewica;
 A widziałaś jak odszedł, jaka tam żrenica
 Pełna szczęścia, radości jaśniała mu w oku?

Luzzi ją wywołała, boć jemu co kroku
 Miłością się wslugiwa do serca i duszy,
 A tak siatkę nastawia, że ryba co ruszy
 To lgnie głębiej w weneckie rozpasane myśli,
 Aże się wreszcie całe zniewieścić rozmyśli.

(śmiejąc się.)

Jakem jego głaskała chrypawą zawilność,
 Jakem mu w uszy kładła ukłamaną miłość,
 Jak z każdym słowem co mu z męskością się śmiało
 Moje włoskie pieszczonienie kształtnie się łamało,
 Jako tam było dużo Tarnowskiego słowa,
 Jako się pełna Górek szerzyła mu mowa:
 A ja w moje zaloty to mu czoło zszyję,
 To mu pachnącą ręką z głowy marszczkę zmyję,
 I August wymuskany, w piersi mej przypięty,
 Spuści myślą z ich gadań i huknie w przynęty.

Palli (z uśmiechem.)

O! Luzzi! tyś przebiegła!

Luzzi.

W rozkazie mej pani
 Tyle mam przebiegłości, ile serca dla niej.

Bona (ironicznie.)

Więc tobie ufam szczerze, a radna zapytam
 Czy nie spuścić z fortelu z moim królewicem?
 Pomnisz, za twoją radą ja go z Wołoch chwytam,
 Pomnisz, gdy wam i dawne zasługi policzem,

(znacząco.)

Toć przeszłą żonę jego dobrześ skołysała. ³⁾
 Że syn niewieściuch?

Luzzi.

Królowo, w tem wasza
Władza i przyszłość....

Bona (dobitnie.)

Nasza? Ino nasza?
Zamyśl to dobrze! Moja przyszłość, władza,
Moje w tem dobro! Tak Luzzi doradza?

(z przymileniem.)

Dobrze, ma Luzzi; ty go w paskach trzymaj!
Dla mojej władzy pocałunkiem imaj
Każdą myśl, coby od matki zleciała
Do innych uczuć. Palli nieusłużna
Ku sercu syna — Luzzi mnie powiedzie
W nasze komnaty, a tyś dłużna
Winą Stańczyka.

(Luzzi cała w tryumfie bierze świeczniki i idzie przodem ku odrzwiom szkarłatnym, podnosi je, widzi Zygmunta Augusta z założonemi na piersi rękami w hiszpańskim kapeluszu na głowie, jak stoi nieporuszony. Luzzi przerażona upuszcza światło z rąk).

Luzzi.

August?!

Bona (z uśmiechem do Luzzi.)

To go masz!

Palli.

Oj! w biedzie!

(Bona szyderczo popatrzyła na Luzzi, Palli za skinieniem królowej podniosła świeczniki i obie z królową śmiejąc w głąb odeszły).

Luzzi (z rozpaczą.)

Wiedziały — Królowa i Palli wiedziała!

Z. August (podchodząc ku niej.)

A teraz i mnie wiedzieć — Włoszkaś ty obrzydła.

Luzzi (składa ręce.)

Zygmuncie!

Z. August.

Maski, maski, pod niemi straszydła!
Dobrze wam błazen prawił. — Oj tak: Królewica
Nie błazen tutaj haczył, lecz dworność kobieca.

(odchodzi.)

Luzzi (za odchodzącym patrząc żałośnie.)

A jam go ukochała szczerze, jak Bóg Bogiem!

Scena czwarta.

(Zmiana. Komnata Gusztołda, wojewody Trockiego. Owalnia w bokach z dwoma gotyckimi oknami, łoże okryte skórą niedźwiedzią, w niem Gusztołd leży w futrzanym kaftanie. Nad łożem przy ścianie wisi jego zbroja a przy łożu siedzi Barbara żona. Noc późna, kaganiec zwieszony słabo oświetla twarz obojga.)

Gasztołd (ciężko westchnął.)

Mnie pono przyjdzie skończyć — za tych komnat progiem,
Mnie już pono nie zajrzeć na gród województwa,
Tako na mnie choroba dybie. Bez dowództwa
Starostwo moje biedne! Wy! żono, dla siebie
Kaźcie wdowie szyc szaty...

Barbara.

O — Bóg wielki w niebie!
Większy jako choroba — modły mej wysłucha
I wróci...

Gasztołd.

Na co wróci? Ja w spokoju ducha
Oddam Bogu, bom w życiu zestarzał się z cnotą
(wskazując na ścianę.)

I z zbroją. Ja Mu pójdę w ramiona z ochotą,
Bom ci w starostwa Trockie nie uronił plamy,
Królowi a ojczyźnie nie urobił szkody;
Chorażwie me, przy trumnie ciągnąc wojewody,
Nie będą mię żegnały skargą, ino łzami,
Król mój niech im innego wojewodę nada...

Barbara (żałośnie.)

A żona wasza, panie!

Gasztold (zadumany.)

Moja psiarnia luba...

Rogi moje Wileńskie, co w nich echo gada
By niedźwiedź w pustkowiu... O! cięży ta zguba
Piersiom, które w nie grały! — A mój biegun kary?
Matka mu w stepie, ojcem mu Tatary;
Nosił mnie by koleba; toć on zatęsknieje...

Barbara.

A żona wasza, panie!

Gasztold (ciągle zadumany.)

A przelajskie knieje,
A dangowskie dąbrowy zniewolone psami,
Co pryskały ochocze dzikiem i sarnami?...
Scichną — już za głuche dla naszego ucha,
I rankiem ich gawędy Gasztold nie posłucha.

Barbara.

A żona wasza, panie!

Gasztold.

A i wy Barbaro!

Szarym rąbkim na czole słońcie ci myśl szarą
I po mężu zapłakać. — Przy łożu w potrzebie

Nie siędziesz by o jego zamyśleć się chlebie ;
 Ani mu rany studzić rychłym zaratunkiem,
 Jak na żonę przystało ; ni miodowym trunkiem
 Zwilżyć mu język, kiedy z obławy strudzony.
 Wróci i do spoczynku zwoła usług żony.

Barbara.

A mnie jeszcze nadzieja !

Gasztold.

Bo wy, białogłowy,
 To macie myśli długiej jako włos osnowy
 I na niej nigdy końca uczuć nie kładnicie :
 Nie w głowie wam że człeku trza umierać przecie.
 Na co tu płacz ? Ot lepiej w boskie zmiłowanie

(Barbara słoni twarz ręką.)

Porucz mię modłom..

(sam się obrócił ku ścianie na łożu.)

Barbara (klęka przy rogu łoża.)

Modlić i cierpieć, o ! Panie !
 To naszej polskiej białogłowy życie !
 Jeszcze gdy się przy łonie nie zaśmieje dziecię,
 To żadnym się obrazkiem nie rozsepia lica,
 I stęskni sobie biedna męża służebnica :
 A mąż za trudy nasze, przy śmiertniej pościeli
 Jeszcze swą myśl między mnie a psiarnię podzieli !

(Wchodzi z cicha doktor Montio i zastaje klęczącą.)

Scena piąta.**Montio** (z uśmiechem.)

Zawsze na klęczkach?

Barbara (wstając z powagą.)

W Bogu jest nadzieja ludzi.

Montio.

Boga i swe kolana kasztelanka strudzi.

Gasztold (nagle z łoża się podniósł.)

Strudzi? To nasza żona, to żony powinność
 Modlić, kiedy mąż cierpi, żony — męża czynność
 W polu kordem i głową, bo w tem męskość leży;
 A białogłowa u nas to przy boku bieży
 W zlej dobie koić bole, usługą, kolanem.
 Mąż u nas nie gitarą żonie, ale panem
 I połową jej duszy; żona tuż przy łożu
 Rozkoszy czy boleści. — Jak u was na morzu
 Łódka, nam żona w chwili domowe przewodzi;
 Nie spłynie łódź bez człeka, ni wioślarz bez łodzi.

(z groźbą.)

A wy nie szepcie dziewczynom naszym swą zawisłość,
 Owe włoskie uczucia, ową gładką miłość;
 Bo wam, gdy kordów żbywa, nie wiecie jak użyć
 Czasu, a więc niewiastom chcecie jak-ś służyć,
 Niby pacholę panu. — My kochamy twardo,

Magnuszewski, Pisma.

Ale z serca, ale tak całe duszą hardą,
 Że gdyby nam ją zabrał los, co nie daj Boże!

(Barbara całuje go w rękę.)

Plakaćby nas nie stało, ale umrzeć — może.

Montio.

Choremu Wojewodzie to doktora słuchać,
 Ani tak pełnym głosem pierś na ból rozruchać;
 Spokoju Wojewodzie — inak Wojewodę...

Gasztold.

Tak spokoju! — Twych leków mój doktorze szkoda,
 Zostaw je dla dzieciuchów, u których w klepsydrze
 Krwi jak piaska; mnie w modły chrześcijańskie godzić,
 By kiedy śmierć należna ze świata mię wydrze,
 Jakoś tam moją duszę Bóg dał wyswobodzić.

Montio.

Ze wspanialszą nowiną wróć do królowej
 Jejmości, co mi do was pospiech nakazała;
 Bo widzę dziś jaśniejszy wzrok wasz — całe zdrowy.

(z ironią.)

Głos silny...

Barbara (radośnie.)

Jemu lepiej!... Tobie — Bogu chwała!
 Ja królowej jejmości sama do nóg rzucę
 Powinną wdzięczność, bo wam panie mężu lepiej!

Słuchaj. — O! tobie lepiej! Przecież w swej nauce
Doktor rozgląda wyżej — doktor ciebie krzepi!
Mężu mój, panie! Słyszysz? O! wam lepiej, lepiej!

Montio (do siebie.)

Jemu lepiej, czy gorzej -- mnie chodziło o to
Aby była na dworze Bony i podziękę
Zaniosła woneczas kiedy królewic... na rękę
To nam będzie.

Gasztold (w zadumie do siebie, potem coraz głośniej.)

By król mój przysłał, toć z ochotą
Witałbym gościa z dworu, a rzekł mu o zdrowiu,
A miłaby mi była pamięć mego pana!
Boć się z nim to przeżyło ongi na pustkowiu,
W czacharach, to na polu, w śniegu po kolana
I po pas w błotach Kowna.

Montio (z uśmiechem).

Kasztelan majaczy.

Gasztold.

Ale co ta królowa! Bóg to wiedzieć raczy...

(unosząc się.)

E! Bóg was tam zapozna z włoskimi farbami,
Czy wy szczerym niedźwiedziem, czy szyci lisami.

Barbara (zmieszana chcąc pokryć jego uniesienie.)

Zaprawdę, on majaczy. Doktorze, przez Boga,
Mężowi panu nie pierś niesie słowa takie.

(do męża.)

Kasztelanie, spamiętaj się!

Gasztold (rczżarzony).

A Włoszka sroga

Spamiętała się także gdy znowu jednakie
Mężowi Zygmuntowi wydobywa bole,
I znowu syna w swojej niewieściszcy szkole?
Jako? Ja nie mam spłacać dla niej skargą hojną
Gdy znów szlachtę na szlachtę wywołuje zbrojno?
Wiem ci co się w senacie przez tę Bonę działo;
Wiem ile włosów memu królowi zbiałało
Jej staraniem — wiem całe jej dworactwa dzieje;
Wiem jak skarżą Tarnowscy, jak pachną Firleje,
Wiem to ja — a przy śmierci kasztelan nie dworak,
Powie jak mu na łonie płakał król nieborak
Na grzechy swojej żony; by on jeden szlochał —
Ale to cały naród, który on ukochał,
Szlocha na Włoszkę: bo to sprośne szkaradzieństwa
Spłynęły z dworu ku nam; są matki bez żeństwa,
Dzieci bez imion ludzkich, biskupi z żonami;
A naszym młodym dziewczkom tyrać się myślami
Wabnemi nakazano. Dziwna że się stracą,
Kiedy im rozkoszami Włosi w bok kołacą,
I takiego im na tron skolysali syna,
Co przywykł do rozpusty, by kielich do wina!

Barbara (żałośnie.)

Mężu, mój panie, czyliż usta nie nie sproszą
Odpoczynku twym piersiom?

Gasztold.

Spocząłbym z rozkoszą
 Gdybyć ojczyzna inak przy mej trumnie stała,
 A jak ma męstwo w rękę, Boga w sercu miała.
 A czemu nie tak? — To wam, Włosi, odpowiedzieć!

(do Montiego.)

Wiem czemeś ty królowej — wiem że jej spowiedzieć
 Pójdiesz me słowa. Powiedz jaka mi myśl siadła
 Przy śmiertelnej pościeli: rzeknij jak się składła
 Cała w piersi Gasztolda i żalobą krzyczy.
 O! niech jej Bona przy swej śmierci nie dziedziczy!
 Bo straszny to rachunek kiedy nad mogiłą
 Za każdy guz, co się tam Firlejom kupiło,
 Za każdą troskę, co się mężowi wyssało,
 Za każdy urząd, co się w Koronie przedało,
 Za każdą myśl synową, co się jemu skradło
 Zniewieściałością, by się snadniej nim owładło,
 Przyjdzie matee i żonie i królowej płacić!

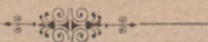
Montio (szyderczo.)

Kasztelan wciąż majaczy.

Gasztold.

Wam, nie mnie majaczyć!
 Bo wilczemi przebiegi nie stropicie zwierzy.
 Ojczyzna moja znajdzie gęstwinię serc czystych,
 Dobro jej jak dzik siędzie w lasach rozłożystych,
 A w nią ino lat starość, abo Bóg uderzy.

(po wysileniu upadł na łożu.)



A k t II.

Scena pierwsza.

(Sala posłuchalna w Zamku — dworacy w rozmaite koła podzieleni. Przedem sceny koło braci starszej: Stanisław Orzechowski, kanonik, biskup Dziaduski, Mikołaj książę Radziwiłł, Czarnym zwany, Andrzej Górka, kasztelan poznański, Ilja książę Ostrogskie i Piotr Kmita, wojewoda; koło zaś braci młodszej: Kaczkowski rotmistrz, Smolik Piotr, Kościelecki Jan i innych wielu. Stańczyk chodzi środkiem między obu kołami.)

Andrzej Górka (do swoich).

My z trojakiego łoża, Litwy, Polski, Rusi,
Wadzimy się w swych chęciach, jak bracia przyrodni;
Przecież by raz na Wołosz wynajdźmy się zgodni.

P. Kmita.

Gałęz troista — w trójkę rozchodź się kusi
Zawdy.

B. Dziaduski.

A dwie modlitwy, we dwu rytuałach,

To się na jednej ziemi tak plątają krzywo,
 Że ni to Bogu żniwo — ni to czartu żniwo. 4)

Ks. Radziwiłł Czarny.

Jako widzę Waszmoście radzicie o mszałach,
 Nie o dobru publicznem.

Orzechowski.

A skąd by nie z Boga
 Idzie publiczne dobro?

Ilja ks. Ostrogskie.

Polska nie uboga
 W kapłanów, toć powinni dawno pokój sprosić!

(Ku mówiącemu zbliżył się Stańczyk, a zdjawszy swoją czapkę przed księdzem, szyderezo po Orzechowskim spojrzawszy.)

Stańczyk.

Kanonicy przemyscy mają z sobą dosyć
 Zatargów o swe dobra, o swe połowice,
 By w modłach pamiętali aże na klucznicę,
 Co im chleba dodawa.

(Śmiech, rozmowa ustaje, ino w tem kole ciche szepty. Koło młodszych braci głośniejsze.)

Smolik (do swoich.)

A starsi czem? — Sztuką!
 Nam szaraczkom te panky całe głowy tłuką 5)

Swemi tytuły, jako chłopięta w popielec
 Garnkami po ulicy; a ich tytuł cielec
 Ze złota lub z zagranic, to nie wart szlachcica.

Kaczkowski.

Tako nie było nigdy dawniejszemi czasy!
 Czy my to konie, aby się dzielić na rasy?
 Tak dobry helm stalowy jak i rękawica,
 Bo oboje ze stali. Krew ich a szlachcica
 Jedna....

Kościelecki.

Wszystko krew jedna.

Stańczyk.

Krew jedna? — Czcza plotka
 Panowie szlachta! Kto rzekł, to istna czeczotka
 Nie szlachcic. Jako! jedna....

Smolik.

Jedna.

Stańczyk (zdejmując mykę.)

Dzięki za to.
 A więc i ja z dzwonekami równie waszym swatą?
 I ująwszy was panków pod boki w tej wierze,
 Państwo, szlachectwo, głupstwem skolę w jednej mierze;
 A jcszcze wam sprowadzę chłopa na dobitek,

Chłop z wami stanie w równi. Ja skłonię, bo zbytek
Głupstwa by było.

(Głośne śmiechy w starszych braci kole; Stańczyk znowu spokojnie
przechadza się między obu kołami.)

Smolik.

Znać że błazen pański,
Bo spańska gada.

(zawijazuje się rozmowa w kole starszych.)

Górka.

Trudna, trudna patrzeć sucho
Na wołoskie grabieże! Tamby miecz pogański
Przeszedł ażę pode Lwów. O pokoju głucho,
Rozlegle głucho. — Przecież kiedy brat zakrzyczy
Z bolu, nam nie osobnych zamyślać zdobyczy,
Ale mu zanieść pomoc na rękę, na szabli. 7)

Ks. Radziwiłł Czarny.

O — tak wypadalo! Przecież w naszej Litwie
Kiedy źle się tyrało nie w jednej gonitwie,
My do was braci polskich z prośbą, a wy na to
Panowie bracia rzekli: „Niech Litwę rwą djabli!
Dość mamy swojej sprawy!“ Dziwnaż że z odplata
Mierzy dziś Litwa?

Ks. Ilja Ostrogskie.

Skąpo nieraz i dla Rusi
Było na waszej łasce.

Orzechowski.

Kto czyni jak musi,
 A nie jako powinien, za złość mu nie biorą;
 Bo i Ruś do Korony przyklekła z pokorą
 Dopiero gdy splątana z Litwą, z Polakami,
 Zechciała lepiej bracieć z Polską, jak łubami
 Opłacać haracz Litwie. — A Litwa staniała
 Gdy pod siodło Iwana Bazyla iść miała.

Dziaduski.

Zgubna niejedność bracia! Wy braćmi po krzyżu,
 Braćmi po tej ziemicy, co aż do Bałtyku.

Górka.

Braćmi i po żelaznym tym naramienniku,
 Co nas po bojowiskach w jednym gnał paizū;
 A zamorska haubica, a tatarska strzała.
 W hufcach naszych krwi jednej, lackiej krwi szukała.
 Tron u nas zobopólny, wiara zobopólna,
 A krzywda masz być inna? A rana szczególna
 Nie dotyczy całości? —

Ks. Radziwiłł.

Jak dotyczą prawa,
 Tak dotyczy i szkoda; wam inna ustawa
 Rządzi, a nami inna; wam się chce Wołyńia, *)
 Podlasia, Ukrainy; my wam chcemy ręce
 Podać, nie ziemie nasze — wy nas w niemowlące
 Chcecie paski okolić, to nam żal przyczynia.
 Sejmy, to wasze sejmy; co nam za przysługa
 Że Polska sejm zwolywa i tam na nas mruga —

Na Litwę, a my pędzimy jak folwarczyna czeladź!
 Równe niech będą prawa, gdy równie trza przelać
 Krwie, aby ich dostąpić.

Ilja ks. Ostrogskie.

Co tam sejmy walne,
 Kiedy wam ciężą prawa Rusi senioralne. ⁹⁾
 Jeden król, a w senacie przodek Polak trzyma,
 Polak wybiera króla, a Rusin go ima
 Chce czy nie chce, ino go pokłonem nawiedzi,
 Połknie ślinkę za niego i tak z cicha siedzi
 Jak błazen Stańczyk, gdy mu kto dzwonki odejmie....
 Ciasno jest pierśiom naszym na Koronnym sejmie.

Górka.

To się jakoś ugodzi.

Ks. Radziwiłł.

Kiedy bracie — kiedy?
 Wam czas, ale Litwinom ten czas dłużej biedy.
 A kiedy przyjdzie? Czy się z królatką wypisze,
 Co go włoski fraucymer do tronu kołyszze?

(Milczenie. — Koło braci młodszych zsuwa się do starszych i okalają ciekawie Radziwiłła,⁹⁾ a ten uroczystym głosem dalej rzecz prowadzi.)

Ciekawy czas! Gdy babskim naukom nie skłamię,
 Troiste berło porwie jak rańtuch w swe ramie;
 Męskość, rycerstwo prawe od siebie odfuka
 I tak się skryje w matkę, że go Lach nie zszuka.

Kaczkowski, rotmistrz.

Dobrze prawi pan ksiązę; na senat przystało
 Żądać po starym królu by ono przejrzało
 Młode królaćko w strzelbę więcej jak w kobiecy
 Umizg; bo gdy za młodu nie zwącha haubicy, ¹⁰⁾
 Ani szyku nie zajrzy, ni męża w ordynku,
 To nie szeroko o tym ojca upominku
 Ojezyzna będzie mówić na potem....

Górka.

Jam radził,

Jam prosił, jam Augusta w Wołosz wyprowadził
 Z Janem z Tarnowa; cóż gdy dworska namowa
 Głośniejsza — więc zwołali!

Kościelecki.

Ha, w tem wasza głowa.

Stańczyk.

Głowa włoskiej salaty lepsza niż Waszmości,
 Bo nią można obdzielić i królewskich gości.

Smolik.

Ale niestrawna i tym nawet, co częstują.-

Górka.

Odepchnęli nas z prośbą, niełasę gotują....
 Górkom niełaska — to śmiech; ale przyszłość zgubią!

Stańczyk.

Dziw że gdzie dolki kopią, tam Górek nie lubią?
 To nie dziwna dla błazna. Jam zbrukał me szaty
 Chodząc za młodym Panem z komnat do komnaty;
 Jam mu przekładał moje błazeńskie przygryzki,
 Posypałem, by szafran, kobiece półmiski
 Żartem moim; on zatli, nieraz krew zobaczem
 W oczach jego — fraucymer ugasi ją płaczem.

(z czułością coraz większą.)

I dzieciuch znów dzieciuchem. Bo wam myśli gwoli
 Że błazen — to go w sercu nie już nie zaboli,
 A w głowie mu tak pustka, jako w tej komnacie,
 Co dla gościa sprzątniona? Oj źle w śmiechu szacie
 Nosić myśli nieśmieszne i serca zbolalość!

(W tem z wielkim trzaskiem otwierają się drzwi od strony królewskich komnat. Bona, poprzedzona marszałkiem, przechodzi dumnie głębią sceny z całym swym dworem. Panowie dworscy skwapliwie na swe miejsca wracają; na środku sam jeden został Stańczyk, za odchodzącą królową wskazał palcem i przerażonym rzekł głosem.)

Patrzcie, to nasz strach przeszedł!

(Niebawem za Boną idzie August do jej komnat, Stańczyk pokazując na niego.)

A to nasza żalość.

(Wszyscy mierzają. Z tej samej strony od króla komnat wychodzi Jan Ocieski, kanclerz W. K.)

Ocieski.

Król Jegomość, czynnemi zarzucon sprawami,
 Waszych Miłościów na dziś nie przyjima.

(odchodzi.)

Ks. Radziwiłł.

Tak z nami

Już od Weneckich zapust. — Skończę ja zapusty!

Smolik.

Warto! Bo czas daleko minął czwartek tłusty.

Firlej (wchodzi od królowej komnat.)

Hej Stańczyk, do królowej!

Stańczyk.

Stańczyk zaraz stanie.

(Firlej odszedł.)

Ja poseł głupstwa, to mnie pierwsze posłuchanie
U królowej Jejmości! Po mnie w drugim rządzie
Firlej w nowym żupanie.

Smolik.

Źle z Stańczykiem będzie;
Nie chciałbym w jego skórze postać.

Górka.

Ale w sercu

To i Górka by zechciał.

(Rozchodzą się zwolna, szeptając sobie na ucho.)

Scena druga.

(Komnata Bony, owa co w 1. akcie i 1. scenie. Dwór i fraucymer stoi w da.i; strony zaś bliżej Bony Z. August rozmawia z doktorem Montio; Bona na przodzie sceny długo z cicha łąje Stańczyka.)

Bona (kończąc.)

Reszta na kobiercu;
To pójdzie na rachunek co spełnisz z rozkazu.

Stańczyk (do siebie.)

Oj — że tu krucho będzie wiedziałem od razu —
Mniejsza; jam mu poświęcił i skórę i kości.

(głośno.)

Stańczyk wypełni rozkaz królowej Jejmości.

(Wchodzi Barbara Gąsztdowa — suknia czarna jeszcze krojem zakonnym
i rzuca się do nóg królowej.)

Montio (do siebie.)

Przyszła!

Barbara.

Ja do nóg waszych, łaskawa królowo,
Za życia męża w dziękach niosę słowo,
Niezwykle kłaść się w uszy tak wielkim godnościom;
Alem ja się pytała żoninego czucia,
Boga wezwałam, aby dziękować Miłościom
Waszym, królowo moja!

(Królowa ją podniosła z kolan.)

Z. August (śmiejąc się do Montiego.)

Jakże strój zakonny
I zakonne schowanie!

Montio.

Wasz wyraz niepłonny:
To Gasztoldowa żona. On ją od zepsucia
Świata, jak mówi, w Trockim zamku schował.

Z. August.

Jam jej w dworcu nie zaznał, nigdy nie zdybywał.
(patrzac ciekawie.)

Gładka twarz....

Bona (do Barbary.)

Kasztelanekę wileńską tak cenię
Jak dziecko nasze; wszelkie jej boleści żenię
Z mojemi, bo zasługi męża wojewody
(z ironią)

Szerszej jak moja pamięć godne są nagrody.
(do Montiego)

Jakże go tam znalazłeś doktorze?

Montio (z ukłonem.)

Królowo!
Przy waszych uszach nie śmiem — ino prawdy słowo
Wyrzec: źle bardzó.

Barbara (przerażona.)

Jakto?! Doktorze! — Królowo!
 Jako, mąż mój źle bardzo? — Przed dołą mówileś
 Słowo o zdrowiu jego!

Montio.

Jam cieszył.

Barbara.

Cieszyleś?....

Toś ty cieszył doktorze! A jam w serce brała,
 A jam się tak radością szczerze kołysała!
 On źle bardzo, doktorze? czy was co nie myli?
 To mój mąż, wojewoda trocki, on tej chwili
 Zasnął, to jemu lepiej. Królowo! Bóg z wami!
 Doktorze, o! Bóg z tobą! Toć temi słowami:
 „Lepiej, o! jemu lepiej“ żegnałeś mnie wczora;
 Toćmy nie zmoreę mieli — my doktora
 Żegnali wczora wieczór! Jemu lepiej — lepiej!
 To mi spać dało nocą, to mię i dzień krzepi....
 Bój się Boga, doktorze, to omyłka płocha!

Z. August (do Montiego.)

Jak ona z serca prosi — jak go czule kocha!

Bona (zimno.)

Co natura kazala, doktor nie odwoła.

Barbara.

Więc on źle bardzo?... Boże! I nadziei zgoła —
I nic mi — i płacz ino? Litujcie nademną!
Nad moim mężem, panem! A więc już daremno?

(pada na kolana.)

Królowo! Matko nasza! Każ jemu, niech przecie
Użyje całej siły! — On na włoskim świecie
Musiał zapoznać tyle leków i nauki....
Każ by mnie nie odmówił; on zna wszystkie sztuki,
Nie mógłżeby mi męża powrócić i pana?

Z. August (do Montiego.)

Śluchaj — ona od męża kochana?

Montio (śmiejąc się.)

Kochana?

Jak koń, co mu jest w stajni, jak zbroja na ścienie;
Kochana z polska.

(Bona milczy patrząc w syna.)

Barbara (wstaje.)

Więc mnie już wdowie odzienie!
Któż mi będzie pomocą? Z kim mi życiem dzielić!
Przyjdzie dzień, to samotna stęsknię po komnacie;
Przyjdzie noc, to mi padnie z łzami się pościelić.
Pana, męża nie będzie; jak w ubogiej chacie
Biedno będzie Barbarze; bo najkosztowniejszy
Sprzęt mojego bogactwa, bo najszanowniejszy
Klejnot mojego domu, toć już grób zabierze!

Z. August (rozczulony.)

Słuchaj Monti! Worek mój, łańcuch mój w ofierze,
Co mam i co będę mieć — twoje, wszystko twoje;
Ratuj jej męża wnet. —

Montio (z uśmiechem.)

I królestwo moje?...
Wszystko dasz? — Choćbyś dał, co Bóg chce, odbierze.
Montio nic nie pomoże.

Z. August (coraz mocniej.)

To jej litość daj!
Dajcie jej litość! To nie włoski kraj;
Tu żona kocha! — To wdowa, to płacz,
Płacz wieczny! Monti, każdą chwilę znac
Jakby nie była w jej życiu, gdy siraci
Męża przez skon; Zygmunt ci zapłaci!
Ty ratuj go! Ja jej żalność znam
I czuję piersią; i ja taką mam
W mem sercu boleść — a gdyby mi brat
Lub ktoś tak luby żegnał ziemski świat:
Tobym tak płakał, takbym piersią dał
I rzucił nawet berło, a żalobę wziął!
O — biedna ona!

Barbara (posłyszawszy.)

Królewicu! Panie!
Proś matki waszej o politowanie!
Boście jej syn — a ja nie mam syna,
Coby się za mną do jej rzucił nóg!

Bona (podając rękę na pożegnanie.)

Kasztelanko, daremna pomoc.

Barbara.

Jeden Bóg,

Bóg tylko przy mnie!!

Z. August.

Barbaro — i ja!

Monti, chodź za mną!

(podaje królewic rękę Barbarze; Montio idzie za nimi, wpierw spytawszy wzrokiem królowej.)

Stańczyk.

Znów cię coś zawija

Z litości do miłości....

Bona (oglądając się.)

Stańczyk jeszcze tu?

Stańczyk (spiesząc odejść.)

W czas i tam będę.

Bona (do Luzzi i Palli.)

A mnie chwilę snu —
Skołataniem sercu, skołatanej głowie,

To choć królewska praca cięży po połowie.

(Śmiejąc się z ich osłupienia odchodzi na lewo sceny, dwór w prawo,
pozostają ino Luzzi i Palli.)

A wam do woli zostać.

Scena trzecia.

Luzzi i Palli.

Luzzi.

Czy Palli przejrzała

W co się to wije? — Palli tyś narzędziem
Była i swej zaguby! Nie Palli wygrała
Kiedy on słuchał; już go mieć nie będziem
Przy swych kolanach. Zestraszylaś dziecię
Od pasków, teraz chodzi należycie
Już o swej mocy. Nie na twojem łonie
Uspi się głowa; bo mu Barbara już płonie
Całą nowością żalu. Tyś biedna myślała,
Żeś wiosłem pełnem wodę sobie brała
Pod własne czółno, by bez Luzzi płynąć!
Palli, a był ktoś trzeci, co chciał nas wyminąć,
Bośmy już jej za wielko ciążyli na synie.

Palli.

O! jam przejrzała teraz Barbarę! — Któż minie
Zdrady, gdy się tak z gładka w poradę osłoni?
Zazdrość mi była w sercu; Palli ją uroni
Słowem, to Bona chwyta i sadzi mi w uszy

Takie myśli, co ledwie mnie nie zbawią duszy:
 „On ino twoim będzie jak Luzzię podsłucha.“
 Dziwnać, że mi te słowa tak wlekły do ucha
 Aże im zawierzyłam, aż w nich cała żyję?

Luzzi.

Teraz ci iść do niego, wszczepić się na szyję,
 W głowę i w oczy swoje wierzyć jak w zwierciadło,
 W którym miał się przeglądać, póki by nie zbladło
 Lice wasze z rozkoszy, a moje — z płakania!
 Gdzież jest twój dzień, choć jeden dzień, co od świtania
 Do zmroku nie miał gwiazdy, nie miał słońca, coby
 Oderwały go od twych oczu i osoby?
 Miałeś dzień choć jeden taki? To pomnę
 I żal mój, Palli zdradna, za taką przyczynę.
 Ale tyś go nie miała; bo ten dzień godowy
 Był ino jeden w życiu Luzzi i Augusta,
 Dzień jeden, co nagrodzi przyszły płacz wiekowy;
 A tak był bujny sercu memu, iże usta
 O nim nigdy nie rzekły, włoskie usta moje,
 Choć lubują w pstrych słowach. Palli! mnie na dwoje
 Było wróżyć w przeszłości: żona lub kochanka!
 On ma krew włoską: — Kto wie? — Jednego zaranka
 On mógł wstając z kotary zebrać się na słowo
 I rozkrzyknąć: „Ma Luzzi jest waszą królową.“
 On mógł — bo miał po temu pierś, co skryto ssala
 Upor z namowy mojej; jam go schodowała
 Nie po myśli dla Bony. Z wierzchu ino woda,
 A lód spodem. Jam Wenetka młoda
 Zamyśliła o mojej przyszłości szeroko!
 Chciałam mu w piersi leżeć aż w lodzie głęboko,
 Bym mu przymarzła kiedy on skrzydła rozwinie.
 Wówczas stałabym w duszy, jak mucha w bursztynie,
 Pewna, nienaruszona wszaskami, ni Boną,
 I spoczęłabym, Palli, aże pod koroną!
 A tobie Palli wszystko, wszystko prócz Augusta;

Tobie alszbanty z pereł, złotem tkane chusta,
 Zabawy tobie przy nim, cały dwór u kolan,
 Włoskie wdzięki książęcem łożem. — U tych Polan
 Książąt nie brak: czy Ilja, czy też Radziwiłła;
 A Palli tylko zechcieć, by w mitrę wstąpiła.
 A teraz co nam?

Palli (z rozpaczą.)

Luzzi!

Luzzi.

Palli, podnieś ducha!

(z cicha.)

Nas dwie Włoszek, a ona jedna.

Palli (z obawą.)

Kto podsłucha!

Luzzi.

Daj mi rękę, my społem!..

(zbliża się Palli, i poczyną się między nimi cicha rozmowa, gdy w tem rozsuwa się szkarłatna środkowa opona i z za niej wychodzi Stańczyk.)

Stańczyk.

Do pactum ja trzeci;
 Przyjmijcie błazna Luzzi. — O! wam włoskie dzieci
 Puszczać stoczek po wodzie na korkowym drzewie
 By męża zszukać!

Palli (zastraszona.)

Stańczyk!

Luzzi (z cicha.)

On może i nie wie....
On mógł w pół nie dosłuchać... Co Stańczyk porabia
Po królowej komnacie?

Stańczyk.

Błazen się zabawia
Po błazeńsku słuchaniem; gdy kto z pyszna sadzi
Językiem, jak wy Luzzi, to błazna sprowadzi
Choćby o sto mil.

Luzzi.

Więc tyś zasłyszał nieboże?

Stańczyk.

I dobrze. — Tak mi uszu przybyło na dworze,
Że Stańczykowi słyszeć kiedy grusza rośnie,
Słyszeć gdy kto na boku zapiśnie miłośnie....

Palli.

Więc ty na to zeszedłeś by nie tylko bawic,
Ale szkodzić? — Leć, pobież królewica zbawić!
Kładź mu w ucho co niosła do ust troska płocha.
Co nam z tego? Nasz Zygmunt już tam inak kocha..

Stańczyk (żywo.)

Kogo?

Luzzi (cicho.)

Kogo? Barbarę, Gasztoldową żonę.

Stańczyk.

Księżnę? — I to za mało, on nosi koronę.
Choćby tak, mniejsza; Stańczyk nie na to się trudził,
Nie na to za szkarlatną oponą się nudził,
By wiedzieć kogo znowu chłopię polubiło;
Jam słuchał ile z pleców kary mi ubyło.
O! lżejsze plecy moje! — Marszałkowi
Uchronię wiele pracy, gdy Stańczyk pomówi
Z królową Boną o tem, co wyście gadały.

Palli (dając mu perły.)

Stańczyk! Weź perły moje.

Stańczyk (ważąc je w rękę.)

Pełny sznur a biały...

Nie biorę; na co perły? — Krótka u mnie szyja,
A plecy długie? Dobrze się w nich kij uwija
Pana marszałka, kiedy królowa pomówi!
Choć i błazeństwo zrobić nie szkodno blaznówi
Gdy królowa nakaże...

Luzzi (z umizgiem.)

O — znam twoje chcenie :
 Tyś syna króla swego ukochał pieszczenie ;
 Tyś mu jako duch dobry prawdą w serce mierzył,
 Ni królowej nie wierzył, ani nam nie wierzył,
 Byśmy o królewica dobru zamysłali.

Stańczyk.

O! to prawda!

Luzzi.

Więc słuchaj to, com rzekła. Palli,
 I słuchaj więcej, bo serce rozgadam
 I głosem szczerym myśli wypowiadam :
 Kocham Augusta to jak Bóg na niebie!
 Ja go kocham; ale tak jak wy; nie dla siebie,
 Dla niego kocham. Mniejsza co mi stąd wypadnie ?
 Czy korona, czy płacz; niech tylko nie kradnie
 Chwil jego, uczuć jego, inna białogłowa.
 Wam nie znać jak go teraz splątała królowa;
 On się zagubi August: Barbarę poddali;
 Barbarę Bona, Monti przy łożu zdybali
 Z żalem, płaczem niewieścim rozlaną zbyt kownie,
 By dla zabawy syna nową zdmuchnąć głównie.
 On zaszaleje August, w nowość tak rozhuka
 Że w Gasztoldowej gachu nie się nie odszuka,
 Ni Bonie syn, ni wam król — Mnie płacz, łzy — to woda.

(udając wesołą.)

Niewieścia woda płynie — wyschnie; tak trzymacie
 O nas Stańczyku, prawda? — O! wy prawdę macie!
 O mnie nic — lecz Barbara! Toć wam króla szkoda!

Podawałeś mu nieraz ręce ; teraz głowa,
 Głowa wasza potrzebna. Trudnoby ci schylić
 Głowy aby podstępny królowej omylić,
 Zepchnąć z boku Barbarę?—Patrz : Hetman z Tarnowa
 Andrzej Górka kasztelan, chętnieby zachcieli
 Wyrwać młode paniątko z niewieścich zalotów ,
 My wam pomagać będziemy — my z serca wyjęli
 Co nam wadziło — Bonę ; a wy ?

Stańczyk.

A ja gotów...

(zamyśla się.)

Aby ino to prawdą ? — Byle ta ochota...

(sobie)

Co nie poweźmie Włoszka, gdy nią zawiść miota !

(głośno)

Jam gotów wszystką piersią ; ależ jak ugodzić ?

Palli.

O ! Nie tutaj — tu można pod szkarłat podejść,
 Tu można słuchać — i gdy mówim, to ktoś czwarty
 Mógłby w twoje i nasze pozaglądać karty.

Luzzi (oglądając się.)

Puśćmy wieść o zalotach Barbary we dworze...

Palli.

A potem ?

Luzzi.

Obaczymy...

Stańczyk.

Może Bóg pomoże.

(rozchodzą się.)

Scena czwarta.

(Komnata w mieszkaniu Gasztolda; w środku sceny odrzwie w pół zasłoną zieloną zakryte, prowadzące do sypialni Gasztolda. Barbara i Z. August przy nich w pół nachyleni w ciemną komnatę patrzą ciekawie. — Po chwili z sypialni wychodzi na palcach Montio i z cicha mówi.)

Montio.

On we śnie; sen mu lepszy na dobie niż leki.
Przybędę w razie...

Barbara.

O! wy nie skąpcie opieki!
Moja jedyna prośba — to życie mężowe;
Moja jedyna pomoc — to lzy białogłowe;
Niemi życia nie nadam, jeżeli nie sproszę.

Montio (biorąc na ubocz królowica.)

Daj jej pociechę, panie ; ja doktorskie noszę
Serce i usta, niemi trudno zafrymarzyć,
I nadziei wystarczyć — i śmierci wystarczyć.

(odchodzi.)

Barbara (po chwili.)

On ci mówił coś, panie ?

Z. August.

Trocka kasztelanko !
Doktor Włoch, dziwo, lubi cichą pogadanką
Strwożyć, aby dać skutek swoim lekom znaczny.

Barbara.

Lubi tak ? A gdyby cios uderzył opaczny ?

Z. August.

Cóż ztąd ?

Barbara.

Ztąd płacz mój wdowi i ubogie chwile,
Z którymi wlec się przyjdzie na męża mogile !

Z. August.

Tobys tak krótką dobą chciała świat ten spożyć
I młodość z starym mężem w jeden grób położyć ?

Barbara.

Młodość moja — nie moja, mego męża pana ;
 Barbara Gasztoldowi na życie oddana.
 Kiedy rękoma, płaczem, modlitwą u łoża
 Nie może go uzdrowić, więc Opatrzność Boża
 Inną jej zapisała powinność małżeńską :
 Jej stać przy jego trumnie z koroną męczeńską,
 I póty do niej pukać łzami i powieką,
 Aże się jej otworzy to małżeńskie wieko.

Z. August.

O! ja was nie znałem polskie białogłowy !
 Znam włoskie, miękkie czucia ; lecz ten płacz surowy,
 Co w nim łyzy ciężkie jakby topnęły ze stali,
 My się z niego na dworcu naszym naśmiewali...
 Bo krój waszego żalu, jak sukni — zakonny,
 Bo wzrok wasz w lubowaniu, jak w kościele — wbronny.
 Wam zdjęte powinnością serce tak znieźniało,
 Że krom myśli o sobie nie tam nie siedziało —
 Takim was sądził.

Barbara.

Inak, królewicu panie,
 Czyż winna białogłowa pokazać swe chęci ?
 O Bogu, to do myśli — o mężu staranie,
 To do uczucia żony należy. Co święci,
 Co zaboli tam w głębi, co przemknie jak dziwo,
 Temże trudzić małżonka, albo kogo z ludzi ?
 Tak nie kazały matki nasze. Przecież żywo
 I one czuły jako czasem myśl ponudzi,
 Zagra jakby organy w całym wnętrzu ducha,
 Że nasza biedna dusza tej muzyki słucha
 Aż do zbielenia włosów. O — ta myśl jak zacznie
 Kręcić się krzywo w duszy, to na świat opacznie

Każę nam patrzeć — roić, co nigdy nie było;
 To jakby kto w dzień zasnął i w dzień mu się śniło
 Z rozwartemi oczyma, i to bez skończenia!
 O! wtedy chce się jakoś miękkiego ramienia,
 Na którym wsparłszy głowę, utuliwszy skronie
 Moznaby cicho słuchać co tak w duchu płonie?

(pauza.)

Ongi przy łożu męża w taki grzech popadła:
 Myśl, dziwo, głowę moją na przekor osiadła;
 I widziałam młodego rycerza na koniu:
 Koń mléko, wraz z nim siwiał po zielonem błoniu
 W dangowskich krzakach okiem coś przemawiał do mnie
 I ręką mówił, ale z dala, nieprzytomnie.
 Koń nosił, jam leciała! Krzaki, tarń kolczaty,
 Zakrwawiły mi nogi, postrzępiły szaty;
 Leciałam, bo mi jakoś serce tak do niego —
 Liść do ziemi — leciało, i bezprzytomnego
 Dognałam. Serce biło — zerwałam od siodła
 I podałam mu ramię — i ku domu wiodła,
 A on odrzekł mi lubo: „O Barbaro moja!
 „Tobie lecieć tak za mną, jako koń mój bieży,
 „Tobie i zginać ze mną, jako pierśna zbroja:
 „Bo kto na jednym łożu, ten i w jednym leży
 „Grobie.“ Mnie có powiedział, to się składło miło...
 Żeby to się kochało — tak jako się śniło!
 Lubo, młodo i wspólnie piersiami całami,
 T oby i nie żał w jednej zakopać się ziemi.
 A tu się męża kocha na jawie jak pana,
 A tu się siedzi nieraz zamyślna, strokana...
 Ni mu powierzyć troski, bo troskę wyśmieję;
 Ni mu gadać nadziei, bo sfuknie nadzieję;
 Ani mu gadać boleść, bo ma rozum starszy:
 Słabością przezwie boleść. O! tak — lżę otarłszy
 Sieść do krosna i w kłębek rozwijać te nici
 Z myślami białej głowy! Wy pancierzem zszyci,
 Neurobieni do bólów, rzucicie nam słowo

Uragania czy żalu: „Biedna białogłowo!“
Lecz dognać nas w cierpieniu...

(wstrząsa głową.)

Z. August (chwytając ją za rękę.)

Gasztoldowa żono

A gdyby dognać? Gdyby zrobić tak
Serce do bólu, jak do lotu ptak
Swych skrzydeł dwoje? — Gdy się skrwawi łono
Zdradzeniem młodych towarzyszek, sług,
To i nam mężom przyjdzie na myśl ból
I skraje piersi, jak żelazny pług;
Zniechce się życia, choć w przyszłości król,
Król miał być ze mnie! Dziwne życie moje!
Ni takie ostre, jak mężom przystało,
Ni tak niewieście, by się obawiało
Miecza i krwi. — O! ty mnie na dwoje
Barbaro bierz! — I mnie twoje śnienie
Nieraz do szorstkiej piersi zakolacze;
Do mego boku niewieście odzienie
Tako przywykło jak niewieście płacze!
W obu schowany od mała urosłem;
W lackiem ja życiu włoskiem płynął wiosłem;
Takoż kochałem przez śnienie głęboko,
Takem dopatrywał w rozkosze wysoko,
Jak mego sokoła oko!
Takem zapragnął nieraz by kto wszczepił
Serce ku memu, jak wy do siwego
Konia i jeźdźca; by mnie w biegu krzepił,
W biegu żywota, by nie znał żywego
Czucia krom dla mnie. Może to za płocha
Była myśl moja: Tak się Boga kocha
Jako ja chciałem ukochanym być!
Lecz tak mnie matka nauczyła śnić,
Taką mnie Luzzi kołysała ręką,

Taką mi Palli śpiewała piosenką.
 Od męskich mi zabaw odrzucili myśli,
 Z całusem, z pokusą do serca mi przyszli;
 Bo tobie nie zaznać co włoska pieszczota...
 Jaka tam do zabaw, do uciech ochota:
 Niewiasta jak słońce weneckie przejrzyste,
 Gdy idzie do łoża na zachód — to czyste
 Nie schowa się w chmurę ze wstydu; lecz cało
 Rozbierze swe wdzięki i stąpa tak śmiało
 W kochanka objęcia — (z przypomnieniem.) Tak to się kochało!

Barbara (pomięszana.)

A królewicu! Kędyż poszedł wstyd?
 Powinność męża, kochanka i zbroja?

Z. August (wskazując na serce.)

Tu ściekł mi wstyd, o! Barbaro moja!
 Tako mi moja rozgorzała krew:
 Chwały mi chcieć — bom rozkoszy syt...
 Wyspał się dzieciuch, a budzi się lew.

(tkliwie.)

Ale mi serca nie przemienić w łonie
 I tęsknić za tem, co we mnie utonie,
 By komar w świetle.

Barbara (z przymówką.)

Na dworcu tam pań,
 Co dają serca...

Z. August.

Dworska, włoska dań,
To haracz Turkom ; ja to u nóg mam...
Mnie jeśli serca, niech je wezmę sam.

Barbara.

Gdzie ?

Z. August (z wybuchem.)

Tutaj!

Barbara (przeżona krzyknęła i odskoczyła.)

Jako ! Tutaj do zdobycia
Serce ! — Gdzie ? Obok męża, co bez życia
Tam jęczy w bólu — i nim zamknie oczy
Już na dziedzictwo jego inny rękę toczy !
Może to serce ? — Nie to męża pana !
Bóg nas połączył ; jemum ci oddana
Z woli rodziców. Bóg, rodzic, to święta
U onej niewiasty. Jamci nie panięta
Włoskie, co z powinności strzygą się jak z wełny !
Mąż u mnie w domu i w sercu tak pełny,
Że ó tem choć zamyśleć to się dusza stracha :
Gach, choć królewic !...

Z. August.

Tutaj śmierć za gacha
Służy ci, ena Barbaro ! Gasztold nie dożyje
Jutra.

Barbara.

A ty chesz jeszcze bym dziś dała szyję?
 A on jutro by skończył? Toś z litością bieżał
 Królewicu, by w sprośność serce me najeżył,
 Jutro! — Więc całe jutro mój Gasztold by przeżył,
 I bacząc na twarz moją, mej żańobie wierzył!
 I przeniewierczą żonę Bogu by polecał,
 Słowem swojej pociechy przyszłość by rozniecał
 Jako dla swojej wdowy! — A wdowa zakała!
 Jednemby uchem śmierci — a drugim słuchała
 O weselu? — Auguście! przecież litość miejcie!...

(łkając.)

Słowa wasze, przez Boga, to w żarty rozwiejcie
 I myśli wasze czyste na gospodę sproście!
 Więcbyś chciał by stypowi i weselni goście
 Razem się tu na zamek mego pana zbiegli?
 I słudzy, co przy trumnie z pochodnią go strzegli,
 Nie zgasiwszy pochodni poszli przed oltarze
 I sprowadzili wdowę do ślubu?... Bóg skarze!...

Z. August.

Niech mię skarze żem prędko w uczuciach zagonił!

Barbara.

Tyś do tronu — Bóg będzie namiestnika bronil;
 Ale się nad niewiastą ocięży mu ręka!

Z. August (klęka.)

Nie, Barbaro — Patrz: Zygmunt tu w kolana klęka
 I prosi go o całe uznanie mu winy!

Barbara.

Za wami modlić będą całe twe krainy ;
Ja sama modlić będę, jak za mego króla !

(kłęka.)

„Nademną niech się tylko twoja spełni woła !“

(z za sceny dolata głos Gasztolda słaby i ponury.)

Barbaro !

(na ten głos oboje się wzdrgnęli.)

Barbara (z cicha.)

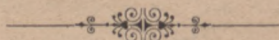
To głos Boga -- on do męża woła !

(z za sceny znów głos.)

Barbaro ! do mnie !

Barbara (do Augusta tuląc się z bojaźni.)

Słyszysz ! Jam mu do padła
Winna iść, niżli myślą brudzić się nieskromnie ;
Bo ten głos ciągle woła : „Barbaro ! idź do mnie !“



Akt III.

Scena pierwsza.

(Komnata sypialna Gasztolda z aktu pierwszego sceny ostatniej. Na łożu kurtą okryty leży Gasztold, w nogach mu stoi żona, a Zygmunt August przy wezglowiu wojewody siedząc, oparł swe ramię na jego poduszkach.)

Gasztold.

A dziś mi lepiej, królewicu panie!
Bo krzepi twa bytność i politowanie.
Kiedy ja patrzę na was w tak maluczkiej wiosnie,
To mi niby młodemu — młodsze serce rośnie.
Kiedyś ja byłem takim, chłopię u husarki,
Gdym z królem Aleksandrem gonił na poswarki
Wołosze; a wzdy oni witali nas lasem.
Drzewne to były czasy: My szlachta z hałasem
Łamaliśmy się z dęby i z zdradą wołoszą,
Że aż ręce o inne rękawice proszą,
Tak się zdarło żelazo wojenną potrzebą:
Boć to nasz król nieboszczyk, daj mu Boże niebo!
Krótko, ale na koniu żył.

Z. August.

Daj i mnie tak Boże!

Gasztold.

O! daj ci! To me ręce w krzyż spokojnie złożę...
 Ino mknij z dworcu, serce zaraz ci zagada;
 Cnota żelazo — w dworcu na cnotę rdza pada:
 Pod gołe niebo z cnotą, to się ona przejrzy
 W czystym niebie jak w wodzie, i Bóg na cię wejrzy!
 Bo piękne włości wasze, Korona i Litwa!
 Bo piękna przyszłość twoja, rycerska gonitwa.

Z. August (na poły do Barbary.)

O! piękna! Byle serca z kim przyszłość podzielić!

Gasztold.

Jakto! — Nie ma z kim królu? — Dwie oblubienice
 Patrzą za wami okiem, jako dwie siostrzyce
 I czekają by tobie przyszłość uweselić.
 Jedna się zubierała w żółte zboża, miasta,
 I twierdzami, murami już ci w pierś dorasta;
 A druga się zawila w swoje bagna, knieje,
 Dęby swe rozłożyste, wielkie jak nadzieje,
 Które w tobie pokłada — to dla ciebie chowa,
 Jak szaty swe weselne, Litwa puszcza królowa.
 To wasze białogłowy; tobie się zniewieścieć
 Jakby się obie mogły w waszem sercu zmieścić;
 To dworzec dla Zygmunta Augusta, to klatka
 Młodemu orłu: w niego niech cię zamknie matka
 I rozkoszować każe. Bechter, koń a szabla,
 To dla cię fraucymery — tanto miłość djabła;
 Bo jedna doba bez nich, jedno zapomnienie
 Może cię życia zbawić lub przygryść sumienie.
 Rodząc się królewicu, tyś się z niemi żenił,
 Przy obu piersiach młodo jak wąż się pierścienił;

Teraz starszy, ściśniej je klębami do siebie,
By cię jednego mieli, jedno słońce w niebie.

Z. August (z zapalem.)

Będzie tak, w żywy Bóg, Trocki Wojewodo:
Co było, o to mniej dbam; tak przeszło jak z wodą.
Ojca krew, wasza krew, z wiekiem mi dojrzewa,
W skrzydło pierz, w kudły zwierz, a mnie męska grzywa
I rośnie dłoń Gasztoldzie! (wstaje) Kiedy się rozpaszę
W życiu, to tak ukocham te ziemice wasze,
Że nam oblubieńcowi piersią nie wystarczą
I ramieniem królewskim ściśnięte zaskwarczą!

Gasztold (ocierając łzy.)

Ja pierwszy raz tak płaczę, boś mi to u łoża
Narodził się tak innym, jak trzeba koronie!

(podnosi się w łożu i chwyta za rękę królewica.)

Gdzie król? Niech was uścisnę w obie swoje dłonie!
Gdzie bracia moi? — Niech wam zaścielą podnóża!
Gdzie hufy nasze? — Niech swe chorągwie rozwiną
I do mnie, do mnie! — Bo gdy łzy mi płyną,
To tam musiało we mnie tyle przybyć ducha,
Że Gasztold jeszcze śmierci bliskiej nie posłucha!

(znużony wysileniem skłania głowę na rękę Barbary.)

Barbara.

Mężu mój, panie... zdrowie...

Gasztold (podrywa się.)

Co tam ważyć zdrowie

Gdy taka piękna przyszłość osiadła mi w głowie!
 Ojczyzna mi bezpieczna! Województwa moje!
 O! Trockie województwo! Ja za niem tak stoję

(składa ręce do Augusta.)

Ojciec za swoim dzieckiem! W wasze ja go ręce,
 Przyszły króla dziedzicu, w twe piersi panience
 Poruczam. — Oj! to piękna ta Trocka puścizna!
 Lasy, zstarzałe lasy, jak dęby dzicyzna;
 Cztery powiaty łanie ino skrzyecz w żelezie;
 A gród przy województwie, co im na kark lezie,
 Kark ma z muru, haubicą jak szerszcią czubaty,
 A cztery jemu rzeki leją swe wiwaty.

(już wolniej i posypiając.)

Weźcie ino w smycz charty i ogary czujne,
 Jastrzębie i rarogi i sokoły bujne;
 Puście sokoła w lecie, ogary w jesieni,
 A rarogi pod zimę: to się tam wyleni
 Dangowska knieja zwierzem, by słońce w zachodzie
 Siwawemi chmurkami. — Cicho!... W Trockim grodzie
 Trąby, rogi! Ulala!... Hej! a na koń szeczawcze!
 Ogarów sfór trzydzieści... siwy... daj go... gracze!

(zasypia.)

A rusznica na przełaj... Basiu... bywaj zdrowa...

Barbara (spuszcza głowę jego w poduszkę i patrzy nań.)

Niechaj cię Matka Boża w śnie od złego chowa!

Z. August (bliżąc się ku niej.)

(Ta cała scena cicho się półgłosem mówi.)

A mnie Barbaro?

Barbara.

O — wam, królewicu panie,
Dzięki za czule przy nim i chętne czuwanie.

Z. August.

Czuwałem nie sam, czuwało nas dwoje ;
Wy nad mężem, nad wami biedne serce moje
Czuwało !...

Barbara (z przestraczem.)

On posłucha !...

Z. August.

Senny nie ma ucha.

Barbara.

Senny ! — Lecz tam nie senny w górze Bóg posłucha.

Z. August.

I czego ma posłuchać ? Ja uczuć nie kłamię ;
Żeś mi w serce przypadła, Jego święte ramię
Dopuściło. — Nie powiem — to sam Bóg wyczyta,
Wy czytacie Barbaro ; by mi w lic przybita
Wasza pamięć, zwierciadło, i gdy weń popatrzę :
Moich myśli nie widno, jedna myśl je zatrze,
Ta myśl o was, Barbaro !

Barbara.

Biednam białogłowa!

Jam nie przywykła takie nadybywać słowa
 W ustach ludzi. — Wy pierwsi tak słodko mówicie...
 O! wy mnie królewicu mej woli zbawicie!
 Wyście mnie już zbawili! I gdym wczora siadła,
 Jakież mi się tam strojne roily widziadła
 Przy łożu męża pana; anim w krosna tknęła,
 Ani mi do modlitwy chętna myśl klęknęła,
 W nabożnej książce wasze czytałam wyrazy...
 Jam nie taka jak wczora! — Barbara bez zmazy,
 Co wczora z łoża wstała — zżegnała się z nami,
 A ja nową Barbarę dziś przyjąłam łzami! —
 Dla tej Barbary męża ni choroby niema;
 Ona w świat inakszemi przerzuca oczyma...
 I mam rzec? — Tak ciekawie na grób zapatrzała,
 Jakby tam kogoś szczerze widzieć już żądała!!
 O! to źle dla niewiasty! Bo co z grobu rośnie,
 Czy to jabłoń z jabłkami, czy to róża w wiośnie,
 Tego się żadna ręka pobożna nie tyka;
 Rwać je, to dłoń niewinna zmieni się w grzesznika.
 A tak i miłość moja, co wzrasta w tym cieniu,
 Tuż przy łożu mężowskiem, nie w jasnym promieniu
 Obmaluje mi przyszłe wdowie, płaczne życie!

Z. August.

Barbaro, Bóg z tobą! — Co winno to dziecię,
 Co się rodzi przy grobie, a na świat przejrzywa
 Skonem matki, co go nie skarmi nieszczęśliwa?
 Wszak Bóg to dziecię przyjmie, choć nazwie sierotą.
 Barbaro! owem dzieckiem nasza miłość z cnotą!
 Mniejsza gdzie się zrodziło, byle mu kolebą
 Wasze łono i moje, byle za niem niebo

Było — mniejsza o ludzi. Kolebę podzielim
Między siebie, a skończym żalobę weselem.

Barbara.

Wy ze mną? — A korona?

Z. August (zbliżając jej rękę ku sobie.)

Ty przy mnie — korona

(pokazując jej w niebo.)

Nad nami — patrz, tam w górze przez Boga wzniesiona!

Barbara.

Patrz: a tu dołem człowiek, a tu dołem ludzie,
Matka wasza, dwór cały, ojciec wasz, dziedzicu!
A wszyscy wzgardę dla mnie niosą na swem licu!
Mnie korona! — O takim mnie nie myśleć cudzie.

Z. August.

Nie patrz na nich, lecz we mnie, bo ja wam jak zbroja:
Pod tą zbroją bezpieczna, boś ty jest pierś moja.

Barbara (dumając.)

Jakby się dziwnie życie moje rozłamało
Między wdowie upięcia, a weselne szaty!
Życie z wami byłoby jak na grobie kwiaty...

(na Gasztolda.)

Z nim, jak pogrzeb, po którym kadzidło zostało.

Z. August.

A mnie, Barbaro, inak przyszłość kroczy!
 Kiedy ja żenę z wami w jedne krańce
 Przyszłości, to mi sarabandy, tańce!
 I nocy, w których nie zaspię ochoczy,
 I dni, po których zatęsknię do słońca,
 I z nocą bym się żegnał aż do wieków końca!
 Chęci me powysyłam na wasze usługi,
 Chwile szczęścia opłacać będę jako długi,
 Włoska krew ile płacić zdoła:
 Bo chciałbym przez nią zakupić anioła,
 Coby u Boga dla mnie miał otwarte usta.

Barbara.

Ojczyzna moja, to anioł Augusta,
 Anioł dziedziców tronu — Białogłowa w skryciu,
 Zawiązana w powinność, zatopiona w szyciu,
 Nie uderzy w modlitwę takimi piersiami
 Iżby się zrównać mogła z świętymi głosami,
 Jakie dla króla pana ku niebu wleciały;
 Jej głos za mężem starczy — dla króla za mały.

Z. August.

Toż ja księżniczko, ja mąż obok króla!
 Jeśli w tem sercu chęć mi będzie głodna,
 To nieraz straszna zrodzi mi się wola
 I tak wyleci na ludzi swobodna,
 Że tylko spragnie krwi! Boć trzeba przecie
 By coś ludzkiego w piersi się nakładło...
 Nie zaznam szczęścia?... Ha — to każde stadło
 I każde szczęście moja ręka zgniecie!
 Puszczę się w taniec z włoskimi wybryki;
 Mniejsza czy za mną pogonią ich krzyki,

Groźby, przekleństwa! — A w takim rozglądzie
Twój anioł tronu, Polska, płakać będzie!

Barbara.

O! Jażbym miała jej szczęściu ubliżyć?

Z. August.

Możesz Augusta lub podnieść, lub zniżyć
W ludzkich uczuciach, ty! — Bo żaden z ludzi
Gdy się rozpaszę nie dotrzyma kroku!
Bo wy Barbaro więcej w jednym oku
Macie słów, niżli oni krzyków w swej gardzieli;
A gdy się August z złą myślą spościeli,
To aż — Barbaro!...

Stańczyk.

(który wszedł po cichu w ostatniej rozmowie, chwytając za rękę
królewica i pokazując na łożo.)

Aż Gasztolda zbudzi!

Z. August zmięszany.)

Co tu porabiasz błażnie! —

Stańczyk.

Mnieby, królewicu,
Spytać co porabiacie polskich ziem dziedzicu?
Ludziom to nie jednaka myśl po głowie wierci;
Jam przyszedł pytać zdrowia, wy pytać o śmierci.

Ha — bo też nie z jednakiej schodzim się umowy :
Jam przysłany od króla — a wy od królowej !

Z. August.

Stańczyk ! Nie dobierz miarki, bo tu żartów dosyć :
Mogę spłacić !

Stańczyk.

O ! później sam was będę prosić
O zapłatę ; latami to i krewkość mięknie.
Stary Stańczyk zapłaty starej się nie zleknie.

Z. August (żegnając Barbarę z cicha.)

Dziś w wieczór !... Stańczyk za mną !

(odchodzi.)

Stańczyk (podśłuchał i żegnając Barbarę ironicznie mówi.)

Służę w zawołanie.

(do Barbary.)

Rzeskie to dziecię, miłościwe panię,
I dobre dziecię ! — Czasem dla igraszki
Lubi ucieszkę — miłostki i fraszki ;
Lecz mu nie długo pusta myśl u czoła,
Bo nań korona, tron, ojczyzna woła.
A jak mu pięknie będzie kiedyś z tą koroną !

(kłaniając.)

Do stóp waszych się chylę, Gasztoldowa żono !

(odchodzi.)

Scena druga.

(Dwór na Zamku tenże sam co w akcie drugim, scenie pierwszej; już dwór w sali przytomny, ino wchodzą z licznym orszakiem szlachty Górka i ks. Radziwiłł Czarny w rozmowie wespół głośniejsz z Górką.)

Ks. Radziwiłł (do Górki.)

Słyszalesz? — Nasze domy niepewne dla cnoty;
Zła myśl z zamków królewskich stąpa do nich śmiało!
Niechaj się upamięta! — Królewskiej krwi mało
By obmyć Radziwiłłów książąt ze sromoty!

Górka.

Że bywa... lecz złe jeszcze żadne się nie stało.

Ks. Radziwiłł.

Jeszcze nie! — A więc czekać póki nasze krewne,
Póki siostry, zwołane królewica słowem,
Ozwią się w naszych domach czynem niejałowem
I udarzą w potomstwo, rodziców niepewne?
Ha! Odpasmy kord z boku, co zestarzał w walce:
Kryzy, bufy na szyję i gitarę w palce —
Hejże! skakać wesoło w weneckie zapusty!
Dla gachów drzwi na rozcięż, dla nas dzwonek pusty!
Żony, wdowy dla tronu dziedzica zostawić;
Nam jeszcze dobrze. — Nam pozwala bawić
W dworcach naszych przez łaskę: a gdy mu zawadzim
To on sobie poradzi!

(z groźbą.)

O! nie — my poradzim!

Górka.

Przez Boga! Tak nie będzie i wasz popłoch marny...
Słusznie ciebie zważ książę, żeś Radziwiłł Czarny;
Bo czarno rzeczy bierzesz!

Ks. Radziwiłł.

Ja wezmę czerwono!

Biada mu! — Biada tobie, Gasztoldowa żono!
Choć mi jesteś siostrzycą.

Górka (hamując go.)

Jakem wojewoda,

Dwaś bluźnierstwa natrącił. — Słowa to nie woda;
Tu dworzec króla pana, tu skargi zanosić...
Książę! Wy jak poddany przyszli pana prosić;
Z pogróżką ni do nieba — ni do króla droga.

Ks. Radziwiłł.

Z prośbą! — Tu prośbę rzucają u proga;
Starego nam Zygmunta zamknęli ryglami,
Uszy mu postykali włoskimi słowami,
A gdy przyjdiesz z żalobą po sławy utracie,
Trzeba tak mocno krzyknąć aby w swej komnacie
Zamknięty mógł posłyszeć! — Litewski ja książę,
Jeszcze słaba nie nasze pobratymstwo wiąże;
Jeśli dwór wasz me imię skrzywdzi — nie daj Boże!

(uderzając w szablę.)

Ja kluczem Radziwiłłów wojnie drzwi otworzę ;
 Mój głos, między Litwaki puszczone, związek zstudzi,
 Aże się wasz królewic bez Litwy obudzi !

Ks. Ilja (dając mu rękę.)

I my cię powitamy nie w Trokach — w Kijowie !

Górka.

Panowie Litwy, Rusini, u was strachy w głowie !
 Czy to Helena druga ? — A krok pusty, blahy
 Naszego królewica — toć tam wielkie strachy,
 By zapalać pochodnię domowej niesnaski ?
 A ja wam jednym słowem zakończę te wrzaski
 I dziś sproszę u króla by zaraz niemylnie
 Nasz królewic ze dworu wyjechał ku Wilnie,
 Zająć publiczne sprawy ; tako w nich utonie...

Ks. Radziwiłł.

Króla sprosisz — a baczysz o królowej Bonie ?
 Co król ? — Król go na Wołosz pchnął, jak w lot sokoła
 A jejmość wychowańca jako wpierw odwoła.

Orzechowski (kanonik.)

Tem lepiej, bracia, można rzecz złagodzić :
 Na co staremu panu tą nowiną szkodzić
 Na zdrowiu ? Tak nie wiele tych chwil, co do grobu ;
 Nie rwijmy mu modlitwy skargą ! — Do sposobu

Nam się udać: Kiedyśmy już do tego przyszli,
To postraszyć królowę.

Górka.

Toś mi wyjął z myśli
I z serca. — Tak jest, bracia; gdy potrzeba zajdzie
Jenerał Wielkopolski dosyć słów wynajdzie,
By królowej kłaść prawdę w jej dworaków tłumie.

Ks. Radziwiłł.

Idź z prośbą — bo Radziwiłł z prośbą iść nie umie;
Zawsze mu się w języku ostra prawda haczy,
I miasto „Cna królowo!“ mógłby rzec inaczej.

(Krótka narada panów, ciche szepty dworaków — Montio szybko wyszedł
w czasie mowy Górki.)

Scena trzecia.

(Komnata królowej Bony, królowa i jej fraucymer obecuy. Firlej trzykrotny
oddając ukłon, ua wychodzić, gdy nagle wchodzi Montio i coś królowej
szepee na ucho.)

Królowa (skinąwszy na Firleja.)

Czekaj Waszmość!

(do Montiego z cicha).

Więc oni ze skargą w tej mierze?

A cóż tam ksiązę prawi?

Montio (z cicha.)

Zwykłe swe pacierze

Na włoskie czasy...

Królowa.

Włoskie?—Ha—jak kret na słońce!

Jemuż znać jak się włoskie urabiają dziwa?

Znaż on Medyolańskie wieczory pachnące,

W których, kiedy ludowi z kajdan kark obrzmiewa,

To podniesie się do nas całemi barkami,

A my gdy mu z krużganku popatrzym w oblicze,

To się ten wał pod nogi nasze w żal rozkrzycze

I drżącym głosem fali potrząsa nam: Viva!

O! wrzaski tego ludu — by morze huczało!

O! miłość tego ludu szalona i przednia!

Jednej nocy on skochał dom Torrów; odednia ²⁾

Przestał kochać, a Torrów i domu nie stało;

Znów pożałował Torrów po czasie swawoli,

Na ich gruzach wznosił kościół — niewola z niewoli!

Znaż on kościoły nasze? — Tę matkę co w łonie

Trzyma małą niemowlę Jezusa w koronie?

Czy patrzył w obraz? Czy zgadł że Medjolanka

Wybierając w nocy męża i kochanka

Z myślą, którą w niej obraz tej Rodzicy tworzy,

Musi żyć, aż dopóki w grób się nie ułoży,

I jak ona piastować syna swem łonie,

I jak ona w koronie być i przy koronie?

Czujeż on dla tej myśli co Sforeja stradała;

Kiedy tam kogoś rzuciła — kochała!...

Wiesz? — Raz ostatni gondola płynie,

Wieczorem cicho śpiewa gondola;

Dzisiaj to dobrze, ale w godzinie

Na co mu śpiewać? — Bona odpłynie,

A on nie dla mnie. Myśl mi zbiczała:

Niech nikt nie kocha com ja kochała!
 Dosyć mu w życiu jedna myśl tkliwa,
 Z tą myślą niechaj odpływa...
 Podalam tobie kubek do ręki:
 Ponieś mu, rzekłam, jam w pół wypila;
 Daj śpiewakowi zamiast piosenki,
 Niech pije gdzieś ja usta skłoniła!
 O — a jam tego nie pila!
 Na palcach wspięłam się na krużganku
 Patrząc jak niosłeś podarek Bony;
 Książyc tak lśnił się na mym kochanku,
 Jakby zeń wglądał na mnie zdziwiony,
 I pytał: Co za podarek Bony?
 O! ty pomnisz później sierotę gondole!...

Montio (przerywając.)

To kiedyś było. — Wówczas wasze myśli
 W rozmowie z sercem bawiły się cało;
 Na nich królewskie brzemie nie ciężało.
 Wówczas do Włoch posłowie po królową przyśli
 I was naleźli wdziękami tak strojną,
 Że bili złotem, ukłonami hojno,
 Aby kupili dla kraju polskiego
 Tak piękną perłę domu Sforcyjskiego!
 Teraz królowo oni tam czekają
 Z całym swym krzykiem i z całą swą zgrają;
 Nie z duchem próśby, ale jak oracze,
 Co to w pierś ziemi lemieszem kołace.
 I ledwie kłosek zasiewu wyziera,
 On sierpy puszcza i owoc wydziera:
 Tak chcą wam wyrwać z łona królewskie pacholę!

Bona.

Jak myślicie, on zechce?

Montio.

O! nie.

Bona.

Więc pozwolę...

On sprzeciwi — to dobrze, to mi schlebi ducha.
Powiedzą to on siebie a nie matki słucha.
A jednak Montio zawierz, kiedy zachce Bona
Syn będzie musiał — abo spadnie mu korona.
Niby zachcę; obaczę jako mu daleko
Usiadła ta Barbara — Z serca ja mu wieko
Podniosę; jeśli pełne, to upuścim wody,
Bo to nie całkiem dzieciuch, ten mój Zygmunt młody!

(wchodzi pokojowiec i mówi Firlejowi do ucha.)

Firlej (do królowej z ukłonem.)

Miłościwa Królowo! Poznański kasztelan,
Jenerał Wielkopolski, Andrzej Górka miano,
Prosi o posłuchanie.

Bona.

Czekać rozkazano.

(do Montiego.)

Za chwilę — O! ten Górka dobrocią ośmielon
Mojego męża króla. — Jakże król na zdrowiu?

Montio.

Słabieje.

Bona.

Przecież długo ?...

Montio.

Dziś księżyc na nowiu,
Choroba się przesili; jeśli czas posłuży —
To może i do roku.

Bona.

Daj Boże najdłużej!
Jeszcze syna nie pewna, a z panami sprzeczna...
Monti! niechaj z mym królem śmierć mi będzie grze czna!
Nim przyjdzie do pogrzebu ja mam wielką pracę,
Każdą chwilę mu dłużej — ja na wagę splecę.

Montio.

O! królowo i pani! Śmierć by wasze dziecię —
W rozkaz wasz konającym może zdłużyć życie,
Żyjącym prędzej zsypać z klepsydry,

Cona (z uśmiechem.)

To z twoją
Pomocą — więc te panki dla tego nas boją...

(do Fircleja.)

Może wejść, dość czekania.

(do Montiego.)

Zaproś królewica
(przechadzając się koło orszaku.)

Palli i Luzzi smutne? — Spogodzić wam lica

(głaszcząc Luzzi pod brodę.)

Przyjdzie on! Nie wesoło coś wam serce tyka;
Może wam brak trzeciego? — Zwołać i Stańczyka.

Palli (z cicha do Luzzi.)

Wie wszystko!

Luzzi (do niej.)

Mniejsza o to — byle zbyć Barbary.

Górka (wchodzi i po pokłonie.)

Miłościwa królowo! Nasz pan, Zygmunt stary,
Czterdziesty rok i drugi jak nam błogo siedzi
W majestacie i dobrem siwą głowę biedzi,
Aże poterał zdrowie; tak nas kochał szczerze,
Że nam trudno uwierzyć że go Bóg zabierze;
Przecie idzie do tego...

Bona (z powagą.)

Jam dziedzica dała...

Górka.

O! że my nie sieroty, to niech Bogu chwała
Będzie! — Tak, wy królowo macie dla was syna;
Lecz kraj dziedzica nie ma, kraj się upomina
Dziecka dla siebie; niech go jak przystało kocha...

Bo kraj jest istna matka — matka, nie macocha —
Nie lubi innych związków przed sobą znachodzić ;
Własnem pielegnowaniem chce sobie urodzić
Dziecię, coby mu w stali lub w ogniu nie jętkło,
A w krzykach zhartowane języków nie zętkło !
Bo to w Litwie, w Koronie to jest głosów dosyć ;
Mocne trzeba mieć ucho by je wszystkie sprosić
W jedną pierś, a mocniejszej osady na piersi
By nie pękła gdy wrzasną ! — My Górka, najszczerši
W senacie, czy na polu, chcieliśmy dziedzica
Zapoznać z jego matką, stawić lice w lica,
Aby się jej przypatrzył ów syn ukochany
W chwili, gdy dla niej dzieci idą w krwawe tany :
A wam to, ena królowo, nie po myśli było ;
Co się na to gadało, co na to stroiło,
Pominie Górka, ale nie minie kasztelan,
Co całem sercem dla swej ojczyzny jest przelan,
Kiedy złe idzie w gorsze, gdy król na skonaniu,
A gwiazda następnika gaśnie o świtaniu !
Królowo ! ciężkie krzesło kasztelańskie moje,
W niem nie można usieść cnotliwie na dwoje :
Tam każda myśl o sobie, to z głowy ucieka ;
Tam kraj jako spowiednik tuż przy krzesle czeka
I zarzuca na głowę to straszne pytanie :
„I cożeś mnie godnego zdziałal kasztelanie ?“
A ktoby wonceas swoją sprześcił ochotę
Gdy się ona odzywa : „Ratuj mnie sierotę !“
Ktoby nie wzniośł języka gdy jej żal dogrzewa :
Nie wart koleby z ojców uciosanej drzewa ;
Tego klejnot herbowy o cnocie by kłamał,
I Górka by mu pierwszy miecz na dwoje złamał !...
Ja tym głosem senackim w pierś wam zakolące,
Królowo ! — Gdzież przystojne na następcę prace
Zajmują królewica ? — Miasto cnej żaloby,
Zwiedza żony, którym się jeszcze mężów groby
Nie zamkły, a przedśmiertnej nie szanując ciszy
U stóp konającego na ich cnoty dyszy !

A czyżże to jest klejnot księżna kasztelanka
Barbara? — Wszak to wasza, to polska poddanka!
Takim jak my panując z Boga pomazania,
Cnotę, jak dobra stolne, trza mieć do rozdania!

Bona (ironicznie.)

Dosyć tych dóbr stołowych wzięliście szafunkiem...

Górka.

Królowo! toć nas innym obdarz podarunkiem:
Syna z cnotą. — Czas jemu i nam zajrzeć w sprawę
Publiczną — Wilno puste; Litewskie ustawy
Rwą się niedokonaniem, bo im braknie ręki,
Coby je w górę wzniosła...

Bona.

Za poradę dzięki!

Już my o tem myśleli, Królewic z swej woli
Gdy zechce, to królowa waszej sprawie gwoli.

(Wchodzi królewic, za nim Stańczyk.)

Bona.

Skarżą ciębie, dzięcię!

Królewic.

Skarżą? to słusznie, matko, to za przeszłe życie!

(podając dłoń Górcce.)

Skarz Górko! Mnie nie dotknie — mnie nie zadrży warga!
W tej komnacie nie jednym dogryzie twa skarga....

Bona (gniewnie.)

Zkąd powraca królewic?...

Z. August.

Z komnaty...

Stańczyk (po ukłonie.)

Barbary,

Księżniczki kasztelanki!

Bona (ndając że nie uważa pomieszczenia Zygmunta.)

Jakże Gasztold stary?

Stańczyk.

Śmiercią, jako ja widzę, podwójnie rażony,
Bó umiera na łożu i w sercu swej żony!...

Z. August (z wybuchem.)

Jak to rozumieć, Stańczyk?

Bona (z powagą.)

Tutaj inna sprawa,

Syñu! Owo wileńskie wzywają was prawa
Abys im stanął w czole; tu poseł senatu
Zaniósł prośbę do mego skarżąc majestatu
Nielad litewskich krajów: gdyś woli niesprzecnej,
Zwiedzisz Wilno...

Z. August (odpowiada Górcce.)

Obaczym...

Górka.

To wyjazd konieczny,
Królewicu, mój panie, by dzisiaj nie zwlekać...

Z. August.

Tak skoro?

Górka.

Sprawy państwa nie nawykły czekać.

Z. August.

Mogły dotąd.

Górka.

Musiały.

Z. August.

To muszą i dłużej.

Górka.

Królu! dziś wasze ; jutro nie każdemu służy.

Z. August.

Posłuży nam, bo przyszłość przez was niezgadniona...
Dla Zygmunta Augusta jutrem : to korona ;
Jutrem dla was moja moc, naszych dziejów karty,
Jutrem szczęście, swoboda...

Stańczyk.

Lub czyj grób rozwarty.

Górka.

By jeno troski nasze jutrem nam nie były!
Bo złe dzisiejsze dźwigać już nam braknie siły.

Bona (przerywając.)

Kasztelanie! dość mowy. — Już matce zostawić
Chwilę z nim pogadania, wszystko da się sprawić.

(Górka się kłania i odchodzi.)

Bona (do orszaku.)

I wam odejść.

Luzzi (odchodząc zbliża się ku Stańczykowi.)

Stańczyku, jak dalej będzie?

Stańczyk (z cicha.)

Widzę, grzęda wysoko! Lecz kto na niej siedzie,
Czy kurzyca, czy kogut, kiedy zważę ściśle...
Ha — gdzie djabeł nie może, to tam...

Luzzi (kończąc.)

Błazna wyśle!...

Stańczyk.

Niech i tak będzie.

(odchodzi.)

Scena czwarta.

Bona. Z. August.

Bona.

Synu! dość ci po komnatach
Tych krotofil!... W królewskich czas się przejrzyć szatach,
I urobić tak postać, kroki, wasze lica,
By widno w tobie było polskiej krwi dziedzica;
Bona nie chce by więcej było tej poswarki.
Nie dość że z mego dworca zsuwały ci karki
Luzzi i Palli? Nie dość?

Z. August.

One z twym rozkazem

Były mi po niewoli, matko; a tym razem
Inak:sze uczucie w piersi Zygmunta zagadło!

Bona.

Inak:sze? Obacz by wam co z głowy nie spadło
Przy tem czuciu!

Z. August (z mocą.)

Nie spadnie.

Bona.

Wy sądzić za młodzi..

Matka jak może wasze swawole łagodzi;
Panów wrzaski głośniejsze, męża niemoc nęka,
A Bonie od władania już zmartwiała ręka.

Z. August.

Królowo, Matko nasza! Pospolite rzeczy
Zdaj jeno głowie mojej ..

Bona (urażona.)

Co je zabezpieczy?

Krewkość wasza, czy statek? — Obaczcie się przecie!
Wiecie ile powiatów, a w każdym powiecie
Ile głów, co z pod oka wasze czyny mierzą!
Każdy wasz usterk młody wargą z zębem szczerzą;
Drzewo z kory, tak ciebie z enoty ociosali;

Dumni że wasze berło sobie przymierzali!
Gdyby nie matka wasza...

Z. August. (do siebie.)

Tego by nie było!

Żona.

Gdyby nie matka wasza; w oczy ich paliło
Wdanie nasze do sprawy! Jam ich kołysała
Czem można, bym wam dziecku pracy sfolgowała;
I zapoznana od was, dumą ogadniona,
Oto płacze przed wami twego ojca żona!

(słoni ręką twarz.)

Z. August.

Królowo, matko nasza !...

Bona.

Kiedy wam uciechy

I rozkosze chłopięce i serdeczne śmiechy
Sypały się po licach, do ust szczęście niosły:
Nam trudami sprawione cierpkie chwile rosły!
Aguście! Ty swobodny spałeś przy mem łonie,
Matka za cię czuwała w cierniowej koronie:
Nigdy nie puszczył bólu by ci w serce wjechał,
Nieraz ja tonę we łzach, byleś ty uśmiechał;
To moje przeszłe życie — sąż je sercem syna!
Dziś je dopiero matka dla was przypomina
Gdy widzi jak jej sprośne urobileś chęci.

Z. August.

O — matko nasza! August wszystko ci poświęci!
Chętnie zamieni w trudy swe życie chłopacze;
Teraz ty śmiejesz swobodna, a niech August płacze!
Jużem ja dorósł trudów...

Bona.

Więc do Wilna wam
Spieszyc, ino bez zwłoki...

Z. August.

Matko, czemu tam?

Bona.

Synu, czemu tutaj?

Z. August (zagadniony).

Konie niesprawione,
Orszak mój niezwołany...

Bona.

O! dziecię pieszczone!
Już to matka kazala, i wiadome dwory
Tych przejazdów...

Z. August.

Król ojciec słabnie...

Bona.

On chory

Tak od lata. — Na Wołosz jadąc toś zostawił
Nie w lepszym zdrowiu — a tej wymówki nie prawił!

Z. August.

Matko, mnie nie po myśli; on już w latach, stary,
Prawie chyłkiem...

Bona.

Kto ?

Z. August.

Pan nasz...

Bona.

Powiedz, mąż Barbary.

Ugadłam? — To zawada, to wahań przyczyna!...
Ale nie dla Zygmunta, Bony Sforcyi syna.

(z rozkazem.)

Pojechać ci!

Z. August (stale.)

Zostanę!

Bona.

Więc już tak głęboko
Utonąłeś w Barbarze?

Z. August (porywczo.)

A gdyby na życie,
Na całe życie nasze?

Bona.

Ona za wysoko,
A tyś za nisko spojrzal na królewskie dziecię..

Z. August.

Jak na człowieka dosyć wysoko spojrzalem...
Królowo matko, ja w niej anioła zdybałem!

Bona.

Z litewskiem kasztelaństwem?

Z. August.

A z książąt nazwiska.

Bona.

Mnie cieszy: Luzzi, Palli towarzyszkę zyska.

Z. August.

Nie matko — wy synowę!...

Bona (ironicznie.)

A kto mi synową?

Słuchaj: Wam żona, to mnie musi przenieść głową...
O jej domie a przodkach winni grzmieć donośnie;
Synowa Bony Sforecyi w szkarłacie poczęta,
Abo dla niej me łono i ma dłoń zamknięta!

Z. August (uszczypliwie, jednak z uszanowaniem.)

Jeśli o wyższość chodzi, Barbara dorośnie
Wam nie głową, to sercem! — Bo mi wyznać śmieie,
Dwie głów takich, jak wasza, na mój tron za wiele.

Bona (gniewnie.)

A wam gdy się zelżywe tak słowo usadzi:
To choć jeden syn w łonie, to i ten zawadzi.

(Z. August zamyśla się — Bona z ironią.)

Pogadamy dziś w wieczór, Barbaro!

(śmieje się i klaszcze w ręce — na ten znak dwór jej wchodzi.)

(do Firleja.)

Podwody

Królewskie niech zarządzą dla syna wygody!

(wychodzi.)

Scena piąta.

(Gdy królewic zadumał się, wbiegają naprzeciw siebie Luzzi i Palli, niby nie widząc królewica, straszą się i śmieją.)

Luzzi (chwytając w pól Palli)

Złapanaś Palli, jak ptaszę złapana.

(klęka z uśmiechem)

Gdybym była kochankiem, padłabym w kolana
I rzekła skarżąc twoją oziębłość i losy!
„Palli! bóstwiona Palli! popraw sobie włosy,
Bo ci w biegu zleciały, jako dwie krynice,
I zakryły niebieskie oczęta, złośnice!...”

(obie się śmieją.)

Palli.

Poczekaj! Ja w mej roli takżebym umiała

(strojąc minę jak do kochanka)

Na twój dowcip odstrzelić! O! młodzieńcze luby!
„Włosy, co mi na oczy zbiegły, to są śluby,
Bym niemi waszych pieszczot i warg nie widziała
Gdy mię całować będziesz.“ — No całuj! — Cóż stajesz?
O! jak ty, Luzzi, źle chłopca udajesz!

Królewic (nagle zapominając trosk pustuje.)

Ja Luzzi wyręcę.

Obie (niby przestraszone.)

Królewic!

Luzzi.

W tej dobie?

Palli.

My tak swobodnie pustowały sobie...
O! wybacz panie!

Królewic.

Czego wybaczyć?

Czyżem za stary z wami pustować?
Czyż ja zapomniał latać, całować?
Czyż samą troską mają mię haczyć?
I gdy mię kto rozśmieszy, to mu mam wybaczyć
Jak zbrodnię jaką?

Luzzi.

Wy może nie tyle,
Ale kto inny mógłby się gniewać!

Królewic.

A któżby moje tak stępał chwile,
By nie mógł August skakać i śpiewać,
Gdy chęć ku temu miałby ochoczą?

Palli.

Ale wam może troski kłopotczą...
Ale wam może chęćby urosła

I do bawienia
 I do cieszenia;
 Gdyby to nie nas miała za posła?

Królewic.

A kogo, kogo?

(obie patrzą na siebie śmiejąc.)

Luzzi (nieśmiało.)

Gdyby...

Z. August (przerywając nagle.)

Królowę,
 Królowę matkę, chciałyście mówić?
 Ha — ha — to prawda że przez połowę
 Ledwom z jej tańców mógł się wymówić!
 I zagrała — jak zagrała
 Tak mnie tańczyć nakazała,
 A mnie lepiej lube z wami,
 Z piosenkami, z pustotami.

Luzzi.

O — i jaśniej wam na twarzy
 Gdy wesołość brzmi w tem łonie,
 Niżli kiedy August skarży
 I w rozmyślach i łzach tonie.
 Bo wam marszczeńka wnet na czoło
 I zawiśnie gdzieś na lica,
 I nasz August jak gromnica,
 Co gdzieś w cieniu błyska w dali;
 Choć jej płomień tańczy w koło,

To nie szybko — nie wesoło,
Mało świeci, nic nie pali,
A choć pali — mało grzeje...
Rozkoszą tylko młodość dojrzeje!

Z. August.

A Luzzi! Czy nie rączo
Takie się tany kończą?

Luzzi.

Auguście! Czy nie wesoło
Toczy się takie koło!

Palli.

A tam ktoś u łoża
Siedzi jak cień
I swoje podnóża
W nocy i w dzień
Jękami podsycę,
By nie zmartwiały
I wszystkich modlitw by dokonały:
To mi dziewica!

Luzzi.

Auguście! Piękneż to drzewa,
Co je wiecznie łza podlewa?

Palli.

Jak pięknie żali

W samotnej sali :

(udając Barbarę.)

„Ach mój mąż ! Pan i mąż !“
 I wciąż i wciąż
 W gotyckiej sali
 Głos jak żebraczy
 Ucha się haczy !
 Żałoba ziemskie zamyka jej wrota,
 A ona krzyczy: „Biedna ja cnota !“

Luzzi.

Lepiej z nami, bo nas dwoje,
 I miłsze nasze podjazdy :
 A więc zapal oczy swoje,
 By gorzały nam jak gwiazdy
 Gdy pogonim w twe ramiona...
 Śpiewaj Palli !

Palli (dł Luzzi.)

Owiń w słowa,
 Owiń Luzzi nutę moję,
 Niech nas słucha razem dwoje ;
 Nasze serce niech jak swoje
 On podsłucha, i stulona
 Niech mu miękko zaśnie głowa !

Z. August.

O ! pieśń dziewy, łanie !
 Na co lutni, na co pieśni,
 Augustowi czyż się nie śni
 Każde waszych ócz zagranie ?

Każdy wdzięk wasz, co obsiada
 I jak motyl z kwiatem gada,
 Z zadumem, z rozkoszą witany od mała?
 A ta pierś młodzieńcza wam domem się stała.
 Wytwornie, zapustnie gościcie w tym domie,
 I każda myśl wasza tak do mnie znajomie
 Przemawia oczyma; że nie wiem czy ona
 Z waszego czy mego wykluła się łona?

(bierze pod jedno ramię Luzzi, pod drugie Palli.)

Pójdź Luzzi, pójdź Palli do kręgu tu bliżej;
 Me troski, ma głową wam na pierś się zniży,
 Rozpowie się August w tych słowach tak cały:
 O! wyście już dawno tej burzy słuchały!
 A jednak nie zgadły, choć wrzała tak rzewnie...
 Kochałem!

Palli.

Kochałeś?

Luzzi.

A kogo?

Z. August.

Was pewnie!

(pieszcząc się z Pallą.)

A jakże nie kochać te krucze warkocze,
 Tych oczu, któremi niebo się kłopotcze
 Czy błękit przejrzysty nie skradli mu ludzie?

(pieszcząc Luzzi.)

Te usta, co mówią koralem o cudzie

Śpiewania aniołów ; to łona, co dyszą
 Dziejami miłości i dzieje swe piszą
 Białemi ramiony na szyi kochanka ?
 O ! każda mu chwila — to leci jak branka
 Spętana lubością, zasuta róż wieńcem !
 I któżby nie zechciał być waszym młodzieńcem ?
 Poskocznie, ochoczo, pieściwie, miłośnie
 Tak bujać, tak śpiewać, tak tańczyć radośnie !
 O ! któżby nie zechciał tak ująć ramiony
 Dwie perły weneckie tej polskiej korony ?
 I któżby w zapachu, co kwiatem go lechce,
 I któżby — ha, ha, ha ! — Kto ?

(nagle odpycha od siebie obie kochanki.)

August was nie chce —

I spycham od siebie i depcę was wzrokiem
 I duszą szlachetną i czystem mem okiem,
 Bo znam was przebiegle wy dworskie lepianki !
 To wasze zapusty to proste kaganki,
 Które mi ulicę na festyn ubiorą,
 A im się widzi że jak słońce gorą !
 O ! kto was nie poznał i serce wam rzucił,
 O ! kto się w miłości prawdziwej ocucił :
 Ten poznał że deptał w ulicach po błocie
 I zmęczył swe nogi, a w waszym odbłasku
 Pojawił się popiół, garść złota i piasku !
 Wy śmiejecie z dziewicy, co tam gdzieś u łoża
 W modlitwie, we łkaniu rani swe podnóża !
 Wy śmiejecie z niebogiej, co w ciemnej swej sali
 I cierpi i kocha, i modli i żali !
 Wy śmiejecie tak zdrowe. — O ! jasno kto zbłądził :
 Ten śmiech was, was samych, najlepiej osądził...
 Potulne, rozkoszne, rozpustne królowe,
 Na zawsze, na zawsze bywajcie mi zdrowe !

(odchodzi śmiejąc się.)

Luzzi (patrząc za nim.)

Ha — zgadłeś ten wybieg paniczu zwołany!
Do swojej, do swojej uciekasz kochanej?
Nie spiesz się! — Po tobie my później wyjdziemy,
A razem, a razem u celu staniemy.

Scena szósta.

(Komnata przed sypialnią Gasztolda, taż co w scenie czwartej aktu drugiego. Środkowe drzwi sypialni w pół otworzone, klęcznica stoi przy nich, na której Barbara z książką modlitw klęczy.)

Barbara (sama, oparła głowę na rękę i czyta.)

„Bądź pozdrowiony aniele czystości!

„Duszy mej zbawco, mistrzu mej lubości,

„Bądź pozdrowiony!“

(utonęła w myślach i ciszej tonem modlitwy wymawia słowa Augusta.)

Bo ja wam jak zbroja,

„Pod tąś zbroją bezpieczna, boś ty jest pierś moja.“

Nie, nie Auguście — daleko od siebie

Wzrosły nam losy z rozdwojonem licem,

Ciebie nazwały polskim królewicem,

A mnie w poddankę miano z rodu grzebie!

Barbara waszą? — O! wielkie to chcenie!

Barbara żona? — Toć miejcie sumienie!

Barbara wdowa do pożałowania!...

Jak pięknie bronił naszego kochania!

„Bo i cóż winno dziecię na grobie stworzone?

„Dziś w wieczór!“

(Stańczyk przeszed.)

On nosi koronę....

Stańczyk

(krzyknęła, zbudziła się z myśli.)

O! przebacz Boże! Zgubiłam modlitwę...

(poczyna z księgi.)

„Bądź pozdrowiony aniele czystości!

„Duszy mej zbawco, mistrzu mej lubości...“

(znów w błąd wpada.)

Jakby to kiedyś... do domu na Litwę,
Kiedym bez niego u rodzica młodą
Barbarą była; krosienka przy oknie,
Stółek paniński, co mi przerósł głowę
Poręczą złotą, iglica co zmoknie
Nieraz mi w palcach... „Jedwabną osnowę ¹⁷⁾
„Zwiń panno miła!“ i podała matka,
A Gasztold patrzy i ciągle ma w oku
I szepta ojcu: „Jaka córka gładka!
„Dajcie mi córę. —“ Nie ruszyłam kroku,
A nieć mi w palcach nagle tak zgrubiła
Jakby wąż w polu, i spłonęłam cała:
Barbara Gasztoldową tak żoną została.

(litośnie.)

Żoną? — On w polu. — Żoną? — On na łowach,
On lubił więcej w dangowskich dąbrowach
Jak we mnie — a ja więcej zamyślenie
Lubowałam jak męża. — Po domu skrzątnienie,
Kilkoro skrzyń z szatami ino mi przybyło.
Do panińskiego stanu. A serce jak było,
A myśl jak była dawniej, ino więcej śniąca...
Aże choroba przyszła. — Żona bolejąca
Zdybała cudze serce — Czyje? — „On z koroną,
„Pamiętał kasztelanko Gasztoldowa żono!...“

(wpada Zygmunt August na ostatnie słowa i obejmując ją ramieniem.)

Z. August (pieszczotnie.)

Wy naszą będziecie!

Barbara (zmieszana zrywa się.)

Wy przy mnie ?

Z. August.

W modlitwie

I w śnieniu, w żałobie i w płaczu i w śmiechu
Wasz August przy tobie ; jak w każdej gonitwie
Koń przy mnie, ja przy was !

Barbara.

O ! — źleś mnie uzwyczaj..*

Nawet mi modlitwa nie idzie bez grzechu !

Z. August.

A kto wam bezemnie modlić się naraił ?
Ja Zygmunt zazdrosny, mnie dzielić potrzeba
Czy wspomnisz o ziemi, czy westchniesz do nieba !
My zacniem Barbaro modlitwę na nowo,
Modlitwę tak świętą, że jej pierwsze słowo
To ino raz w życiu przy stopniach ołtarzy
Mówić się powinno.

(Barbara waha głową)

O — Zygmunt nie marzy !

Nie wstrząsać wam głową ! — I matka wstrząsała
Gdym zaczął o tobie ; lecz gdyby i cała
Polska mi gadała jej głowy wstrząśnieniem,
To u mnie, Barbaro, tak leżysz kamieniem,
Że gdyby naruszyć zachciano go sprzecznie,
To jabym skuł berło na miecz obosiecznie !

Barbara (z lubością.)

A ja, Zygmuncie — cóż zniosę w podziale ?

Z. August.

Wesele, Barbaro, bez końca wesele !
 Bo z tronu twardego gdy zstąpię stroskany
 I grzywę gdy końską wypuszczę zgnękaną
 Z namiotu czy z Rady, ty mi dasz w podziale
 Wesele Barbaro — bez końca wesele !

(w czasie tych słów Stańczyk niepostrzeżony wchodzi na scenę.)

Matka mi życie, kraj mi tron dał,
 Włoszki rokosze, tom skąpo miał;
 Bo życia nie użyć, a krajem nie władnąć,
 Z Włoszkami to z duszą możnaby przepadnąć;
 A z wami u boku enotliwie i śmieje
 Wesele Barbaro, bez końca wesele !

Barbara.

Toś i nam Zygmuncie już myśli przerobił;
 Wyzuwam się z płaczu, a częściej zaśmieję:
 Nadzieje, Zygmuncie, weselne nadzieje !
 Kto mnie tak umilił i wdzięcznie ozdobił ?

Z. August.

Twe serce !

Barbara.

Nie nasze, boś ty je pokonał !

(zsunęła się w podane Augusta ramiona. — Stańczyk wpadł nagle do sypialni Gasztolda ; jeszcze Barbara w objęciach królewica, gdy chwiejącym krokiem prowadzony przez Stańczyka wchodzi konający Gasztold.)

Gasztold (z ostatniem wysileniem zgrozy.)

Barbaro ! Barbaro !... Jam Gasztold.. i konał
 Tam mąż twój !... Barbaro ! — I podbiegł z swą siłą
 Ratować mnie trefniś, bo żony nie było !
 Tu do mnie Barbaro ! Tu pisklę do gniazda !
 Królewic ! Królewic ! — Szalona twa jazda
 Po głowach, po sercach, po grobach mężowych !
 I nie daszże skonać spokojnie ?... I w owych
 Podjazdach niewieścich tak bujasz... do syta,
 Że nie dbasz.. choć cię kto przekleństwem powita ?
 Młokosie ! Więc... niech ci... tam niebo odplaci !
 Niech na cię... ostatnim... twe imię zatraci !
 Niech Polska... tu zacznie... najpiękniejsze dzieje
 Gdy błąda... twarz wasza... śmiercią się odzieje !
 Niechaj ci wyrzywa... od serca... od łona
 Zgon każdą uciechę !... Niech tobie tak kona
 Jak we mnie... ostatnia... nadzieja... i siła
 Bez ręki, coby twe... powieki... skleila...!
 Ty umrzesz Barbaro !...

(śłania się w ręce Stańczyka i kona. — Barbara zemdłała i opadła
 Zygmuntovi w ramiona.)

Z. August (zmięszany.)

Ratunku !

Stańczyk (siłąc się podnieść Gasztolda.)

Za późno...

(wpada służba Gasztolda z bocznych podwoi na krzyk Augusta i wynoszą

ku sypialni ciało Gasztolda — w tem ze środkowych drzwi z wielkim trzaskiem wchodzi Bona z całym swym dworactwem, Luzzi i Palli.)

Bona (prosto idąc do osłupiałego Augusta wyrywa mu z rąk Barbarę i rzuca w klęcznicę.)

Tu matka z ratunkiem
Dla syna, nie dla niej; bo kto się ośmieli
Wznieść głowę w koronę, z niej piorun wystrzeli!
To pamiętać Barbarze!

Z. August

A matko! Z szafunkiem
Śmierć rozdajesz, ale jej nie zgadłaś osnowy!

(ironicznie.)

Z dworem przysłaś mi, matko, by znękać pacholę?

(wskazując Barbarę)

Więc ci z dworem hołd oddać tej przysłej królowej!
Barbara moją teraz.

(do dworaków.)

Wam znać moją wolę!

Bona (śmiejąc się.)

Jeśli na nią wasz ojciec...

(wpada Montio zadyszany.)

Montio.

Co nam siły stanie
Biedz do zamku! — Król stary kończy panowanie..

Bona (przeżona.)

Co ?...

Z. August.

Nasz ojciec...

(chce iść, zachodzą mu drogę urzędnicy dworu, na ich czele)

Ocieski kanclerz

(który przyklęka i oddaje mu pieczęć.)

Auguście! Królem cię witamy

Miłościwy nasz panie; i zalani łzami

Z łoża śmierci przynosim na twe młode skronie

Nadzieje szczęścia Litwie i Koronie!

Z. August (zachodząc się z żalu.)

Nasz ojciec skonał!

(wybiega.)

(Bona bez łez stoi, ale cała drży i dygoce; rękę ma na czole, drugą na piersi.)

Górka (do niej.)

O! wam, wdowie, jakże nieść pociechę

Gdy sami płaczem...

Ks. Ilja Ostrogskie.

Lecz to lzy niech taje

Że z wami do płakania cały naród staje

Magnuszewski, Pisma.

I jakby jedno dziecię za swym ojcem kwili!
I tylko waszym synem przyszłość sobie mili!

Bona.

Skonał... i moje nadzieje skonały!

(słoni twarz.)

Płacz mnie zostawcie — wdowie to uciechy.
Wam mnie nie cieszyć płaczem i głosami,
Wam patrzeć jego dziedzictwa i chwały!
Ja was pocieszę nowymi słowami,
Któreśmy tutaj z dworem usłyszały;
I wolę syna mego a pana w tej dobie
Pełniąc, to ja wam pokażę po sobie
Mą następczynię...

(wskazując Barbarę.)

Witajcie ją radzi!

(szydycz.)

Radziwiłłównę na tron mój syn wam prowadzi!

(krzyk podziwu między panami.)

Jan z Tęczyna.

Wpierw Solimana!...

Kmita.

Wpierw niechaj odpowie
Czy bez senatu zdierży koronę na głowie?

Bona (ciągle z ironią.)

Królowa wasza zemdlala, panowie!
I nikt z ratunkiem? — Montio! mój doktorze,
Daj jej ratunek. — Kto wie, przy jej dworze
Kiedys miejsce lekarza twa posługa zyska!...

Montio (do orszaku niewiast otaczającego Barbarę.)

Wody!

(i popatrzył uważnie na Bonę, sięgnawszy w zanadrze po małą fiaszeczkę;
Bona nieznacznie głową mu odpowiedziała.)

Bona.

Niech jej godności użyjemy z bliska,
Prędzej niechaj po wdowie wesele dziedziczy;
Niechaj nas pierwszych w rządzie dworaków policzy!
Niech przychodząc do siebie usłyszy te słowa:
W okrzyk panowie: „Niechaj żyje nam królowa!“
Długiego panowania życzę najgoręcej...

(wstrzymała się — Montiemu przynieśli kubek z wodą. On wpuszcza krople
z wolna — Bona zawisła okiem.)

Montio (głośno rachując.)

Raz... dwa... trzy... ośm...

(oddaje kubek służbie; dworskie damy wlewają omdlałej. Barbara przycho-
dzi zwolna do siebie.)

Bona (z cicha patrząc na nią.)

Rok i sześć miesięcy...

(Panowie z ciekawością wpatrują się w wybladłe rysy powstającej. —
Słychać pierwsze uderzenie żałobnego dzwonu za króla. — Wszyscy
poklękli.)



EPILOG DO BARBARY

roku 1548 dnia 9. Czerwca.

W zamku królewskim, w komnatach królowej Bony.

Scena pierwsza.

(Bona niespokojnie przechodzi się wzdłuż i wszerz; w tem wchodzi Firlej.)

Bona (do wchodzącego.)

Jakaż wiadomość Firlej?

Firlej.

Miłościwa pani!

Jejmość królowa przyszła do siebie w tej chwili,
A mnie z dobrą tą wieścią ku wam wyprawili.

Bona.

Ale jak zdrowie?

Firlej.

Nie wiem...

Bona.

Oj! że wy posłani
Posyłających serca nie mieściecie w łonie,
I pytanie bez echa w waszych piersiach tonie!

Luzzi (wchodząc.)

Przemówiła...

Bona.

Cóż?

Luzzi.

Jakiś ból zmającył głowę
Połowę jakby senna, trwożna przez połowę,
Nie puszcza się rąk króla, ku niemu się tuli,
A król piastun jej głowy, woła: „Luli, luli!”

Bona.

A doktor?

Palli (wchodząc prędko.)

Gorzej teraz; zawrotem rzucona,
Chcąc się podnieść, obwisła królowi w ramiona;

Montio jej zadał leki, król ją k' sobie tuli
I woła już: „Czyście wy mej Basi nie struli!“

(pauza.)

(Bona obchodzi zwolna komnatę.)

Bona (wstrzymując się nagle.)

Tam coś stuknęło? — Czy nie ona padła?

Firlej (patrzac w głąb.)

To drzwiami targła służba nieostrożna.

Bona (słucha — pauza.)

Krzyk, krzyk! Słyszycie?

Luzi.

To gardłem komina

Drzewo prysnęło.

Stańczyk (ponuro.)

Tak dusza niezbożna,
Mówią, że piszczy w płomienistej szacie!...

Bona.

Z blażeństwem cicho siedzieć w tej komnacie,
Lub wyjść...

(wskazała mu drzwi.)

(Stańczyk wyszedł, wchodzi szybko Beata Kościelecka, na jej krok wzdrygła Bona.)

Bona (do niej.)

Ha — koniec !...

Kościelecka (po ukłonie.)

Z dziękami posłana
Od królowej Barbary i od króla pana
Za waszą czułość, laskawa królowo !
Mej pani lepiej ; wesola na nowo,
Nawet i pusta. By króla spokoić,
Przyszło jej na myśl bawić się i stroić.

Bona.

A Montio co ?

Kościelecka.

Pomaga, i by ją zabawić
Obiecał dzisiaj dyalog wyprawić.

(kłania się i wychodzi.)

(Wchodzi doktor, Bona sunęła ku niemu.)

Bona.

I wy dziś chcecie ?...

Montio.

Miłościwa królowo !
Dzisiaj moje ; za dzisiaj ręczyłem wam głową.

(ciszej.)

Szósty dziś miesiąc! A mnie się rachować
I dobrze godzi; mnie dyalogować.

Palli (do Luzzi.)

O! źle coś pójdzie, bo tak szeptają sobie!

Bona.

O! mnie sprzeczać zabawom niechaj Bóg uchwala!
Mnie cieszyć z innymi, Barbara nam zdrowa,
Dajcie mi prędzej dyadem na skronie!

(do Montiego.)

Na waszym dyalogu ja chcę być w koronie.
Syn mój, synowa będą i dwcraków siła,
Godzi by matka króla dworsko wystąpiła.

bierze z rąk Montiego podane jej pismo dyalogu, przerzuca je oczyma i
oddając mu.)

Dobrze żeś im nie rzucił włoskiego zachcenia,
Którem się serce niewiast ku mężom spromienia;
Ani naszej przezroczej na duszę opony,
Ani zaśpiewań naszych, któremi strudzony
W piersi, jak w łodzi rybak szybuje do brzegu.
Im trzeba o ich krzykach gadać; im na śniegu
Rumieńce ino rosną. Czyste włoskie niebo
Nie jest dla nich, jak dla nas żywotną potrzebą!

(zamyśla się.)

Montio! ty dziś poetą, tam ci podnieść ducha:
Wielka winna być scena gdzie trzy koron słucha!

(odchodzi i orszak.)

Scena druga.

(Zmiana. Wielka sala. Środkiem wyniesienie zakryte zasłoną, gdzie ma się odgrywać dyalog; przy tem wzniesieniu po prawej ręce stoi troje krzesel królewskich. Stańczyk opodal za krzesłami sparty o ścianę; wchodzi Smolik.)

Smolik.

Takiś pokwapny na włoskie żarciki,
Że skoczno pędzisz pierwszy w dyalogi.

Stańczyk.

Komuż jeżeli nie błaznu czas teraz do drogi,
Że go woli w dyalog rzucić, jak w sejmiki,
Lub w inne sprawy. Dyalog to żaczek,
Co mu i prawdę wolno; dyalog prostaczek,
Co mu i żarty wolno. Stokroć lepszy błazna:
Bo mu myśl idzie w scenie jasna i wyraźna,
Ni o kij nie zawadzi, ni w krzywą odpowiedź.
Jestto jakby swej myśli szczerą, prosta spowiedź,
W której gdy się kto pilnie zrachuje z swym wiekiem,
Z czleka ujrzy się błaznem, lub z błazna człowiekiem.

Smolik.

Gdybyś swą sentencyą w autora zmierzył?

Stańczyk.

Gotów się wziąć za błazna, a nikt by nie wierzył.

Smolik.

Czemu?

Stańczyk.

Bo sługa Bony; a służy tej pani
Po imieniu, jak cyfry stoją zapisani.
On doktor — dziś autorem. O! nie daj to Boże!
Aby się w końcu sztuki doktor w autorze
Nie znalazł!

Smolik.

Ciemno mówisz.

Stańczyk (znacząco.)

Barbara dziś mdląca

Smolik.

Tak z rana; ale teraz w zdrowiu, Bogu chwała.

Stańczyk.

Lecz czy tylko nie Amen?

(ucinają; Montio wyszedł, zagląda za korynę dialogu i stanął zamyślony,
oparty o wzniesienie.)

Stańczyk (do Smolika.)

Tam stoi zagadka!

(Wchodzą dworacy: Jan Ocieski kanclerz, Rej, Bernard Wapowski, Gamrat, ks. Radziwiłł.)

Jan Ocieski, kanclerz (ogłasza):

Królestwo Ichmość.

(wchodzi August z Barbarą, z przeciwnej strony Firlej wchodzi i ogłasza.)

Firlej.

Królowa matka.

(Stańczyk, gdy wchodzi Bona, szeptem do Smolika.)

Stańczyk.

Już idzie rozwiązanie —

(ukłony i przywitanie królestwa z matką.)

Smolik (do Stańczyka.)

Jak zimne witanie!

Wapowski (odpowiadając im.)

A godność mospanie.

(siadają w krzesłach; królowa Bona nieco naprzód wysuwa swoje; dworacy w grupie stają po przeciwnej stronie siedzących. Montio ukłoniwszy się, daje znak czarną laseczką, zasłona dyalogu się podnosi.)

DYALOG.

Skąła ciemna. Djabeł na uwięzi, z ogromnym ogonem i brzuchem odętym,
rogi na głowie.

Djabeł.

Wielce przemożne królowe i panie!
Ja djabeł siedzę tutaj na me ukaranie;
Kuso mi tu, bez pierza i mizerne jadło,
Siedzi człek w turmie, jakby się co skradło.
A przecież cni panowie, nie jeden z mych braci
Kradnie i lepiej, lepiej się bogaci;
Ale król dobry i Rzeczpospolita!
Więc siedzi — Gdzie? — W urzędzie i kradnie do syta
Mnie zaś święty Archanioł do turmy osadził
Żem jedną duszę porwał i z nim się powadził;
A dusza drobiazg, nie wiem czy garść zboża zważy?
Dawniej złoto ważyła — a zwady do twarzy...
Każdemu krzyknąć, wrzasnąć to nawet na zdrowie.
Hej! na miłość djabelską, zwadźcie się panowie!
Niech się djabeł pocieszy troszka i zamoże,
A jakim pocziw, djabeł wam pomoże! —
O! szkoda wielka panie, żem ja tak okuty,
Bo byście Wasze miały zapustne cykuty.
Jak jabym się na świecie uwijał, jak latał!
Wiele jabym krotocwil bawnych nie napłatał!

Święty panie Michale! Popuść no mi Wasze,
A ja tu nie jednemu zaraz dmuchnę w kaszę.

(Święty Archanioł spuszcza się z mieczem w rękę, na obłokach.)

Archanioł (do publiczności.)

Nie dla ciebie ; zacne widząc zgromadzenie,
Ich zabawę z nauką wielce sobie cenię ;
Więc ci paska popuszczam, djabelskie stworzenie !
Ale mi do krotochwil nie napastuj cnoty,
Pocziwych nie kuś, ino złym to plataj psoty ;
Aby twa gra służyła na nauczkę ludzi,
Niech poznają co dobre, a co dobrem ludzi!
Pękają twoje więzy.

(grom słyhać w niebie i okowy djabłu odpadają.)

Niech się skała skruszy...
Baw ciało, ucz nicości, ale wara duszy!

Djabeł.

Ależ to na odjezdnem tego z bicza trzasnął!
O! znam ci ja te gromy ; jam okiem nie zasnął
Od owej strasznej chwili, gdym z chęcią w żrenicy
Chciał się na Boga stolicy ;
I kiedy takie gromy zwitały mię z góry,
Zleciałem, jak to mówią, z góry na pazury ;
I strach mi obsiadł boki w postaci anioła
I piorunem mi świeci i piorunem woła :
„Przeklęty !“ i przyłożył straszne miecze swoje ;
A trzeba Waszeczim wiedzieć że się strasznie boję !
Jak chłop bata, jak szlachcic turmy, jak niewiasta
Kiedy jej czepiec na wspak wlezie... ale basta!
Drbm ! Otrząśnijmy biedy i obaczmy przecie
W okół, co się tam dzieje — co stoi na świecie? —

(ogląda w okół krajobraz i widzi budynek na boku.)

Karczma! To jeszcze piją? — To moja bożnica
 Jeszcze się nie zwała? Obaczmy jej w lica,
 Obaczmy jej i w serce, czy też dużo mieści...

(różne tłumy wychodzą i wchodzą do karczmy.)

Hu — ha! Szlachty jak nasiał! Hu — i rój niewieści!
 Będzie zarybek, djabeł jak gość tam czekany.

(chce iść.)

Hop!... Ale jam ci jakoś dziwacznie ubrany.

(ogląda po sobie i chodzi po scenie.)

Ogon... A panie djable, ogon! — Tu na świecie
 Trza pętlicy na piersi, ferezy na grzbiecie;
 Boć ludzie lgną ku temu jako dobre żaki,
 Więc im się ustroj. — Hola — służba! Gej chłopaki

(zlatują się małe karzełki, chichocą i kłaniają mu.)

Djabeł.

Pasa!

(dają mu pas, on ciągle chodzi i obwinawszy się w pas.)

A pas z ogonem, to coś djable brzydko!
 Uciąć go — Ej to boli! — Co robić z tą kitką?

(do karzełka.)

Słuchaj: dajno go Wasze, toć go pasem przepnę,
 A jak mi kto da pasa, to go z lekka trzepnę.
 A teraz mi ferezyę!

(podają mu.)

Czapkę!

(kładąc w nią rogi.)

Dobry schowek.

(do karzełków.)

A co?

Karły.

Dziw! Dziw! Z djabła człowiek!

Djabeł.

Cóż dziwnego że djabeł czleka postać nabył,
Kiedy to nie z jednego czleka cały djabeł?

(karły skaczą koło niego, czyniąc krotochwile.)

Dobra noc, Belzebuby! Jak to żabstwo wita!

Karzeł.

A gdzież strojno Jegomość?

Djabeł.

Na sejmik i kwita!

(Scena się zmienia, dwór i królowa w uśmiechach, szepty w orszaku.)

Wapowski (do Reja.)

Wloch — to djabła po polsku przebrał dla gawiedzi;
Ale prawdziwy djabeł, oj — czy nie tam siedzi?

(pokazując na Bonę.)

Rej.

Widzisz Wasze, djabelby w naszych czasach żebrał
Gdyby chcąc zbijać grosze — w czepiec się nie przebrał.

Król (z cicha do żony.)

Basiu moja, jak tobie ?

Barbara.

Wesoło i miło...

Jakże mi się rozkosznie to djablę zmieniło !

Scena druga dyalogu.

Wnętrze karczmy. Szlachta w grupach, to piją, to siedzą. Djabeł za szlachcica przebrany, ze szlachetką panem Marciuem, dobrze ciętym, pije za stołem.

Djabeł (nalewając mu kufel.)

A teraz się Waszeci pamięci naląło.

(podaje mu szklankę.)

No, trąćmy !

Marcin.

Toć z ochotą... a... tak mi się zdało

Że was znam.

Magnuszeowski. Pisma.

Djabeł.

I dobrze, mój panie Marcinie.

Marcin (ściska się z ojabłem.)

A mój serdeczny kumie!

Djabeł.

Tak, kuma po winie;
Jam tobie był sąsiadem gdyś trzymał Wilczulki.

Marcin (popijając.)

A! a! a!

Djabeł.

Nie jedneśmy ściągnęli beczulki!
Takoś się dziarsko trzymał, aleś się wylecił.

Marcin.

Ba, ba, ba! Żeby mnie był djabeł nie ożenił
Ze swą rodną siostrzycą...

Djabeł (śmiejąc.)

Żonka — za kołnierzem

Pijaweczka!

Marcin.

Oj — żebyć! Lecz to jak moździerzem

Tak huczy, trąbi, bębni od rana do nocy,
Że człek nieraz wyleci z domu, jakby z procy,
I gdzieś chyba tu spocznie...

Djabeł.

Pokrzepi się.

Marcin.

Niby.

Djabeł.

A rady na to...

Marcin.

Rady? — Chyba jejmość w dyby.
Ale silna — O! silna!

Djabeł.

Po staremu, swacie,
To wam dalibóg pomogę. — Wy mnie w dom zwołacie;
Ja mam słówka uczone na swary i złości,
Ja doktor na małżeńskie owe przyjemności;
Jakem pocziw! Obaczysz...

Marcin.

A mój dobrodzieju!..
Jakże tam?... Jędrzej?

Djabeł.

Jędrzej.

Marcin.

Mój panie Jędrzeju,
Niech cię uścisknę!

(ściska go.)

Ale coś Waś trącisz smołą?

Djabeł (sobie.)

Gotów mnie szlachciec poznać!

(do Marcina.)

Ot tak — bęc na koło,
I zwałalem te poły...

Marcin.

Umyjże się Wasze,
Bo moja boi smoly! — Jać ją nieraz straszę,
Gdy mi zacznie doskwierać i wywierać krzyki,
Że jej djabła sprowadzę na takie sejmiki,
A ten smolny jegomość z jejmością się sprawi,
Gotowa na was myśleć, że...

Djabeł (przerywając śmiechem.)

Ha! ha! ha! To bawi!

(na stronie.)

Czekaj, ja ci dopiekę, mój panie Marcinie!

(głośno.)

Ale my tu zginęli jak mucha we winie,
A tam coś bracia swarzą?

(coraz głośniejsze swary pijących.)

Jeden ze szlachty.

Trza to rekuzować!

Inni.

A! Nie inaczej!

Pierwszy.

Każdy jako chce, ślubować
Może i winien. Szlachcie, to sobie zabawa;
Ale co król: Król winien z ślubem w nasze prawa
Nie najeżdzać do woli, lecz jak szlachcie pozwoli;
Na pożytek krajowi! — Tak panowie sejmowi.

Inni.

O! tak.

Djabeł (zrywa się z ławy i pośród nich staje.)

Bardzo rozumna pana brata mowa!
Ale czy zechcą tak nogi jak głowa? —

(do siebie.)

Trza ich powaśnić.

(głośno.)

Kraj jak pijanica:
 Dzban to lud, a panowie — panowie szklanica!
 Szklanica ciągnie póki dzban pełny:
 Ale gdy owca zażąda wełny,
 Gdy dzban zażąda by mu oddać wino,
 Oddaź wtedy szklanica? — Obaczcie się ino?

Marcin (głośno.)

Ho! ho! ho! Dobrze mówi!

Pierwszy.

Lecz do sensu proszę!

Djabeł.

Albom mówił bez sensu? — Więc do zgody wnoszę:
 By każdy przy swem obstał, tem powaga wzrasta.
 Nie zechcą? — Krzyknąć „Weto!“ sejm zwalić i basta!

Szlachta pijana.

Zgoda na to!

Djabeł.

Z inakszym trybem jak pójdziecie,
 Wszyscy, co do jednego, w swobodach zginiecie!

Pierwszy.

Zakonkludował,

Marcin.

Dobrze, niech się król nie żeni!
Lepiej mieć djabła zdala, jak djabła w kieszeni!
Ja to wiem z doświadczenia. — Moja dobrodziejka...

Pierwszy.

Co tam Waśc swą Gertrudę aż do króla tyka!
Owszem, niech się król żeni!

Inni (przerywając.)

Niechaj się nie żeni!

Pierwszy (krzycząc.)

Żeni, ale...

Drudzy (krzycząc równie głośno.)

Nie żeni...

Djabeł.

(zacierając ręce z ukontentowaniem i lata między szlachtą.)

Niezgody, niezgody!

Nie żeni.

Pierwszy (krzycząc.)

Otóż żeni...

Drudzy.

Weto!... Haj swobody!

Inni.

Weto bracia, i weto...

Pierwszy.

Czekaj, zjécie djabła!

Inny.

Ale Waśc go zgotujesz!

Pierwszy.

Bodaj zmore padła

Na niezgodę!

(wskazuje djabła.)

Djabeł (drwiąc.)

Ba — na was, bo ja z głosem wspólnym
Trzymam, choćby...

Pierwszy (biorąc się do korda.)

Obaczmy!...

Djabeł (łapie Marcina przed się i rzucając nim na pierwszego.)

Marcin za ogólnym

Głosem; rąb się...

(pierwszy ciął Marcina pijanego po uchu, chcąc dosiądz djabła; a djabeł uciekł pod ławę i z pod ławy krzyczy.)

I choćby przez te rany krwawe,
Hej! bracia — dalej za mną!

Jeden ze szlachty (śmiejąc.)

A gdzie? Czy pod ławę?
Toć się tam nie pomieścim!

(śmiech ogólny szlachty — dwór także w uśmiechu.)

Z. August (do Barbary.)

O — cięższe przebyłem dla mej Basi walki!
Wielkie o serce moje były się rywalki...
Ty i ojczyzna! — Alem Boga wezwał w radę!
Obu on serce przysądził i zwadę
Zmienił w lubość.

Barbara.

A ja ci, mój mężu, tak mało
Dzięk dała!

Z. August.

Ino kochaj, jak to się kochało.

(pieszczoty.)

Wapowski (do Reja.)

Już trąca politykę, z lekka króla zaciął.

Rej.

Czy króla, czyli jego związku nieprzyjaciół,
Trudno poznać; bo Włoch lis, krętym biegiem ślizga.

Ks. Radziwił (do Ocieskiego.)

Jak się do naszej Basi dziarsko król umizga!
 Włoszka mało oczyma nie pożre tej pary;
 By jaskółki przed burzą, tako jej wzrok szary.
 Zda się że i dyalog coś jej nie do smaku,
 Gotowa swego Włocha obwiesić na haku;
 Bo już djabeł, co szlachtę przeciw króla drażni,
 Musiał z królową Boną być w dobrej przyjaźni.

Ocieski, kanclerz.

Dziwnie — bo ten dyalog grają po jej woli.

Ks. Radziwił.

O! gdy tak, to i dla nas będzie szczypta soli.

Smolik (do Wapowskiego.)

Sejmik w karczmie—Dla śmiechu, dobrze; lecz za katy
 Dziwnie by się zżymały nasze pany braty
 By wiedziano że dworzec na śmiech szlachtę tyka,
 Mieszcząc życie publiczne w miejscu, gdzie się łyka!

Wapowski.

Oj! bo znasz jakie miejsce kędyby nie żyło
 Publiczne życie nasze? — Byle dwóch mówiło,
 To już o niem brat bratu ze swą radą staje.
 Mniejsza miejsca — waga słów, wagę miejscu daje;
 Kłótnia, jak dym nad ogniem—dym ognia nie zdala!
 Ale, o! bracia moi, taki dym nie kala
 Co się z publicznej kuźni na jawę wywinie.
 Ciężko nie kipieć wodzie, gdy pełne naczynie!

Pod owe rozmowy zmieniła się scena dialogu na wnętrze domu Marcina. Pani Marciniowa, z pękiem kluczy, oddaje worek pieniędzy służącej dziewczynie.

Marciniowa (do niej.)

Już wiesz kędy to schować aby mój nie ruszył.

(służba odeszła).

(W tem środkowemi dzwiami wchodzi Marcin owiązany. Djabeł go prowadzi.)

Djabeł (do Marciniowej)

To zuch! — Sługa jejmości! ledwom go wydostał,
Tak się z panami braty na dobre wychłostał!
Odcinałem go z przodu, by nie wziął po pasie,
Ale się ot pan Marcin zawadził w tym czasie,
I jeden: hep go w ucho! Ja go za to w nogę...

Marcin (kiwając głową.)

Nie tak było!

Djabeł (z cicha.)

Sza bracie, bo ci nie pomogę.

Marcin.

Tak, tak było. — Lecz z kądże Waści wlaź pod ławę?

Djabeł.

A i bardzo! Bom widział jak cię w ucho prawe
Drugi mierzył. — Zasłonić już nie było czasem;

A więc ja będę o ziemię, i wielkim hałasem
 Zamroczyłem szlacheć, i nuż go za nogę!
 Wlazł on biedak pod ławę, jam mu wskazał drogę.

Marcin (sobie.)

Tęgo kręci!

Djabeł.

Lecz jejmość patrzy jak na mare!
 A my to z jej małżonkiem zeszli w lata stare
 Z przyjaźni...

Szlacheć (wskazując na djabła.)

To pan Jędrzej.

(Djabeł kłania się uniżenie, Jejmość sobie.)

Jejmość (do męża.)

Zkąd się wasze wzięło
 W dom wpuszczać lada kogo? — Dom to Boże dzieło
 Dom przybytek. — Kiedy kto za niski w dom wchodzi
 Do miary urodzenia głową nie dochodzi,
 Biada mu! Progi kała, głową nie urośnie,
 A z nóg się zwalić może, choćby grzmiał donośnie!

Djabeł (sobie.)

Czekaj jędzo!

(Między widzami szepty głośne.)

Radziwiłł.

To dla nas!

(wszyscy z natężeniem patrzą w królewską parę, Barbara drży.)

Z. August.

Co ci Basiu miła?

Barbara.

Jakaś mi się gorącość ku głowie rzuciła :
Możeby przestać?

Z. August.

O! nie — To mej matki sztuka ;
Ona to zawstydzenia twego okiem szuka
Taką chciwem. Dwór nazajutrz słowaby rozwlóczył :
„Że ktoś za niski w dworzec weszedł i to uczuł.“
Niech grają, gadają, niech mi matka szali!
Basiu, tyś już królową!

(podnosi się żywo, widać złość na twarzy i do grających.)

Dobrze, kończcie dalej!

(siada ; scena jak wprzód — Barbara ciągle w dreszczu tuli się ku niemu.)

Marcin.

Hola, bonadatorko! Ja tak chcę i kwita —
 A jejmość się o rody niechaj mi nie pyta!
 Boć nie wiem kto tu panem?

Djabeł.

Ja nie wiem!

Marcinowa.

Ja nie wiem.

Marcin (sierzczisto.)

Ale będziemy wiedzieć.

Djabeł (sobie.)

Popiół nad zarzewiem,
 To węgle lepiej gorą; ja ich skłóczę zgodą.

(głośno.)

Ależ panie Marcinie!

(Marcin wrywa mu rękę i idzie w jeden kąt izby — djabeł do Marcinowej.)

Ej! Z taką urodą
 Gniew w licach, jak nietoperz, co jak słońce krzepnie;
 On chce latać — wyleci, usiądzie i ślepie.

(Marcinowa w drugi kąt.)

Gdy małżeństwo zdasane gdzieś po kątach broi,
 Djabeł dla równowagi w pośród izby stoi,
 By się dom nie zawalił.

(wskazując w kąć gdzie niewiasta,)

Oj, tam gniewów tyła,
 Że mimo djablej mocy budynek się chyła
 Het, na stronę jejmości!

(głośno do jednej strony,)

No!

(do drugiej strony.)

Jakże tam było?

(leci do Marcina z cicha.)

Panie kumie, ty fukaj!

(do jejmości do ucha.)

O — jejmość, aż miło!
 Tak trzeba pana męża trzymać, bo to zawada.

(znów do Marcina idzie.)

Jejmość jak na kobyłę siwą na cię siada,
 Nie daj się, panie kumie!

(do Marcinowej.)

Pan Marcin przekora,
 Chce byście ustąpili jakiegoś tam wora,
 Co to dziś...

Marcinowa.

Patrzaj! Patrzaj!

Djabeł (leci do Marcina.)

Jak na cię uwija!
 Mówi że ino Marcin codziennie się upija,
 A w gumnie ani postać...

Marcin.

Jaka gospodarka!

Djabeł (leci do Jejmości.)

Pan Marcin znowu: Wasze nie pilnujesz garka:
A sam ..

Marcinowa (rozzłoszczona krzyczy.)

Kufla!

Djabeł (leci do Marcina.)

Oj, kufla!

Marcinowa.

Miodu!

Djabeł.

Miodu.

Marcinowa.

Piwa!

Marcin (rozniewany).

A to mi z litaniją! — Coś Waści dogrzewa,
Moja pani kokoszo!

(djabeł leci do jejmości.)

Kury pilnuj!

Djabeł (do jejmości)

Kury.

Marcin.

Mléka patrzeć!

Djabeł (z przekąsem jej wtórzy.)

O — mléka!

Marcin.

Séra, by go szczury
Nie zjadły. Szczurów...

Djabeł.

Szczurów.

Marcin.

Z niemi tobie wojny
Szukać Waści...

Marcinowa.

A tobie?

Djabeł (jej dogadując.)

Jaki to spokojny

Ten pan Marcin...

Marcinowa.

Wojaku!

Djabeł (przelatuje do niego.)

Pi aku.

Marcinowa (dogadując.)

Domowy...

(małżeństwo zbliża się do siebie grożąc.)

Djabeł.

O! ostro idzie, — ino co wezmą się za głowy!

(ocierając się z potu.)

Alem się tego spocił, bo bez przeproszenia,
Między stadłem — to djabeł dużo do czynienia
Zawsze ma, i wolałbym hussaryą dowodzić
Niż owe złote związki kołysać i godzić...
Uf!

(Marcinowa trzaska drzwiami i wychodzi.)

Djabeł (do Marcina.)

Jakaż tó przechera!

Marcin.

Aż mi szumi w czubie!

Djabeł.

U — u! A dawnoż jako już z Waściem po ślubie?

Marcin.

Jak dawno? — Ba i dawno; sześć miesięcy prawie!

Djabeł.

Juże? No, tom źle trafił, to już po zabawie
Zeszło się na orzeszek, tak idąc po drodze;
Ale trzeba się zgodzić i ja was pogodzę.

Marcin.

Ależ...

Djabeł.

Bo kto raz weźmie sobie do dom biedę,
To musi póty ciągnąć, póki... Czekaj, idę,
Pomówię z nią sam na sam.

(odchodzi.)

Barbara (chwyta mocno Zygmunta za rękę.)

Coraz gorzej, gorzej...

Nie to, Basiu — niech idą te przycinki sporzej.
Pani matka wesola! — Nasze sześć miesięcy
Nie minęły, nie miną. — My coraz gorzej
Kochać się będziem, Basiu! — Nie drzyj mi u łona...
W mych objęciach zapomnij co tam skwarczy Bona.
Śmieję ze mną, jeśli kochasz, choć cię serce boli!
Śmieję ze mną... wesolo i głośno... do woli!

(śmiejąc się.)

Ha, ha, ha... jak mnie kochasz!

Barbara.

Już się i śmiać zacznę,

Gdy mnie w imię miłości każesz; lecz opaczne
Jakieś mi mary stoją!

Z. August (ze złością.)

Dla śmiechu, Basiu moja, rzuć to, zdepc pod nogi;
Twych nóg tykać nie winno!

Ocieski (do Radziwiłła.)

Królowa się mieni...

Sine jej drgają usta, twarz gore z płomieni!

Ks. Radziwiłł.

Czegoby? Czy z przymówek? — Czyby się wstydziła
Że z domu Radziwiłłów aż na tron wstąpiła?
To nie było wysoko jak na Radziwiłła.

Smolik (do błazna.)

Boś nam zbredził pan Monti ; z szlachcicem sfolgował
I jejmość zbytnie żywą i dziarską zmalował.

Stańczyk.

Oj nie zbredził pan doktor i dobrze zakroił..
Odgadł te czary ! Szlachcic dawniej się nie dwoił
Jak za nas na dwa życia publiczne, domowe ;
Dawniej zamieszkał w pierwszym ; tam szablę, tam głowę,
Tam poduszkę miał w polu ; a w domu zniechana
Siedziała mu niewiasta jak sługa u pana.
Dzisiaj powoli suniem z tych zapaśnych szranków,
Dzisiaj może dożyjem niewieścich kochanków,
I za czasem, gdy z pierza zawładnie niewiasta,
Miękkim dechem grać będzie męska pierś żyłasta ;
Zniewieścieje mu łono, i jak pijanica
Skoczy w rańtuch — z rańtucha nie ujrzysz szlachcica !

Zmiana w dyalogu, za drugim znakiem Montiego ; światłość niebieska
w górze jak przez mgłę lekką widać chóry aniołów. — Ciszę melodya arfy
czasem przerywa. Wchodzi kobieta w bieli, w ręku koronę trzyma, klęka
i koronę podnosi oburącz ku niebu.

Chór aniołów.

Ten wyraz boleści, to godło wielkości,
Z rąk twoich zzebrała śmierć dzika,
Co było nicością, to wróci nicości..
Niewiasto ! Niewiasto ! Ta ziemia próżności,
Pod której kolanem twa ziemskość utyka,
Zapomni imienia i twego znaczenia !
Tu do nas, tu do nas zapragnij schronienia !

Z. August (wpatrując się mocno w postać kłęczącą na scenie, krzyknął.)

Co to?

Chór aniołów (dalej.)

Królewskie wygody, królewskie powicia
 Nie mogły Cię schronić, nie mogły dać życia
 Na dłużej niewiasto, jak na chwilę zgonu!
 Bo komu dwie cyfry spisano na czole:
 Rodzenia i życia, to temu w półkole
 Splątano i trzecią, grobowy głos dzwonu...
 A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
 Ty do nas, ty do nas zapagnij schronienia!

Z. August (ciągle tą postacią zajęty.)

To czary! Jej głos i postać!

Chór aniołów.

Dobrze ci było na ziemi zostać...
 Głos berła, złota, strojów i blasku
 Miał dla cię język miłego wrzasku,
 Jakim się dziecię pieluszne bawi;
 Ale za skąpa klepsydra stała.
 Ledwie ci stroje przymierzyć dała,
 Już wyszła i pierś twą krwawi!
 A ziemia imienia zapomni, znaczenia!
 Ty do nas, ty do nas zapagnij schronienia!

Smolik (na stronie do błazna.)

Jakiż to koniec wszczętej osnowy?
 Tam figle djabła, tu śpiew aniołowy.

Stańczyk.

Czekaj!

Z. August (do siebie.)

To Alszka moja z książecą koroną!

(do siebie.)

Matko! Jakże podobna z przeszłą moją żoną!

Bona (do syna — patrząc szyderczo na Barbarę, która coraz więcej drży.)

Z którą?

Z. August.

Z tą, co umarła tak nagle.

Barbara (przestraszona.)

Auguście!

Coś i do mnie podobna!

Z. August.

Dziecko, jam w rozpuście

Był wtedy i niepilen skarbu, co go skradli!

Ale dziś, Rasiu, oniby pobladli

Za każdy włos twój; a ty nie drżysz luba!

Jam teraz król, a w tobie znalazła się zguba.

Barbara.

Ja drzę z lubości. — Głos tych aniołów
 Wywołał we mnie jakieś uspienie,
 Mile, spokojne, chętne zachcenie;
 Spać, spać Auguście, głowę ci złożę!
 A przed tą chwilą, to nie daj Boże,
 By kto tak cierpiał jak ja cierpiała!
 Ciało się rwało, teraz jakby dusza rwała,
 I gdzieś, gdzieś leciała!

(kładnie mu głowę na ramię)

Z. August.

O — trzeba Basiu, abyś dosłuchała.

(Ta sama scena — niewiasta ciągle klęczy, a z boku prowadzi archanioł
 djabła już w właściwej jego postaci.)

Djabeł (wypraszając się archaniołowi.)

Ino dokończę z panią Marcinową!
 Chwila, pół chwili... a potem z mą głową
 Książę anielski zrobisz co kazaly nieba.

Archanioł.

Potem skończysz zabawę, dziś cię niebu trzeba —
 Czas nadszedł! (wskazując) Ta dusza niewieścia w tej chwili
 Zżegnała ziemię; anieli zmówili
 Prosbę do tronu, ty podaj skargi:
 Klęczy przed sądem. — Wyszczierzaj wargi
 I krzycz jej błędy... bo któż nie błądzi?
 Skarz. — W niebie wielki sędzia słucha i sądzi!

Djabeł (wpatrując.)

Skarg na nią — na co? Ot je w rękę trzyma.
 Ta korona me skargi: Ona wzrok Kaima
 Zatrzymała w koronę i nie wzniosła więcej
 Oczu jak na koronę! — Niby najgoręcej
 Kochała: Co? — Koronę! Dla niej dała usta...
 Od grobu czyjegoś zbiegła jak rozpusta
 I tuli żal w koronie!

Barbara (krzyknęła i rzuciła sobą.)

Ach!

Z. August (zrywa się z wściekłością.)

Stójcie oszczerce!

(do Bony.)

Matko! Patrz dalej; masz ku temu serce,
 Masz i naukę, umiesz słówka włożyć,
 Którymi sztucznie można cnotę spożyć!

(woła na Barbarę.)

Pójdź, moja Basiu!

(Barbara niewzruszona, głową skłoniona na poręcz krzesła, nie daje znaku życia. Dwór skoczył ratować ją.)

Z. August (nie postrzegając jeszcze jej omdlenia.)

Wstań królowo moja!

Wstań Basiu luba. — Wstań Augusta żono!

(leci ku niej.)

Cóż to?...

(widząc nieżywą woła.)

Hej Monti ! Monti !

Montio (dając znak do zapuszczenia kurtyny.)

...Już skończono !

Stańczyk (do Smolika.)

Widzisz, Włoch skończył.

(rzucają się dworacy, na czele Radziwiłłowie ku ratunkowi.)

Bona (z całą dumą wstaje z królewskiego siedzenia, do osłupiałego Augusta, wskazując na Barbarę.)

Cóż to, że ktoś zasłabnie,

(wskazując na scenę dyalogu.)

albo ktoś pomówi,

To się wolno dla matki zapomnieć synowi ?

O ! nie. — Syn chociaż królem, niech zna matki władzę !

Tyś dziecko u mnie — dziecko od siebie odsadzę

Kiedy się w złości zżyma, szaleje i bredzi.

(do swoich dworaków.)

W podróż ! W podróż ! Za długo goszczę śród niedźwiedzi !

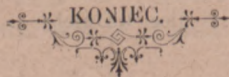
(odchodzi ze swoją przyboczą.)

(Król August z załamaniem rękoma stoi przy krześle Barbary.)

Dworacy.

(Ratujący Barbarę, szemrzają cicho.)

Skonała !



Przypiski do Barbary.

- 1) *Czyć jeszcze z Tarnowa
Jan siadł na myśli i z Górką Andrzejem
Wiodąc na Wołosz?*

Jan Tarnowski wraz z kasztelanem Górką tyle wymogli prośbami u starego króla, iż pozwolił Zygmunтови Augustowi być na wołoszej wyprawie, która pod owe czasy przypadła. Nie w smak to było królowej Bonie; czy w rzeczy obawiała się o syna, czy raczej o swój wpływ nad nim, dość że królewic nie uścigił kilkanaście mil od Krakowa ubiedz, gdy go nowy rozkaz króla zawołał do dom. — Ztąd wielkie krzyki powstały na Bonę iże kazała Augusta zniewieścić. (Historyczne).

- 2) *Pierścień Bony.* Opis jego i okoliczności tego podarku prawdziwe.
- 3) *Toć przeszłą żonę dobrześ skołysała.* Zygmunt August w 17. leciech pojął Elżbietę, Ferdynanda króla rzymskiego córkę. Pięknie i nieskazitelnie żył (jak powiada Orzechowski) „ale po staremuż u świekry, iż one właśnie synowych nie lubią najmniej, powiadano, nie była przyjemną, wkrótce więc umiera“. Tak młodzian owdowiał.
- 4) *A dwie modlitwy we dwu rytuałach...* Jakkolwiek dramat ten wypadł nam na rozmiar więcej komnatnych kobiecych zalotów, nie mogliśmy pominąć ówczesnych sprzeczek, to stanów, to kapłaństwa, to dworactwa, o tyle przynajmniej o ile w rozmowach potraconemi być musiały. Może to komu nudnie lub niezrozumiale przypadnie w czytaniu, aleć my wolim

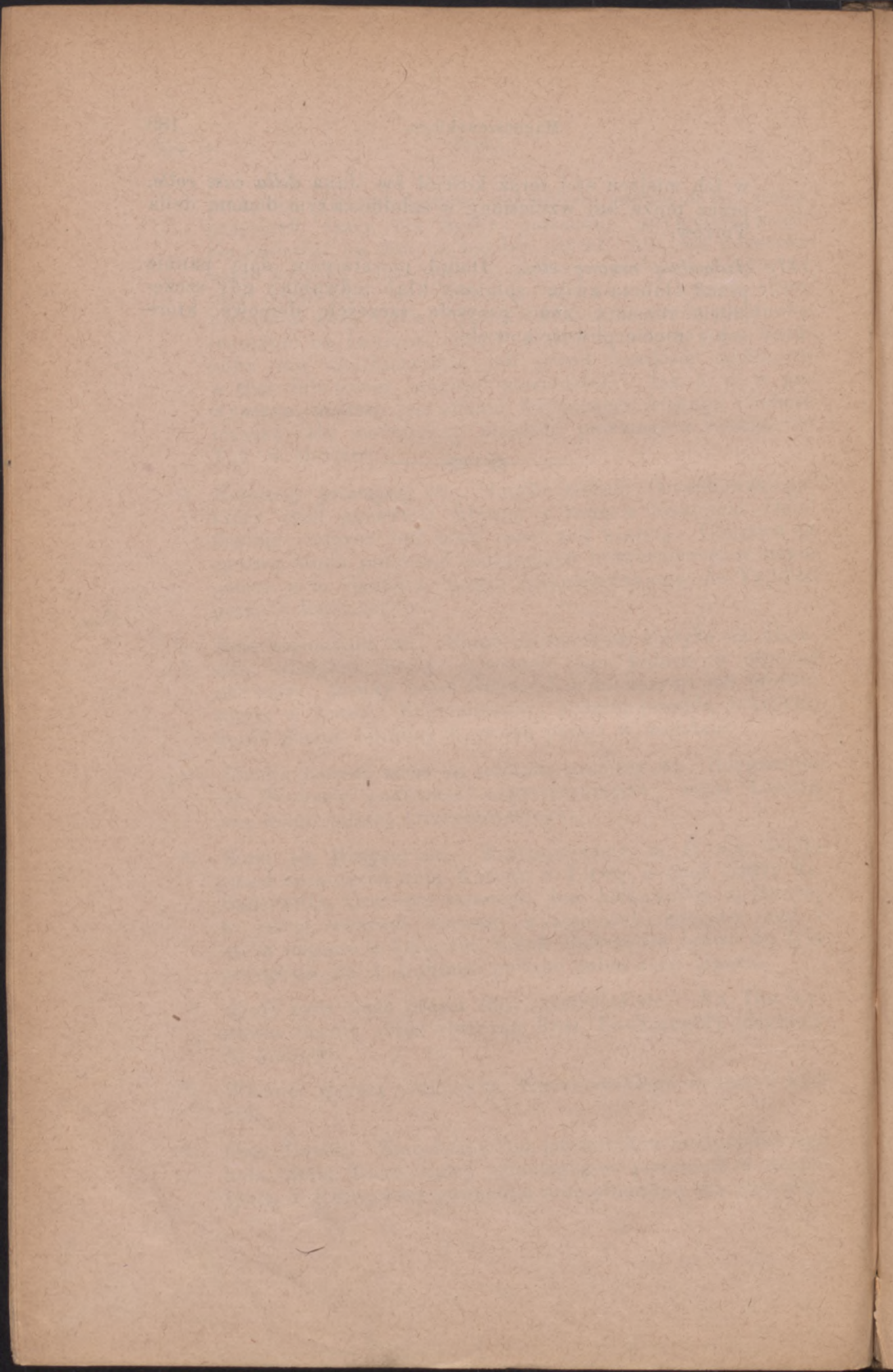
prawdzie, niż czytelnikowi, schlebiać i pomówim że i jeden przypisek naszy nie byłby potrzebny, gdybyśmy mogli się budować na tem, iż kaźden czytał, lub ma poczciwie nasze kroniki. Raz więc na zawsze tytułem i rokiem na nim odesłałoby się ciekawego do tła, na którym autor przerabia swój utwor. Myśli i zdania w dziele umianoby rozróżnić na tamto-wieczne i na własne artysty; nie kazano by mu się tłumaczyć, jak przed kratkami sądu, co w tem lub owem miejscu powiedział? Jak n. p. w powyższym wierszu jest zdanie ówczesnego biskupa i technie jeszcze całą zaciętością kościoła polskiego z ruskim. — Tak w słowach.

- 5) *Kanonicy przemyscy etc...* dotyka trefniś Orzechowskiego, który miał sprawę i kłótnię o żonę z biskupem Dziaduskim; nawet był jakiś czas pod klątwą. Ciekawa ta sprawa miała poniekąd i europejską interesowność w swym czasie, a to sławnym listem Orzechowskiego do Papieża przeciw bezżeństwu.
- 6) *Nam szaraczkom etc...* Miano szaraczków ciążyło na uboższej szlachcie, która najwięcej tego koloru w ubiorze używała. Zwady braci starszych z młodszymi już głośnie tępnia w historii Zygmuntovej; później przejdą w krzyki, dotąd głośnie odrębnych owóh partyi w narodzie.
- 7) *Trudna patrzeć sucho na wołoskie grabieże etc...* Rozpasanie się Wołoszy podówczas najstraszniejsze; omal Lwowa nie wzięli (obacz Orzechowskiego).
- 8) *Wam się Wołynia etc.* Przypominamy iż to się dzieje przed ostateczną unią Korony z Litwą, a opór ciągły ks. Radziwilla, Czarnym zwanego, jest historyczną opozycyą, w jakiej wonceas Litwaki występowali przeciw niej i która dopiero z śmiercią tegoż Radziwilla ledwo do tyła przygasła, że w Lublinie podano sobie ręce bratnie.
- 9) *Kiedy wam ciężą prawa Rusi senioralne etc...* Ks. Ilja wystawia równie obraz roszezeń Rusi. Po szczegóły odsyłamy do historii.
- 10) Własne wyrazy rotmistrza Kaczkowskiego wyjęte z kroniki.
- 11) *Dom Torrów.* Starożytny dom naczelników medyolańskiego ludu, della Torre, który z demagogów przeszedł w despotyzm, a jednej nocy powstania ludu zburzono ich siedziby;

w ich miejscu stoi teraz kościół św. Jana *della case rotte*, przez tenże lud wzniesiony w żałobie za tym domem della Torrów.

- ¹²⁾ *Jedwabną osnowę etc...* Dotąd po staremu dają pannie przed ślubem zwijać spletany kłęb jedwabiu; gdy szczęśliwie rozmota, znać przyszłe szczęście domowe, które sobie niecierpliwością urobi.





ZXVIII. wieku Grabowska
OPOWIADANIE BACCIARELLEGO.

OPGWADANE BACCIARELLEGO.
N. VII. WIKU GIBONSKA

III.

Posiedzenie Bacciarellego
malarza.

Powtarzam opowiadanie, którem slyszal dzieckiem w domu mego dziada, sędziego B... co był mi ojcem i matką. Jak dziś pomnę i giest i wyrazy malarza Włocha, a nim był sam opowiadający Bacciarelli; a powieść jego ulgnęła mi głęboko, bo miała dla mnie coś tajemniczo-ciekawego, jak dla dziecka. Wreszcie stanowiła u mnie ważną epokę, bo się toczyła przy obrazie wielkim w złotych ramach, świeżo przyniesionym z żółtego pokoju, mego Sanctum-Sanctorum zabaw. Mówiący często na ten obraz skazował. Jam słuchał; ciekawy co by to za jeden był na nim ze złotemi szlifami w niebieskim mundurze z białą atlasową kamizolą?

I jakem się dowiedział, że to król dawny, nuż codzien przed nim w całym pędzie drewnianego konia, w papierowym kołpaku, wyprawiać szyki i trąbić do boju. O! bo wtedy dzielny był ze mnie żołnierz, i szczęśliwy w potyczkach! — Później nie tak.

Więc posłuchajcie wraz ze mną, dzieckiem, opowiadał malarza artysty...

W końcu marca *** roku z rana, gdy miał udać się do pracowni mojej w zamku królewskim, przysłał po mnie ksiązę prymas karetę swoją z prośbą, że czeka na mnie w pałacu biskupim, chcąc w ważnej sprawie pomówić. Za chwilę spełniłem rozkaz i niemeldowany zachodzę do jego komnaty. Był w rozmowie cichej i głębokiej z księdzem Mejerem spowiednikiem; ksiązę nie ujrzał mnie, lecz spowiednik spostrzegłszy wchodzącego, uciał rozmowę.

Ksiązę zatopiony słuchał jeszcze i dumal: wnet prędkim krokiem przeszedł się kilka razy w pokoju tuż obok mnie a wychodząc z zadumy, szeroką swą dłonią uderzył kilkakroć w czoło.

Otworzył usta chciał mówić, w tem oczy jego padły na mnie, zmieształ go ten widok, zawrócił słowa na wół wybiegłe i głosem więcej drżącym z bojaźni niż gniewu: „Kto tam i czego wy chcecie?“ zawołał, a potem poznając mnie: „Ha, to wy Bacciarelli! — Z zamku? Cóż mi z zamku przynosisz dobrego?“

— Mości ksiązę! wołany od Waszej Miłości...

— Wołany? — Od nas? — Tak! tak. — Przypominam; to nie odemnie — Grabowska — tak odemnie.

Chciałem byś mi mego odmalował brata — teraz nie wiem, czy mi się on na co przyda! — Ja mam, mam już malowanego brata, wszak prawda książe Mejerze?... dodał z przyciskiem, obracając się do spowiednika; wszak prawda, że mam malowanego brata?...

I stąd złe wszystko, i stąd doszło może aż do tego, że on swego mieć nie będzie!

Znów posunął nogą po hebanowej posadzce, z zaciętą wargą, z zamyślonem obliczem: Ha! bo trzeba głowy, nie serca; a mój brat cały sercem.

Słowo jakie nas i jego zbawić może, on go nie zrozumie. Jemuby trzeba głośno w obec całego świata krzyknąć wspólnie z narodem: „Tak“ — a on tego nie zrobi, a on nie ma mocy

ku temu, ani też moey aby przeciw narodowi: „Nie“ — całym swym majestatem utrzymał.

Mówić mu? Toć jam tyle razy już mówił, błagał, dowodził. — Odkładał, odkładał; później, później! — A ty mi mówisz, że już nie czas, Mejerze?

I stanął wprost przeciw spowiednika, badawczo na jego ruchy zapatrzył. Książd Mejer ramieniem ruszył z lekka przebrał wargami, potem spojrział na mnie.

— O! sam widzę że nie czas; już dziś więcej rządzi pałac naprzeciw Kapucynów niż zamek a z drugiej strony ciągnie burza ciemna, cicha, piekielna a może sprawiedliwa — kryzys kryzys, słabego ciała Rzeczypospolitej!

— Ja nie chcę być przy tem przesileniu! Ja nie będę przy niem! — wołał prymas, i dłonią swoją bił znacząco o poręcz kotary.

Widząc że wiadomość chwilowa, treścią i tajemnicą do mego zwołania żadnej styczności mieć nie mogąca, opanowała myśl księcia, chciałem się usunąć z komnaty, i cofając się z lekka, uderzyłem przy wychodzie nogą o drzwi gabinetu. Ruch ten zbudził prymasa, skinął ręką bym został, przetarł czoło — zdawało mi się, że i z oczu zdjął łzę nadbiegłą i spokojniejszym dodał głosem:

— Czekał Bacciarelli; zrobisz mi obraz króla Jegomości w naturalnej wielkości w pół ciała; obiecałem go. A iżby cię zachęcić do oddania zupełnego podobieństwa dodam, iż go obiecałem osobie, która króla mego zna z bliska i może bliżej jak my oba; przypatrzyła mu się nieraz — rozumiesz?

— Mości książę! wasz rozkaz wkrótce... i jak...

— Już ja wiem, mój Bacciarelli, że ty go dobrze oddasz, więcej bym cię ino o pospiech prosił, bo kto wie?...

Zamilkł i zasępił czoło. — Ja zaś widząc że posłuchanie moje skończone i nie ma czego bawić, skłoniłem księciu i odjechałem do pracowni.

Nazajutrz rankiem, ledwo co czerwone słońce rozbiło mgłę wiośnianą, przy mojem trójnogu w pracowni siedziałem

koło rozciągniętego płótna i wczoraj rzucone zarysy krągami znaczyłem kontury.

Owóż go masz, mówił dalej Bacciaralli do ś. p. dziada mojego, wskazując na podarowany obraz, ale nie takim był dnia tego.

Owal twarzy królewskiej zaledwiem obrzucił gruntem; postawa, w jakiej go teraz widzisz, siedziała mi dopiero w myśli alem się nad nią nie męczył, nie rozkładał wiele, charakter Stanisława sam mi ją natchnął; prawa ręka na poly w białą atlasową kamizolę zatknięta, jakby wskazująca serce, oto giest dobroci, co wrodzonym pędem zda się wskazywać w tym królu to, czem jego natura przemawia, a lewej nie kładłem na rękę-jeść szpady; ani dumnie w pas niebieskiego munduru: — nigdym takiego ruchu u niego nie widział, choć nań codzien patrzałem; oparłem ją o krawędź szkarlatnego krzesła, tę piękną białą, kragłą rękę Stanisława i czepilem się jej naprzód pęzlami mojemu; twarz, głowę, ubiór i cienie, wszystkom ominał, zapomniał dla tej jednej ręki, boskiej ręki. Każdy malarz, uważaj dobrze mój sędzio, w obrazie swym człowieka lub natury ma jedną myśl szczególną, która go nad inne przyciągnie, która panuje jego obrazowi i spowiada znawcy o uczuciu, jakim malarz w ciągu swej pracy oddychał; poznasz ją po pieściwem oddaniu jakiego szczegółu, który ci z całego utworu naprzód uderzy w oczy.

I to nie fantazyja, nie wybryk artystowski poszepnie nam to wyszukanie; natura sama daje nam wzór, my tylko rozględnie i bacznie podchwytyjemy szczególny jej wyraz, którym zarysowała szczególnego człowieka; i już go po tem poznasz, rozróżnisz między wielu innymi, którycheś widział. To przemówienie twoich oczu pamięci było skokiem tajemniczego szczegółu, którym natura wlepiła tego człowieka w ogół swych tworów. Malarz chwyta to i ceni, na co wy prostem i nawykłem patrzycie okiem, bo wam idzie li o poznanie, nam o tajemnicę oddania.

Tak moją ulubioną myślą stała się ręka Stanisława. Porwałem ją na płótno, zdawała się mięknać pod pęzlem. Chciałem w niej wszystko oddać co tylko malarz oddać jest zdolny — i owo życie nabiegających żyłek i ową lekką niedojrzałą mo-

krość, która pulchnym kobiecym rękoma blasku dodaje i ową pochopność w ściśnieniu, którą tak często król mnie witał. W moim malarskim języku chciałem być dworakiem i wywdzięczyć za to ściśnienie ręki, której nawzajem uściskać nie mogłem. I tak mi coś pochlebnego, lubego siadło na penzlu, tak mi przytomną stała się jej forma i rzeskość, żem zachciał ją oddać, ale tak oddać, iżby każdy spojrzawszy na tę rękę, nie baczając twarzy i reszty obrazu, krzyknął:

— Ha! To Stanisława ręka!

Żadnego cienia ino pełne jasne światło rzucam na dłoń i palce!

O! gdybym miał cienie dawać, położyłbym je na jego czole szerokim, choćby dlatego by pokryć marszczki niespokoju i bólów, co się tam wpisały; takie to wtedy przykre świeciły mu czasy.

Czuję jak pęzel powoli mi sunie, ale ja się tak pieszczę z tą ręką, że mi go od niej oderwać się nie chce, a przecież czekają na ten obraz i wczoraj jeszcze wieczorem pani Grabowska tajemnie z pałacyku łazienek przysłała po mnie i w pobliskiej alkewie siedziała długo i bacznie, podczas gdy z królem bawiła i niby z niechcenia zasadziła go do gry, abym z niego mógł wziąć podobieństwo.

Onaby tak rada mieć prędko swego kochanka! Ale to i mój kochanek, ten obraz — rodząc go mam całą rozkosz ojca, patrzącego w dziecię jak rośnie.

Później on będzie dla nich, dla wszystkich — teraz ino dla mnie.

Ja go mam skończonego tu w głowie, widzę cały ruch jego, cały skład, całą harmonię tego, co będzie dla innych, co już jest myślą dla mnie.

A w tem rzecz dziwna, jakby mię coś rzuciło od obrazu!

Uskoczyłem, upuszczam pęzel, urwałem robotę i myśl fantasta posunęła mi po głowie:

— Gdyby stanąć, porzucić pęzel; zostawić bez koloru, bez życia, bez zgieć i cieniów i tę twarz wyrysowaną ledwie i tę postawę, którą dopiero kilka oznacza linii; i tylko ta ręka, ta jedna ręka żyjąca z owym różowym blaskiem krwi, co się w palcach

promieni, gdyby została sama nieoparta, żyjąca w tym niezłym obrazie zawisła na tych kilku liniach, nitkach, co poręcz krzesła stanowić miały.

Gdyby zostawił przysłym wiekom tę zagadkę malarza ten kaprys artysty! — Niech myślą, niech zgadują, niech dorabiają twarz, usta, oczy, rysy do tej ręki! Gdybym w reszcie obrazu położył tak szeroki, tak wielki cień, jaki padnie kiedyś z grobowca na tę żyjącą postać męża? Gdyby uprzędzić śmierć w jej skutkach, i tylko sereu ludzi zostawić wdzięczne przysze zgadowanie tej ręki! Ktoby odgadł? Ktoby poznał tego, którego teraz każdy zna i wielbi! Kto?

— Ja, panie Bacciarelli, odezwał się głos po za mną wchodzącego szambelana Strzembosza, który mój wykrzyk uniesienia wziął za proste pytanie ciekawości. Ja panie malarzu przychodzę ci przerwać pracę waszą, ale spieszcie, spieszcie za mną — dziwne i straszne opanują was rzeczy; król na was niecierpliwie czeka; dowiedcie się o wszystkim i po co...

Nie tracę chwili, spieszę do króla; zastałem go zmienionym jak nigdy; on tak rozmowny, witający, oniemiał tym razem i długo bez słowa, bez powitania przyszło mi czekać w komnacie.

Turkot powozu zachodzącego przed okna królewskie przerwał to przykre milczenie.

Zbudził się Stanisław, jakby z przykrego snu, jakby z przykrego wypoczynku po smutku.

Czytałem w jego twarzy że słowa, które miał do mnie mówić, dużo go kosztować musiały.

— Ha — rzekł — pojedź mój Bacciarelli — i wskazał na karete, — weź pęzel i płótno. Gdzie? Oni ci powiedzą, oni powiedzą kogo — odwrócił się, zasłonił oczy rękoma, ciche szlochanie jakby się dalej skarżyło przedemną.

Mnie na ustach była ciekawość, bom jeszcze jak żyję nie odbierał polecenia z takim smutkiem i niechęcią wydawanego. Znając dworskie zajścia i chmury, z których najczęściej niepoгода na twarz królewską biła, przypisywałem dolegliwość jego nowym utarczkom pani Luly z Anną Grabowską.

Dwie te zapaśnice jak kręglem grały królewskim umysłem w przekor sobie, i spokojność jego była jak ten syn pieśczoney, któremu matka umrze, a ludzie w miejscu jej pieśczoney litość mu dadzą; więc jemu niby to dobrze, ale często płacze sierota serce króla, nie żeby obie jednako kochało, ale dobroć wrodzona, dobroć bez hartu, dobroć bez wyboru, której najlepszą stroną była słabość i uległość każdemu wewnętrznemu wrażeńiu, trzymała obie rywalki u boku króla.

I raczej wolał przenieść następstwo zazdrości, plotek, całą walkę pokojową tych pań, nad chwilę jedną wyboru, odtrącenia której z tych dwóch zapaśniczek lubości.

Lecz i one miały za sobą więcej jak tę słabość króla, więcej jak piękność swoją; one wyrosły na dworze w potęgę dwóch partyi, które się wyrobiły w narodzie.

Słabo stał tron Stanisława bez dzielności w sobie, bez samoistności, bez korzenia w narodzie, bez współczucia możniejszych.

Panowanie jego był to bluszczał na mogile i jak błuszczał od samych poetów lubiony.

Wielkie masy narodowych pojęć przeciągały koło tego tronu bez nadziei w nim, bez spodziewku, bez ognia, którymby mogły zapalać ku niemu swe serce. Ogół narodu czuł, że sam za siebie myśleć musi, że nikt za niego nie myśli, że jeśli działać przyjdzie, powiedzą mu:

— Działaj narodzie, my o tobie wiedzieć nie chcemy.

Piękną swą rękę Stanisław spletał w przyrzeczeniu z piękną obcą mocarką. Namiętność człowieka stanęła później zawadą w obowiązkach króla: poseł był kochankiem, stolnik dłużnikiem; zapóźno Stanisław królem został, a za pocziwym był aby posła i stolnika w sobie zabaczyć.

Kiedy więc na naród przyszła kolej myślenia, znalazło się myślących głów wiele, a każdy w swoim sposobie. Są kwiaty w królestwie roślin jedne co kwitną dla siebie, pachną, osłepiają i bez owocu schodzą; są drugie, co mają łono z miodu nie dla siebie: rój do nich pędzi, muszka nimi żyje, motyl je całuje, cierpią w sobie i jeszcze owoc pod nogi przyszłości rzucają.

Tak były w Rzeczypospolitej dwa kwiaty ogólnego myślenia. Ślepiące kwiaty tego królestwa wiodły rej w myślach o narodzie, ale — sobie kwitnęły: chciały mieć kościół swój własny, ale wielki ołtarz dla siebie. A druga część myślących jeszcze nie miała znacznych imion, gotowała się do kwiatu z ciężarnym bolem, to gdzieś w poskokach konfederatów, to znów w piersi podkanclerskiej, to ówdzie w kościelnym kąciku, to gdzieś przy warsztacie szewca; ale miała jedną nazwę, chęć samoistnienia; jeden cel: dobro ogółu; a nie myślała o sobie ino jak o urzędniku, kapłanie, szewcu, lub gdzie ją kwitnięcie zastanie.

Owóz dwie te partye przed oblicze króla przychodziły — nieraz śmiałe, zalotne i chciały go badać i zapraszać z sobą. On niby nie słuchał, nie wiedział niby; raz jednak partya konfederatów uścisnęła króla porywczemi rękami tak mocno, że aż bót i rękawiczkę zgubił; ¹⁾ poczciwy szewc później dopiero but mu dokroił, a podkanclerzy Hugo rękawiczkę odszukał; po tym kroku jednej partyi przyszło do tego, że druga naciera sporzej, dwie potencye rozgościło w biednej krainie i wypatruje końca zabiegów swych.

I ci panowie prostują karki dworackie przed królem, bo im chce się królami zostać a rośnie nadzieja patrząc na przy mierzone i sproszone od nich wojska.

Król się uśmiecha i idzie do Łazienek bawić z Luly lub Grabowską.

Ale jednym razem i tam go przydybała polityka: dwie te niewiasty poswarzyły się i wydały sobie walkę na zabój: „Ty lub Ja“.

Lecz aby dojść do celu, aby współnictwo w działaniu przeciw rywalce otrzymać, podały ręce partyom narodu i przeciw sobie pod chorągwiami politycznych wystąpiły zamieszek.

Ów stan obecnej chwili zdał mi się dosyć tłumaczyć rozkwilenie starca i jam go nie chciał bez pociechy zostawić, jam go konał przytomnością moją wrócić do wstrzymania żaloby; i jeszcze stał w sali z żegnającym ukłonem, gdy nadszedł szambelan z przypomnieniem, że karetą zaszła.

Król zwrócił się raz jeszcze ku mnie, pożegnał ręką i postąpił ku drzwiom sypialni.

Za wychodzącym sunałem okiem i zdało mi się widzieć w jego gabinecie czarny strój kobiety, co się ode drzwi usuwała, kiedy król je otwierał.

Sprowadzony spiesznie ze schodów zamkowych, ledwie w karecie dowiedziałem się z rozkazu, jaki szambelan w głos woźnicy rzucił, gdzie mnie wiozą, a niedaleka była to podróż, do prymasa pałacu; wczoraj ją odbyłem.

Ale jakże różne wczora od dzisiaj! Jakże różny sam pałac zastałem! Świętość spokoju i uszanowania przerwana zgiełkliwem przelatywaniem służby, trzask drzwi jednych po drugich w sieniach kilkunastu z liberyi. w ciekawe grono zwinionych, szemrało między sobą.

Przedemną wybiegł kamerdyner z pokoju i krzyknął na nich: „Wody!“ — Leniwy ruch kilku z czeredy dał się widzieć po tym nagłym nakazie.

Wchodząc do sali spostrzegłem pośpiech kamerdynera, obrany z wszelkiego poszanowania dla miejsca i osoby pana jego, drzwi wszystkie otworem, ostatnie do alkowy księżęcej, w które spiesznie wkraczał, zatrzasł za sobą łoskotliwie.

Zmieszany, nie wiem gdzie iść, kogo pytać, komu meldować, gdy po za mną slysze głos pani Grabowskiej w czarnem żalobnem odzieniu, widzę oczy zaczerwieniałe z płaczu, jej śliczne siwo błękitne oczy, którym tak dobrze obok czarnych splotów, którym tak wymownie grecko-sarmacki nosek przewodniczył i ów dołek na podbródku, z którym często pieszcząc się król Stanisław mawiał: „Ty będziesz miała dwóch mężów lub dwóch kochanków Anusiu!“

— Wabny ten pączek Łazienkowskiej oranżeryi, cały w rosie, pomięty płaczem, kirem jak chmurą oczerniony, rankiem w pośród tych krążeń lokajskich, w pośród niesprzątnionych komnat pałacu, zdał mi się jak zapomniana doniczka róży, kiedy po zabawie i tańcach wyniosą wszystkie ubrania, kwiaty z salonu, a ową królowę kwiatów zapomniawszy, z golemi ściany zostawia.

— Pójdź ze mną, panie Bacciarelli, ozwie się wchodząca, tej ostatniej posługi król od ciebie wymaga: przypomnij mu to, co odtąd w rzeczywistości przypomnieniem ino być może! — To mówiąc postąpiliśmy w ciemną sypialnię prymasa, różową firanką u okien zaiskrzoną.

Niestety! Teraz ujrzałem i boleść króla i czarny ubiór Grabowskiej i nieporządek pałacu usprawiedliwione przedemną.

Księżę prymas leżał na łożu z przymarłą żrenicą, z posiniałą twarzą, jedną rękę trzymał na piersi, ale tak zaciśnioną jakby się jeszcze mocował z bolem tłoczącym mu łono; a drugą trzymał szkarłatną koldrę łoża, pomiętą konwulsyjnymi poruszeniami palców. Duchowna czapeczka zasunęła mu czoło w połowie, głowa w wielkich poduszkach wyrobiła dół tak głęboki, że ledwo nos orli przeważny można było rozeznąć między najeżonymi rogami poduszek; wyprężone ciało mówiło bolem, przecież widać w niem było wolę, nie ratowania się, niechęć powstania z łoża i wołania pomocy, gdyż cała postawa jego rzucona i podana była ku ścianie, a w twarzy przy ostatniem tchnieniu znać chęć wypogodzenia swych rysów, jak gdyby dla mnie malarza, jak gdyby chciał umilić skon i dać wyczytać z czoła swego, że się nie lękał śmierci.

Ksiądz Mejer stał nad jego łożem w chwili naszego wejścia. Pani Grabowska pobiegła ku niemu:

— Jakże księżę spowiedniku, podejrzania nasze?

— O! jak prawdziwe! — Patrz pani, na tym stoliku, tuż przy łożu, stoi jak stał dzwonek nietknięty; ręka nieboszczyka patrz o cal jeden dalej za nim położyła swą książkę modlitw, brewiarz... Kto mógł tam dosięgnąć, nie mógłże dzwonka ruszyć? — Przecież nie dzwonił, nie wołał! ²⁾

— Ależ on mógł wpierw się modlić, wpierw położyć książkę, nim ten napad wytrącił mu przytomność, że potem do dzwonka nie trafił.

— Mógł wpierw się modlić, to prawda; ale kładąc tę książkę, on już... wiedział że umrze, a chcąc się ratować, byłby mógł zbudzić służbę. — Patrz pani! patrz Bacciarelli! Brewiarz założony, modlitwa za umarłych; tę kartkę zagiął i po-

łożył otworem; a wczoraj w wieczór, gdym przyszedł na dobranoc, on mi nie kazał z rana przychodzić i rzekł dość znacznie, abym dziś go zrozumiał:

— Nie przychodź księżu wcześnie, bo ja jutro długo, długo leżeć będę!

A mnie w pamięci powtórzyły się wczorajsze prymasa wyrazy:

— I doszło aż do tego, że on swego brata mieć nie będzie!

I strach mię zdjął za tych dwóch braci, co obaj wzywali pęzła mego dla siebie, którym jakaś ciemna świeciła gwiazda, jakaś wielka groziła ręka, kiedy przed nią woleli bramę śmierci sami przekroczyć, jak czekać jej uderzeń. Stałem zwikłany niespodzianą bojaźnią, szukałem okiem artysty w tej niemej twarzy cechy, piętna, jakim naznaczyć na płótnie rysy tak mi dobrze znajome? Czy go przywrócić do życia i dać mu uśmiech jego zwyczajny, i ten umizg twarzy, którym z prymasa często człowiek, kochanek przemawiał; czy przepomnieć krewkość Ciołków domu w owych familijnych rysach, a zbudować samą powagę książęcą i naczelnika kościoła? Albo też oddać całą przestrożę bratnią, co śmiercią swoją chciał zapisać królowi? Przestrożę tak wymowną, większą niż ból fizyczny, krok hańby samobójczej, który przecież w porównaniu co mogło nastąpić, musiał być dla niego krokiem honoru, kiedy go księżę Ponia-towski — kiedy go duchowna osoba wybrała, spełniła. —

O! tak — niech jego nauka nie będzie stracona przezemnie.

Myśl ostatnią wielkiego jego domu winien pochwycić malarz; bo cóż malować jeżeli nie szczytność wewnętrznej walki, która i w twarzy zbójcy jeszcze malarzowi da poklask za wydanie budzącej się szlachetnej władzy?

Zabieram się więc do dzieła; światła ile trzeba wpuszczam przez podniesienie do wpół okna karmazynowej firanki, reszta alkowy ciemna, aby mi obecność osób mogących nadejść nie psuła ułudy samotności; w nogach łoża ustawiam trójnog malarzski.

Tymczasem cicha rozmowa księdza Mejera z panią Grabowską toczy się przy głowach zmarłego. Małom jej zważał dopóki ruch szczególnie rozmawiających nie zwrócił nań uwagi mojej; z pod oka popatrzyłem na mówiących.

Troje ich było; widać że podczas mych przygotowań nieznacznie musiała wejść trzecia osoba słuszną, w duchownym ubraniu, czoło szerokie, pełne myślenia, oko duże jasne i lśniące świeciło w ciemności i bacznie we mnie zwrócone było. Był to ksiądz Hugo.

Nie witałem go, bom dojrzał jak tajemnie podawał jakąś karteczkę niewielką pani Grabowskiej; jak ona przeszła wkrótce w ręce księdza Mejera z tem samym chowaniem się przedemną i podczas gdy się schylał dla roztoczenia nóg mojego pulpitu i gdy wciąż badawcze oko Hugona siedziało we mnie, widziałem jak ksiądz Mejer wkładał ją zręcznie i spiesznie w rękę zmarłego.

We dworze, mój sędzio, tego widzieć nie trzeba, czego nie chcą, aby widzianem było.

Mileżałem więc, ale odtąd i okiem i słuchem przyrzekłem sobie być niemym świadkiem sceny, jaka przedemną odgrywać się będzie, a ciche pytanie Kollataja:

— Ale czy pewno król Jegomość nadejdzie? — rzucone do ucha Grabowskiej, dość jasno tłumaczyły mi przeznaczenie tego zwitka

Widząc rozmawiający, że pierwsze krzątania artysty skończone i że brałem siatkę do zdjęcia rozmiaru twarzy, ustąpiłem w ciemniejszą część alkowy, nie odstępując mnie jednak śledzącym wzrokiem; jam rzekomo nie dawał baczności na rękę wiedząc, że nie czas aby owo pismo odkrytem być miało.

Po chwili ruch w pobocznych komnatach oznaczał wejście kilku osób; znajome skrzywienie butów ostrzegło mnie i obcych że król idzie.

Chód jego wolny coraz się wyraźniej odbijał i pani Grabowska skwapliwie ku drzwiom sunęła; lecz posłyszawszy za nim szelest kobiecej sukni, wstrzymała się nagle u proga, by nie wyjść naprzeciw rywalki, i tak zwiatała króla w progu samej komnaty niskim pokłonem i rzewnymi łzami.

Czy widok wchodzącego brata do brata, który mu już oddać powitania nie mógł, czy podobieństwo rysów dwóch tych jej kochanków, czy wreszcie prawdziwa boleść, owa nagła kobieca boleść rzuciła Grabowską, nie wiem; dość że chwila witania była chwilą zemdlenia Grabowskiej.

Pięknem swem ciałem padła u progu alkowy w nogi królowi, rozkrzyknęła piersią, zatętniła gardłem i koral ust jej odstąpił.

Król w drzwiach stojąc, zatrzymany jej upadkiem, wejść nie mógł dalej, ani ratować zemdlonej ramieniem; pierwszy co przed nim weszł, cześnik koronny, Tadeusz Dzieduszycki, porwał omdlałą wół i z ziemi unosił, a z poza króla ciekawo i badawczo spinając się na swe palce małe, przyglądała się tej scenie Lully, owym kobiecym, przenikliwym wzrokiem, co to od razu pojmie czy zemdlenie jest skutkiem rachunku, czy natury, i poznałem w krągłutkiej twarzy markizy figlarny uśmiech znawczyni, co mi odjął połowę prawdziwego żalu, jakim mnie ten przypadek przykry Grabowskiej opanował. Nie wiem, ale to szamotanie się cześnika z zemdloną i ów upor Grabowskiej do usunięcia się z przed nóg królewskich zdawał mi się jakby umyślnem przytrzymaniem go w progach komnaty aby tymczasem rywalkę swoją wystawić na nieprzyjemne czekanie przede drzwiami alkowy.

Może i chciała Grabowska dać do zrozumienia markizie że owa tu, jak w swoim domu, miała prawo ciałem swoim załedz komnatę w oczach króla Pana; może jej chciała przymówić, że Lully ino jak gość ciekawości tam stąpa, kędy Grabowskiej panowanie sięgało.

Weszli nakoniec do komnaty.

Król Stanisław, pani Lully, szambelan Strzembosz, a dwóch paziów zostało w progach alkowy. A teraz oko w oko spotkały się dwie rywalki, jak oko w oko stanął brat bratu, życie śmierci.

I cofnąłem się od mego pulpitu, aby w ciekawszy obraz popatrzeć. Żalność Stanisława załamała ręce nad łóżem brata, cichy smutek utulił każdego oddech, że mógłbyś bijące serce

posłyszeć: dwie twarze Lully, Grabowskiej zapatrzwały w siebie, z całym przerażeniem tego spotkania nad grobem.

Tak gdy przyniosą dziecię do pokoju, kędy jego umarły ojciec leży, ono z całym pędem życia wyciągnie ku niemu rączęta, ale zestraszony nieruchomym ojca wyrazem, osłupieje niemowlę i zapatrzy tym wzrokiem, którym się zdaje śmierć rozumieć.

Wyniosła kibić pani Grabowskiej, czarną otulona taftą, straciła to brzemie ciała, które ją przysadkowatą niby krępą czyniło; a czarna krepowa flora z głowy rzucona w pół ciała, lekką i wysmuklejszą udała jej postać, ciemne pudrem narzucone włosy, w trzy korony splotów ubrane, nad czołem bujały jak wieże, a w pośród nich czarna oplątana wstęga, jak ścieżka kręta i śliska świeciła czarnym atlasem; dwoje siwych oczu zdało mi się srebrzyć wzrokiem — to księżyc w pogodne noce grudniowe, kiedy natura w bieli, a w takiej bieli była właśnie twarz Grabowskiej.

A Lully, Lully kochanka, Lully Francuzka, roztrzepana Lully nie miała czasu rzucić na siebie żaloby i woń jej i ubior jak z balu, zlatujący z ramion, jakby dopiero z objęć lubego; a twarz jej kragła rumiana, ciemnawa biciem krwi, co się tak w jej piersiach spieszyła, a oczy jej czarne, jasnokrwiste, jakby z nich ogień tryskał a wargi jej dwie wiśnie bliźnięta, na które patrząc trzeba było o całunku myśleć.

Taka Lully z swoją wysmukłą, ulatającą kibicią, z rozpuszczonym jasnym włosem w kędziory a la Titus, odpowiadała na wzrok surowy, poważny Grabowskiej złośliwym, figlarnym rzutem swych oczu.

Dość długo trwała ta niema zaduma króla i niema walka dworaczek — podczas niej Hugo w najciemniejszy róg komnaty skryty, błyszczał ino białem swem czołem po nad głową króla, po nad baszty warkoczów damskich, po nad schylone służby królewskiej orszaki.

Chcącego witać go Tadeusza Dzieduszyckiego, cześnika, odprawił tajemnym skinieniem ręki i ciasniej w kąt się zatulił; alem uważał, że się nie zdziwił cześnik obecnością Hugona, snadź go się tam spodziewał, może i żądał.

Król Stanisław chcąc przejść najwolniejszym wyrazem żalu z głębokiego smutku do majestatycznej powagi, obrócił w okół od łoża nabrzękle oczy i ujrawszy mnie, drżącym ozwał się głosem:

— Bacciarelli! Czyście poznali brata mego?

Rzewne pytanie, niewymagające odpowiedzi, ino spowiadające tak dobrze żal i cierpienie, rzuciło mi łzę do oka; aby ją ukryć i nie rozżalić więcej króla, przysunąłem się nagle do mego pulpitu, rozprowadziłem kilka kolorów na pamięć dorywczu, jak gdybym i ja chciał przejść z przykrego położenia człowieka do mego obowiązku malarza.

A chcąc zmusić niejako Stanisława do opuszczenia łoża, poszedłem ku ciału i niby w malarskim celu zasunąłem twarz prymsa głębiej w bieliznę. Cofnął się król, ale o krok ino i patrzył niespokojnie na me krzätänia; slysząłem głębsze westchnienia jego piersi, jakby się spodziewał, że ja wyraźniej rysy nieboszczyka odstonię w odpowiedzi na jego słowa. — W tem ruch całej alkowy prędki, ciekawy, ruch, do którego musiał i Hugo należeć, bo slysząłem jakby drapanie się po ścianie obcasów wspinającego się człowieka, dał mi do zrozumienia, iż na mnie spoczęła cała uwaga chwilowa, cała nadzieja efektu włożonej kartki, owej tajemnicy, czyli też celu obecnych. Poslysząłem szelest krepy, odpychanej dyszącą piersią Grabowskiej; zgiąłem się ku łóżku, król tuż poza mną nachylił swe czoło, aby ostatni raz ujrzał bratnie oblicze.

Teraz czas pomyślałem i poprawiając okrycie łoża nieznacznie z zaciśnionej ręki prymsa, począłem adamaszek wyrywać; tam był ów bilet; i za drugim pociągnięciem ręki jakby żywe rozwarły się palce i pismo widomie moje i królewskie uderzyło oczy.

Poskoczył ku niemu król; widziałem tylko drżącą do niepoznania ręką kreślony z wierzchu napis: „Królowi bratu memu“ — i już je król czytał; a ja zimny, spokojny, jakby rzecz najnaturalniejsza w świecie się działa przed memi oczyma, odszedłem do mego trójnogu.

Jednakże była osoba, która dziwną tę scenę niedowierzaniem przyjęła i naprzód ogniste swe oczy wlepiła we mnie,

by czytać: wybieg to? — czy prawda? Śmiało i bez najmniejszej poznaki, cały zatopiony w pendzlu, zniosłem ten śledczy wzrok pani Lully; ale coś ważniejszego musiało ją uderzyć u pani Grabowskiej, bo z niej już nie spuściła wzroku a ta całą siłą utonęła w czytającym Stanisławie; wargi zacięte Grabowskiej mimowolny ruch ożywił, jakby słowo po słowie czytała lub przypominała sobie treść listu, który król trzymał.

Ten ruch tak był jasny, ściągnięcie jej rysów ku oczom tak wyraźnie malowało, nie ciekawość, ale pewność tego, co król znalazł, rzut z pod oka na ciemny róg komnaty, co nie uszedł baczności Lully, tak dobitnie przemawiał o podrzuceniu i współnictwie Grabowskiej, że Lully nie mogąc z prędkości uciec się do rozważki, z gorzkim i przekonanym uśmiechem rzekła do niej dość głośno:

— Ha! pewnie ci prymas wszystkie tam swoje klejnoty zapisał.

Rumieniec byłby wypłynął licem Grabowskiej, gdyby tak niespodziewane odkrycie, tak śmiało rzucone jej przez rywalkę, było odgadnięciem treści pisma; ale ona pojrzała tylko szyderczo po małej Francuzce i odwróciła od niej twarz swoją.

Cała przebiegłość Lully straciła trop prawdy, z tego co zaszło nic już nie odkryć; czeka więc na pierwsze słowa królewskie.

On w framudze okna twarzą do obecnych, w obu rękach drżących rozwinięty zwitek dawno czyta i drży dawno, choć tam ino jak widać przez spód papieru, ledwo kilka nakreślonych linii — skończył wreszcie — pomięszana i rozczulona warga krótkie i ucinane niesie mu słowa.

Skinął na służbę zwykłym sposobem, gdy ją odprawiać chciał, ukłonem ręki obu zapaśnikom dał jakby pożegnanie. Grabowska i Lully, niepewne i ociągające się, odchodzą do drugiej komnaty.

— Zostań księżu Mejerze — zawołał na spowiednika, a w tem i z rogu komnaty poważnym sążnistym krokiem przeszedł przed królem Hugo, wolnym pokłonem się uniżył i chciał iść dalej za cześnikiem.

— Wy tutaj Hugonie? — zagadł król zdziwiony — i wy! — kiedy tak, zostańcie mi przy boku. Panie Strzembosz i wy Bacciarelli zaczekajcie z służbą w przybocznej sali, ja tu nie długo zabawię.

Pokładłem pęzel, palet mój, za nami sam król drzwi zawarł, i całe grono nasze: świadkowie i uczestniczki tej sceny prócz króla, Mejera i Hugona, obaczyliśmy się w przybocznej wielkiej marmurowej sali.

Ciche naprzód szeptanie w alkowie prymasa, po naszym wyjściu wszechgłose, dolatywało uszów jak jąkanie ulewy, co bez wiatru kroplisto bije w ziemię.

Lully poszła ku oknu najbliższemu ścianie alkowy, co się patrzyło w ogród nie wielki prymasa, ale kierunek jej głowy mniej się podawał ku szybie jak ku ścianie, jakoby chciała podsłuchiwać rozmowę; i w rzeczy samej oparłszy się dobrze o tę ścianę można było głośniejsze chwytać wyrazy.

Grabowska, co aż dotąd w pół wahającym się chodem zdążyła ku drugiemu oknu, widząc wybieg Lully, namyśliła się, zmieniła chęć i ku temuż samemu oknu, gdzie stała Lully poszła.

Skinęła na służbę, podano im stolki, a Lully z widocznym skrzywieniem podziękowała ukłonem za tę posługę, co ją pozbawiła wsparcia się o ścianę i wygodnego podsłuchiwania.

Jednakże musiała usiąść; inaczej obok siedzącej Grabowskiej w obliczu patrzących na nie dworaków, czyżby nie utraciła godności?

Czyżby nie mogła żartobliwość przemówić, że Lully przy niej usiąść nie śmiała! —

Jam stał o kilka kroków za niemi i jak od niechcienia podanemi w tył rękami opierałem się o ścianę, przerywaną i obojętną rozmowę, kiedy się uciszyły odgłosy alkowy, prowadząc z wielkim cześnikiem.

Ciekawość w mem życiu zrobiła mnie artystą, mój sędzio a teraz podsłuchiwałem; jednakże w pierwszej chwili tej sceny sztuka moja wzięła górę nad prostą ciekawością.

I jakże wziąć nie miała, gdy obok siebie dwa wyrazy mi-

łości tak różne, siedziały w osobach dwóch rywalek królewskich? —

Kontrast ich z sobą przekonał mnie, że Stanisław prawdziwie po ludzku i po królewsku lubować umiał i to, co z początku zdało mi się niestałością jego, pokazało w nim znawcę.

On miłował nie dwie kobiety, ale dwie miłości.

Miłość czterdziestoletnia Anny, co się do ostatniego przedmiotu swych uczuć przyczepia powojowym skrętem, co czuje że raz ostatni kocha, gdzie przychodzą bole zazdrości, jakich młodość nie zna, jakie doktor za chorobę wzięść może, a które jak ostatnie drzenie stróny, najprzyjemniejszą melodyę niosą, jest to kwiat mocny, pełny zapachu, co kwitnie bez jutra, a każdy wdzięk swój opadający płacze służebniczym żalem: taka miłość przemawiała z lica Grabowskiej.

Krągłość form i skończona wydatność silnie zbudowanej postaci nie zaszkodziły bynajmniej jej kibici, ale pokazywały owszem całą moc, całą sposobność do tej walki, owo kwitnienie, co się ma szamotać z przekwitaniem.

Przedramię, łączące się z piersią, nie wskazywało żadnej linii przedziału, wdzięk do wdzięku zdał się przypadać i tonąć jak śnieg do śniegu, by stworzyć tę krągłą pieszczotę, co wyzywała snycerskie dłuto.

I patrząc na nią musiałeś wyłącznie ziemskim uczuciom oddać duszę i ciało; tak kiedy patrzym na dąb, mimowolnie skupiamy pięść, jakbyśmy próbowali w nas mocy, patrząc na wyraz siły w drzewie.

Krągłość form zawsze w nas budzi ziemskie zachcenie; to pęd, co każe dziecku wyciągać rączęta po najokrągłejsze jabłko — i gdyby mnie malować Kupidyna użycie, oddałbym go z krągłym jabłkiem w dłoni, klęczącego u nóg pani Grabowskiej; jej dalbym to wypukłe czoło, gdzie zda się że myśli jak starzy mieszkańcy rozgościli się w gospodzie, i długą siedzibą i szamotaniem podnieśli kurz lekki, co jak lekka chmura nasiadł zmarszczkami między jej brwi ciemne.

A w drugim obrazie, w obrazie Lully, rozmiłował Stanisław ów płochy szal dwudziestoletniego uczucia, co to igra z miłością, ale kocha jakby to raz tylko kochać się miało; co

to się zamyśla lub wróży w przyszłość z biegu chmurki przez okno; co się martwi snem dziwacznym, lub krojem sukienki nie w smak; uczucie młode, przelotne, któremu trzeba skoków, hałasów, tańca, świecideł, aby mogło powiedzieć że szczęśliwe; któremu dosyć jednej niepogody w dzień zamyślanej przejażdżki, aby się nieszczęśliwym nazwało; serce w tym wieku jest ową ptaszyną przywiązaną nałogiem do klatki, której zdaje się że gdy od klatki odleci, to już tam nie ma na świecie Boga, coby dla niego o ziarnkach pamiętał.

Cała postać markizy, każdy ruch tej niewielkiej gnącej się kibici, mówił o owem pieściwem uczuciu, co ją kochanką Stanisława zrobiło: czoło gładkie, lśniące, nisko płowemi włosami zarosłe, oczy czarne żywe, kropkowane piwnemi znakami i owe lica ciemnawe gorętszej krwi francuskiej, pomawiały o rozkwitającym wieku kobiety.

Tu zachcenie kaprysem, lada przeciwność burzą, a każda burza bolem, ale jakim bolem? —

My wąsacze, sędzio, śmiejęm się z tych bólów kobiecych, ze spazmowych bólów, co rozstrajają chęci z obecnością; ból ten fizyczny napastuje tylko takie pieszczotne stworzenia i przychodzi z bicia krwi ku głowie i ku tym płowym włosom, co tak wymownie o delikatności nerwów świadczą, a które są jakoby bladym kwiatem na nieurodzajnej ziemi, ledwie wilgocią wypędzonym z jej łona.

Ale takie główki mają roje myśli, a jedna piękniejsza od drugiej, a wszystkiemi chciałyby zhaczyć kochanka; więc mu prawią o swoich rojeniach edeńskich, a kiedy mówią, to wezmą taką postawę wdzięczną, ulatującą, tak się zegną z czołem zamyślonem na swoją drobną rączkę, że człowiek patrząc na nie, chwytą je prędko w ramiona, jakby się bał one rojeniami swemi nie wydarły mu się z rąk, z przed oblicza jego, i jak marzenia, które czuje że mu z duszy uciekają, nie uciekły z niemi.

Takie mi myśli widok tych dwóch faworyt nastreczył i zatopiony uciałem pogadankę z cześnikiem.

Tymczasem rozmowa króla i jego radców głośniejszą się stawała.

Gruby głos Hugona coraz gęściej przerywał powolne króla odpowiedzi i stłumione, ale prędkie Mejera przymówki.

Uważałem iż im głośniejsze dolatywało słowo, tem Grabowska rozmowniejszą się stawała; to zagadywała Lully o jakie drobnoski ubioru, to o jaki szczegół jej gustu, lub o zmianę w ogrodach Łazienek.

Niechęć Lully w rozmowie tem widoczniejsza była im głośniejsza była alkowa, nieraz w pół odpowiedzi ucięła aby podслуchać; wtedy Grabowska naprzykrzonem pytaniem! „Co? Co?” mieszała niebogę.

Ale nadeszła chwila, w której my wszyscy i sama pani Grabowska oniemieliśmy z uwagą.

Wybuch grubego głosu Hugona, stłumiony wykrzyk króla, poruszył mimowolnie wszystkich głowy ku ścianie.

Słowo po słowie cedziło się przez ten mur komnaty i dochodziło jak szum gdzieś podziemnej rzeki.

— Jakto! Co chcecie? — Cóż powie na to monarchini moja? — były pierwsze słowa królewskie, co drząc grozą czy bojaźnią przybiegły do nas i przylgły całą mocą odtętnionego głosu.

— Co powie? — odparł gruby głos tamtego. — Niechaj co chce powie! Niechaj zagada do nas kilkunastu tysiącami bagnetów, my jej tysiącem piersi odpowiemy! Monarchini wasza, nie nasza, królu! Raczej ci pytać co powie naród sierota? — Co powie lud przemożny? — Co powie kościół matka? Co powie kraj ojciec? — O! to co ona powie, my to już dawno słyszeli, i niedawno na Grodzieńskim sejmie i teraz wiemy jak w Radzie twojej, miłościwy Panie, błąka się jej cień w nie jednej podmówionej piersi! By tak gadać i chcieć jak ona, trzeba nią zostać, jej służyć, by tak gadać jak my, by tak chcieć jak my, trzeba nami zostać, trzeba chęć swą przyżenić do życzeń ogółu, trza ręki, głowy; rękę wyprężyć aż do Litwy, głowę podnieść w wysokość tronu! . . .

— Lub w wysokość rusztowania! — przerwał cierpki głos króla.

— Choćby! — ciągnął śmiało Hugo. — Choćby los i tam kazał wznieść głowę! To lepiej czynem spotkać oko w oko miecz kata, jak spuścić głowę w kotary, jak zamajaczyć truci-

zną i położyć się na pościel śmierci obok z przyżenioną hańbą! Królu mój, patrz tam!, . . .

— Dość! dość podkanclerzy! Szanujcie brata mego, mnie króla szanujcie!

— Królu! nas w sobie uszanuj! — Oni moim błagają językiem, oni memi łzami płaczą, oni swoją pierś modlą! — Dwie wielkie bramy roztoczone przed tobą! Jedna z północy wabi na północ, głaszczę i straszy, wyciąga ramiona niby siostra do kraju, niby kochanka do ciebie. Ni siostra, ni kochanka z niej; złota i pereł ma huk; my się nie kochamy w złocie, my się nie stroimy w cudze! Niech ścisła śniegi swoje, niech kocha stepy swoje, my jej całunki znamy! — Nasz Zygmunt Stary całował ją już, aż stracił dwie korony z głowy! — A teraz Miłościwy Panie, my ci drugą otwieramy bramę, ona do właściwej naszej wiedzy, a twój cię nie inny wabi lud! Dać ci chce miłość miasto złota, miasto pereł piersi swe; w okół cię opasze, że do cię nikt nie przejrzy, że cię nikt nie sięgnie z łona mu prócz Boga!

— Prócz zguby! bo na co mnie namawiasz Hugonie? — Kraj tak słaby, brak mu wszystkiego: wojska, skarbu, zbroi, pomocy, pieniędzy, ludzi. . . .

— Nie! Jemu brak tylko Ciebie, najjaśniejszy Panie! — Kraj nasz jak piękna kobieta ale wstydliva, osłania swe wdzięki, zatula bijące łono i oczom nie daje mówić o mocy, jaka w niej gore! — I nie poznawszy, można o niej rzec, jak wy w tej chwili, najjaśniejszy Panie, że ona słaba, brak jej wszystkiego, skarbów, mocy, sposobów; ale niechajno przyjdzie miłości pora! — Moc jej tryśnie z piersi dziewiczych; wdzięki rozgorą, skarb znajdzie w dzieciach swoich, w ramieniu zakipi siła i wielkich, wielkich trzebawy podstępów, aby jej wydrzeć ulubienca! O! bądź nim, najjaśniejszy Panie! bądź nim od dzisiaj — na zawsze! albo

Tu nie dochodziły nas słowa — szmer jakby innej wplątanej mowy, zda się Mejera szeptanie, przerwało ten ostatni wyraz, co w kształt piorunu bił przez ścianę i tylko słyhać jak chrzęszczy kotara, bita mocną prawicą Hugona; a po głosie

Mejera, czy przy łożu, czy jakoś u samego łoża umarłego wyrwał się straszny grobowy krzyk.

— Ratuń się!

Zadrżeliśmy, szmer ustał, głos ustał, skrzywienie butów królewskich oznaczało przechodzenie się gwałtowne króla; stawał, znów chodził, w tem jedną razą dobitniejszym wyrazem jak dotąd, jakby w nim jaka odezwała się burza:

— Ha!... cóż mam robić — odezwał się z wami?...

Na ten wykrzyk Lully podniosła się z krzesła z iskrzącem okiem, z zaperzoną twarzą, z zaciśniętą dłonią posunęła ku Grabowskiej.

Tak czołga po trawie wiatr jesienny, nim się zerwie i rzuci na drzewo poobdzierać liście poźółkłe.

Dwie władze, któremi dotąd Lully przeważnie wychodziła z walki, spadły jedną razą odbite podstępnyń krokiem Grabowskiej, oręż miłośnicy i polityczki zdrzemał w jej dłoni francuskiej — i wykradziono jej monarchę w kochanku.

Kto wie czy w tej chwili zerwania się z krzesła pierwsza myśl jej nie była za samym kochankiem?

Bo giest jej i ból był więcej kobiecey, bo popatrzyła w Grabowskę okiem dwudziestoletniej dziewicy, co to szuka zmarszczków, rózu, bielidla na licach rywalki i potem śmiechem gorzkim wyzywa, mówiąc:

— A teraz patrz we mnie!

Ale u Grabowskiej całe zapomnienie, całą uwagę zajął krok stanowczy, krok polityczny: tryumf swój zapisywała nie na karcie serca, ale na karcie historyi i prostowała swą kibić wydatną, mocną, okazała, jak szermierz stojący w szranki, co na swą krępość rachuje.

Pierwszy raz zapaśniczki nie zrozumiały się w natarciu; i gdy młodość trzpiotowata wyzywała podżyłe Grabowskiej wdzięki, polityczna intrygantka znalazła szydzący śmiech, którym za swój róż i zmarszczki oddała.

Oslupiała Lully pewnością i spokojnością twarzy rywalki, zwątpiła o sobie i rozplakała jak dziecię.

Wtedy po małym naszym zgromadzeniu przebiegło uroczyście rozradowane Grabowskiej oko; schyliłiśmy głowę ku nie

jak domyślni dworacy, a jej skinienie zalotne i protekcyjne zdało się mówić :

— Teraz wiecie kto z nas dwóch panuje !

A w okół sali jakże się zmieniła gra twarzy obecnych ! Cześnik Dzieduszycki ścisnął mi rękę, jakbym mu jaką wyrządził posługę ; jasność uradowania wypełniła zwyczajne kątowe skłębienia jego oblicza, śniade policzki przeleciał brzask rumienny, oczyma spoczął na Grabowskiej.

Strzembosz z jednej nogi na drugą się sadził, i przytupywał i kręcił ; widać jak mu w tej chwili ciążył obowiązek szambelańskiej służby, bo jużby z dobrą nowinką obleciał pół Warszawy.

Nawet roztrzępane paziów grono przestało swoje utarczki na migi i rozgorzało twarzą, rzekłbyś, że te pączki poczuły dobrą ziemię pod sobą i czerwienieją przeczuciem przyszłego życia.

W tem nowy turkot powozu, prędki, gwałtowny, obrócił nasze oczy ku drzwiom sali, gdy przez nie posunęła Lully, jakby uciekająca.

Ciekawość kto przyjechał długo zatrzymaną była, albowiem po wyjściu Lully nikt nie wchodził, ani też turkot nowy nie zapowiadał iżby ona odjechała.

Młodość, co nie tak prędko może znieść niepewność podawała paziowi odemknąć drzwi do przedpokoju, by od niechęcenia zajrzeć, gdy w tem drzwi gabinetu prymasa skrzyknęły i ksiądz Mejer zaprosił nas i panią Grabowską do króla.

Wracam z innymi, ja do mego płótna z zimną malarską obojętnością, odwilżam pędzle i farby naciskam.

Król we framudze okna, pobladły, zmięty, nachylił głowę ku ramieniu, jakby się zmęczył, że ją długo wprost wielkim planom i myślom Hugona nadstawi, a Grabowska jak witająca z podróży, jak gwiazdka obiecująca pogodę, rozjaśnione swe lica mili ku królowi ; Stanisław zda się tę nową radość we wszystkich twarzach wchodzących i widział i zdał się to nie rad widzieć.

Słabość charakteru ma u siebie to niechętnie wyjawienie, że się dała na coś stanowczego namówić, jakby niepewna czy

dobrze zrobiła, jakby trwożliwa by więcej świadków nie miała przeciw sobie, gdy nie dotrzyma przyrzeczeń.

Jednak konieczność choć pół zwierzenia się była królowi potrzebna, więc posunął ku pani Grabowskiej i łzawym głosem jednak dość wyraźnie, aby był od wszystkich słyszany powiedział:

— Patrzaj pani! Ręka braterska to mi ostatnie dała pożegnanie; z myślą o mnie umarł i z wielką przestrogą.

— Przestroga? — zagadnęła ciekawie Grabowska, chwycając ręką biorąc podane jej pismo.

— To minęło; niebezpieczeństwa nie ma, gdy jest o niem wiadomość.

— Raczej gdy jest pewność, że niebezpieczeństwo podzielanem będzie przez wszystkich, — odparł Hugo dobitnie.

Stronnictwo zginie gdy będzie całość przeciw swej głowie nie podniesie miecza.

„Strzeż się i ratuj!“ czytała niby z cicha Grabowska.

Król stał i słuchał, jakby nowemi dla niego te słowa, choć je nie dziesięć razy na tej kartce przerzucił i powtórzył w zamyśleniu: „Strzeż się i ratuj!“ a potem wolnym i słodszym głosem doczytywał z pamięci: „W tak wielkiej burzy lepiejby ci było, mój Stasiu, moją śmiercią zakończyć!“

— Prawda! O! prawda! — zagadał ciszej i gdy ku łożu zatoczył okiem na brata: On już taki spokojny, panowie!

A Hugo ponuro szepnął na stronie królewskiej: — O! bo się umierać odważył!

Jeszcze niedościgła Grabowska wrócić królowi przegładane pismo, Stanisław jeszcze w braterskich łzach tonął, gdy chód prędko i szelest kobiecego stroju dał się słyszeć tuż przy drzwiach alkowy; poczem zwinnym krokiem wbiegł do komnaty hetman polny, prowadząc Lully pod rękę; ale Lully odmienna, nie owa upokorzona rywalka, nie owe kwitnące dziecię, ale całe dziecko, które teraz tak łatwo uśmiech i radość odzyskało, jak przed chwilą nagle zapłakało oczęta.

Po kole naszym przeszła ciekawość, więcej obawa; stronictwa wystąpiły widomie, i jakby dały sobie spotkanie przy łożu śmierci,

Lully, Grabowska, dwie lampy; hetman i Hugo dwie dusze, dwa ognie tych lamp.

— Znałeś hetmana, mój sędzio? —

Tę figurkę suchą a krótką, tę chorowitą ruchliwość w małym ciele, te zielone oczy z żółtymi kropkami po sobie, co przypominały bajkę o stu-ocznym Argusie, te podrzucania się ramionami w chodzie, i podczas mowy pehli ruch do skoku, i ów wyżyłowany skład twarzy człowieka, co się nażył w rozpuście? —

Wszystko to razem weszło z nim do alkowy ubrane zwyczajnym śmiechem, co potem w złej dla niego chwili wszedł u ludu w przysłowie,

Ubiór jego kusy i obwisły, mimo całej staranności krawca aby to zwiędłe wypchać stworzenie, dziwnie latał na ruchliwej postaci hetmana.

Frak z aksamitu poważnym krojem, szerokimi połami falował się po cienkich nóżkach w jedwabne pończochy strojnych; skakał po nich jak brona po roli; a mała szpadka u boku z porcelanową rękojeścią, za każdym zgięciem hetmana czepiała się jego kamizoli niemieckim krojem wyciętej, w środku z ogromnemi klapami, nieco na spodnie opuszczonemi,

Halaśnemi ukłonami zbudził uwagę królewską, obecnym nie skłonił, ku pani Grabowskiej pochylił się jakby do ukłonu i gdy ta zwyczajem dworskim niskim dygnięciem oddawała mu zaczęty ukłon, on nagle sprostował się, niby się schylił tylko rękojeść wiszącej szpady poprawić, obrócił się tyłem ku niej i plecami między nią a królem stanął.

Mimo całej powagi smutku, ten złośliwy żart tak był śmiesznym, że Lully nastąpiła sobie nóżką na nóżkę, aby bolem stłumić huczny wybuch swej wesołości.

Grabowska mało ze śmiechu nie pękła.

Cheąc pomścić nieuważę hetmana i okazać jak wiele znaczy Grabowska w tej chwili:

— Miłościwy Panie! rzekła, nie ruszając kroku — ino brat wasz mógł wam tak śmiałą podawać radę gdy do niej użył aże głosu śmierci, aby ją uroczystą uczynić; kto ino was wielbi i kocha nie dla siebie, żywym językiem będzie w jej myśli gadał

do was, w jej myśli modlił za wami i trzymał się jej jak przykazania.

To mówiąc wyciągnęła rękę z kartą.

Król postąpił ku niej dla odebrania, a hetman co się na drodze między nią a królem znajdował, musiał się cofnąć opodal i tryumfującą swą postawę opuścić.

Ciche szeptanie Grabowskiej z królem trwało jeszcze chwil kilka.

Dość wyraźnie zdawała się namawiać Stanisława, by nie każdemu chciał ten tajemny list pokazywać; skończyła podniesionym wyrazem:

—Bo przy waszym boku nie jeden zły człowiek zalega znakomite miejsce! —

Hetman połknął pigułkę skrzywionym marszem bardziej, gdy król pismo z rąk Grabowskiej schował w zanadrze do kamizelki.

Hugo prędki i popędliwy w działaniu, jak każdy co się stale na jedną rzecz odważy i chce ją gwałtownie wykonać wiedząc, że w samej gwałtowności leży nieraz siła wypadku, sunął przed hetmana i powierniczym tonem jął nalegać na króla, iżby tajemnicy zaniechał.

— To, co jest pismem brata do brata, Najjaśniejszy Panie, niechaj Wasza miłość w bratniem zatrzyma schowaniu, w sercu; ale głos prymasa do króla, ale okoliczność ogólna, ale skutek namysłu Waszej królewskiej Mości, niech będą jasne jak słońce! Ja podkanclerzy nie zaprę mego głosu i porady, jaką w tak ważnej railem dobie i tem ją jaśniej wypowiem, im prędzej teraz mogę znaleźć w mem zdaniu przeciwnika. —

To mówiąc zmierzył surowem okiem hetmana.

— Czy to gabinet narad królewskich? — pytał z ironią hetman.

— Jeżeli Waszności chodzi o gabinety, możemy kazać przeforsztować ten pokój na dwoję, gdy za wielki, aby głos wasz słaby mógł być w nim słyszany — odparł z dumą Hugo. — A może w tej chwili nie jesteście do rady przygotowani, hetmanie? Może nie macie instrukcyi w kieszeni? — Do Igiel-

stroma nie dalekò i otwarta droga, panie hetmanie. — To idź Waszmość, ale otwarcie! Niech król wie, niech i my wiemy, że tu nie hetman radzić, ale wysoka monarchini organem naszym gadać zamysła. Krótka to rada, może długie działanie; ale rada krótka być pocziwym, albo nim nie być.

— Co?

— Tak, panie hetmanie, urzędnik mówi do urzędnika, podkanclerzy do hetmana! — Burza grozi, lub che osobnym stanem zostać, zdzielić się od króla i od nas; zostanie władzą jeżeli władza opuści go i nie poda mu swych ramion!...

— Co! lud — burza? Czy nie ten lud czy nie ta burza grozi królowi panu i nam mości podkanclerzy, którą ja mam w rękę? odparł hetman wyciągając z kieszeni zwitek. Wielki lud: Wielka burza! którą hetman pomieści w kieszeni, której się podkanclerzy uląkł, a która już swe głupstwo tłumaczy teraz przed wysokim dowódcą wojsk sprzymierzonych!

Tu wyciągnął listę krótką imion nieznanymi, obojętnymi szlacheckimi i miejskimi, a za każdym odczytem nazwy dodawał szyderycznym tonem: „To piekarz, to rzeźnik, to dawny słuźalec z wojska, to szewc!” — i owoż burza, owoż strachy, któremi waszą miłość kłopotają i nawet u łoża śmierci braterskiej śmiały zdybywać z podstrojoną miną?

— Właśnie że przy łożu brata nabyłem pewności! — odparł król.

— Czego? — przerwał prędko hetman z zwyczajnym swym gościem, podrzuciwszy ramiona i wspinając się na palce. — Czego? Najjaśniejszy panie!

— Tego, odrzekł mu spokojnie Hugo, o czem sam hetman faktycznie donosisz — wzburzenia ludu! — Wasz zwitek nie jest prostym spisem imion dla monarchy, nie jest nic nieznaczącym wypadkiem dla polityka.

Wasz zwitek to kilkanaście głów, na które kat czeka, wasz zwitek to głos roszczeń wewnętrznych, które z piekarzów, rzeźników i szewców mówią z więzkiem jednym, wolą i chęcią jedną, politykowi czasowemu nietajną!

— Zapewne, zagadł hetman szczypiąc, że takiemu poli-

tykowi jak dostojny podkanclerzy, może ten związek i nietajnym i po myśli — raczej na myśli, chciałem powiedzieć.

— Mości hetmanie! na myśli i po myśli u mnie dobro kraju! — Nie wiem jak komu, ale mam w to, że przyboczni rajcy królewscy więcej mają na myśli siebie, jak króla; swą własność, jak własność ojczyzny; że u nich urząd i znaki urzędu, liberyą, którąby chcieli na coraz złocistszą zamieniać! — Ja kapłan, u mnie Chrystus łamiący swój chleb z rzeszą, mistrzem; ja podkanclerzy, u mnie dadzą pieczęci i dobrodziejstwa, król — ja człowiek, u mnie ludzie braćmi: Chrystusa czyny przykładem mi, kanclerza powinność świętością, a głos bratni ucisku lub bólu przestrogą! — Rybacy, ci to chodzili z ewangelią, a przecież jej się teraz i hetman nie wstydzi!

— Być może — a być może że to, co mi się niezem wyda wało, — przerwał chrypliwie Hetman, — z większą wiedzą kanclerza większych nabrało rozmiarów.

Prosim o ich udzielenie: Gdzie? Jaki związek? Kto w nim? Kto burzą władą? Projekta, widoki? —

Wam to pewnie nie tajno, kiedy tak straszno rozwarliście postrach, prosimy, prosimy!

Lista może niezupełna? może to nogi związku, co pelza na zniszczenie króla, na rozerwanie związków kraju naszego z dobrodziejnym nam sprzymierzeńcem? —

Wy o głowie wiecie i o ramionach tego nowego Dawida? Prosimy, prosimy! — i zgiął się nad zwitkiem, jakby do pisania nowych imion i popatrzył szyderczo na twarz Hugona.

Czekał podrzucał ramiona; ten zaś mileżał i szerokie ręce skrzyżował na piersi.

— Najjaśniejszy Panie! — Podkanclerzy powinien wydać! szczebiotał Hetman. — Powinien! Choćby pierwsze imię buntownika było jego własne!

Król z powagą podniósł źrenice na Hetmana, lekkim uśmiechem przyjął jego zapalone wyrazy i spuścił głowę.

— Ha rzekł hetman urażliwie, moje już zwierzenie nastąpiło, mnie niegodnemu tajemnic Izidy, nie pozostało może jak

dosłuchiwać ostatnich belkotań popularnego sfinksa! Ale Wasza Miłość, królu, nie pójdiesz w przekór dobru publicznemu: z waszych ust dostojnych hetman dalszych rozkazów posłucha i tajemnic się dowie!

Dość mi na ich imionach królu! Resztę mi powinnoście wskaże co z nimi zrobić.

— Jakto odezwał się król oburzony, wy we mnie ciągle stolnika widzicie? — O! zmiarkujcie się, Mości panie, bo kto hetmana nad wojskiem przełożył, może hetmana wojsku odebrać!

Na te słowa zadrżała Lully; jej jedyną podstawę zemsty zagrożono; gałęź, której uczepiła się upadająca faworyta była trzcina tylko, gdy ona w nią wierzyła jak w drzewo zbawienia.

Ale właśnie tam, gdzie byłby się dąb skruszył, trzcina wytrzymała!

Na silny podmuch królewskiego oburzenia hetman umiał się ugiąć, niby żalować, przeprosić, niby w krótkiej niziutkiej mowie rozbroić gniew królewski, przekłamując prędkość i niebaczność swoją na żarliwość o dobro króla i kraju; a wiedząc z jak słabą powolnością król odpuszczał winy, z jaką ciężkością przyszłoby mu dopełnić obietnicy groźby, mgnieniem ócz przeszedł z mowy tłumaczenia się w ton zaczepki:

— I nie w inakszym celu Najjaśniejszy Panie! — kończył poczęte przeprosiny — przymówiłem kanclerzowi i ciągle będę przymawiał, aże dowód dowodowi odpowie?

Bo i czegoż chcą i panowie ze swojemi projekty? —

Tu zwrócił się dumnie do Hugona. —

— Jakichciś kroków gwałtownych, zrywania uchwał sejmowych, traktatów tak świętych i święcie przyjętych? Niech się pytają w nasze żywe oczy Was, króla i pana, kędyście sami pierwsze najczystsze pokładali zaufanie? — Czy moc, co wam nadała koronę.

— Nikt nie dał! — odezwie Hugo.

— Nie nadała, ale dopomogła, chcą mówić; czyż ta sama monarchini ręka miałażby swoją zwalić budowę?

Czyż wreszcie proszonych chciałyby za bramy wyrzucać, aby sobie łącniej zbudować bankiet samowładztwa? O! wiem!

Oni nie odpowiadają waszej rachubie, bo tron mocniej stoi osłonięty ich piersią, a jeżeli to bez kosztów ziemi i ludzi obejść się nie może, toć dobrym patriotom imać ten powód do zarzewia buntu, którego pierwsza iskra musi paść na tron królewski?

Bankietu! bankietu im się chce, przy którymby spijali rozstrojone zdrowia, ażeby w końcu pijani na jeden okrzyk burzliwy się zgodzili!

Sobótek, sobótek góralskich! przy których spaliwszy podpory wielkości narodu, osmoliwszy starożytne domy i imiona; zrównawszy ogniem wysokości, co im w skokach bachanckim taranem stoją, mogliby się równieńczyym tańcem nahasać!

I gdy my z zagranic wodę na ten ogień niesiem...

— Złoto mów, złoto panie hetmanie! a coś prawdy w tej wielkiej mowie usłyszym. Bankiet? Do bankietu trza zbytów szczęścia, a oni go dawno już od Zygmunów nie znają! — Do Sobótek trza ognia; wygorzał w starożytnych zgliszczach domów przedniejszych! Cóż chcecie aby w ubogich lepiankach się trzymał? O! gdyby tam był, jużby się dawno ofiarne paliły dymy!

— Piękna żałoba, panie podkanclerzy! i w porę; głęboki wasz umysł przecież raz wydał co myśli!

— A my dotąd polapać nie możemy co hetman zamyśla? Bo na Boga! jeżeli tak drżysz za tem, aby prędzej czyimś sługą zostać, na co ten ogień hetmanie! Dość miłczkiem spełniać rozkazy....

— Dość tego! — przerwał król.

Hetman przygryzł wargę, skupił się jak pająk Tarantula, gdy nagabany chce parsknąć jadem w nos przeciwnika; szarzał oczyma to po Hugonie, to po uśmiechającej Grabowskiej; ugotował parskającą mowę i byłby odciał do żywego, gdy w tem jeden rzut oka na króla dał mu poznać, że cięciwa gniewu Stanisława tak była mocno sprężona, iż jeszcze włos jego uniesień a cały wpływ dotychczasny przepadł na wieki.

I z pająka on teraz ślimak!

Pieni się jeszcze, ale w mowie nie znacznie czy to piana

złości, czy ślina czolgającego dwurożka; słodko drży głos jego, pomówisz; on niewinnie urażony głaszeze i płacze słowami.

— O! bodajby w słowach waszych, mości podkanclerzy, tyle było ostrości, ilebym na nią zasłużył, gdybym aże musiał czytać ukazy do kochania mego kraju i króla Pana! Bodajby szczerza prosta wasza dusza miała choć jeden ból tak gwałtowny, jaki mnie obsiada, gdy z politycznych ślizgań się moich ktoś tak ohydne rzuca na mój człowieczy charakter potwarze! I oni gardzą, że ktoś pe lodzie nierównym postępuje krokiem! I oni skarżą, że ktoś śród burzy na przewrot suknie oblecze! I oni myślą o sobie że politycy, dla tego że sami mając szorstkie nogi łatwo się z ludem, chcę mówić z lodem oczepią; a a nie mając pięknej sukni na sobie, sukni, coby się w kronikach Czartoryski, Potocki etc. pisała, nie dbają że je błoto zbryzga! — I oni patryoci! bo w czasie maszkarady chodzą bez masek! — Na co maski, gdy ich twarze tak obojętne dziejom, narodowi, że ich i bez maski nikt nie zna. — Muchy to! Muchy, co pstrzą wszędzie. — Ale miłościwy królu, muchy i lwowi dokuczają.

Zdjął łzę z oka, westchnął krótko jakby się wstydził, że go mogło coś zabołec i kończył:

— Najjaśniejszy Panie! Na dzień maszkary dość było słów; w dzień czynów bardziej rozświta prawdziwe oblicze.

Sądź nas, najlaskawszy Panie! Niech wszyscy sądzą! I waszych przenikliwych oczu niewieścich — słodziutkim cedził głosem — tych pięknych siwych oczów hetman pytać się o sąd nie wzbrowni, ażali nie był kiedy Polakiem?

Czy w wielkim dworaków tłumie zapomniał się w urzędzie i w Radzie?

To mówiąc nagle ku pani Grabowskiej się zwrócił.

Zdumiona, zmieszana tak prędkim lisim wybiegiem mówiącego, Grabowska nie znalazła słów w piersi, oddechu nawet, tem bardziej gdy wszyscy popatrzyli na nią, gdyż każdego jak ją zdumiał ten wybieg mowcy, gdy sam król nawet zwiędziony szczerem niby zaufaniem w sobie hetmana, co do swej przeciwniczki widocznej tak śmiało podniósł pytanie, wziął

w końcu mileżenie Grabowskiej za akt przekonania i zachwiał się.

Hetman to pojął i zręczny szermierz krok po kroku bił w zwałony umysł królewski.

Już teraz i list prymasa był w jego ręku i z lekka szyderstwem zacinał krótką przestrogę bratnią, i niby żałował nieboszczyka; ale owem słówkiem, co to z daleka mówiło do króla o otumanieniu, o biednej głowie spracowanej bolem, co nie tak czysto pojmować mogła, że wreszcie natoczył Stanisława w swą stronę, zwichnął, zarozumował, zakrzyczał, aże w końcu spracowany długimi namysły, zawołał:

— Róbcie, co chcecie! Ja nie wiem Hugonie! Jam nie nie slyszal, hetmanie! — Umywam ręce, ale Bóg widzi niewinne. Róbcie, co chcecie, ja nie nie wiem i wiedzieć nie chcę! ³⁾

Sklonił się prędko, na łóże brata szybko rzucił wejrzenie i wyszedł.

Wychodzili wszyscy. — Lully tuż za królem, hetman uczeplił się do boku jego i w owym tryumfalnym pochodzie ostatnich dobywał sił wymowy wyjaśniających jego widzenie rzeczy; za nimi Grabowska pomieszana, tłoczona się wraz z Lully, ni tryumfująca, ni tracąca nadzieję, czekająca tylko chwili, aby się przymknąć do ucha króla; nie tak łączna w porzuceniu walki, nie tak upadająca za pierwszym ciosem. Za nimi Hugo ruszył sążnistym swym krokiem; czepił go ksiądz Mejer i obaj patrząc się na ten ogon wlekaącego się orszaku króla uśmiechnęli szyderczo.

— Toż koniec? I takież koniec mości podkanclerzy? — zagadnął ksiądz Mejer z cicha.

— Czekaj palacie, odparł Hugo, to wywołanie — to wyzwanie dopiero! Dworacy, my dworackie wywołaliśmy siły; walką partyi narodu przenieśliśmy w walkę pokojową dwóch matron. W takich czasach i pod takim królem, mój kapłanie, życie publiczne obradowe, hałaśliwe przodków życie odmieniło się na prywatne pokątne gabinetu intrygi! Przed Augustem Zygmuntem na piotrzkowskim sejmie, gdy posłowie nasi poklekli w oba kolana z prośbą by rzucił dla nich swą Basię,

nie za prostą oni odmianą połowicy króla klęczeli; oni prosili by życia prywatnego nie przenosił nad publiczne życie, by komnatnego głosu mniej chciał słuchać jak głosu w narodzie. Nie przemogli, nie uprosili! Szala kobiecego wpływu przebiegała się pomimo całego wosatego krzyku Jana z Tęczyna. I jaby teraz, jak on wówczas, wołał: Lepiej Solimana widzieć na tronie, jak dwie kobiety!⁴⁾ — Bo Soliman musiałby albo brodę zgolić i żegnać się krzyżem, albo zżegnać się z głową. A teraz, czekajmy końca! — Tym końcem będzie jaki wieczór lub ranek, będzie komnatna walka dwóch matron; a szczęście narodu już ino od szczęścia faworyt zależy!

— To jednak dziwne turnieje! odparł Mejer niespokojnie i ktoby ich czekał? — My dopełnili swego; godzina mowy przeszła, godzina czynów bije. Jednego wieść nasza zabiła: tu wskazał na prymasa; a drugi ją odebrał i strawił!

— Strawił myślisz? — rzekł podkanclerzy. — Ja myślę że jego strawi.

— Bądź co bądź bracie — dodał Mejer — godzina czynów bije — a ja już więcej wstrzymywać nie myślę.

Tak szeptaając wychodzili z alkowy zasepieni obaj. Sam jeden zostałem kończyć ten obraz zaczęty; ale myśl moja pobiegła za innym zaczęty obrazem, którego tłem gra wielka: dworaków, kolorytem dwie miłości, malarzem naród.

Długi przeciąg czasu minął, mój sędzio, między tą sceną wyzwania jak ją nazwał Hugo, a istotną walką, której także dzięki memu portretowi świadkiem byłem.

Groźne wypadki nastąpiły po owym świącie objawionych partyji; tajemnica poczęła chodzić z odstkniętą twarzą, a na-przód zdjęli maskę panowie za hetmana przykładem. Po składzie rzeczy miarkowałem, że w Zamku tryumfuje Luly; król przybrał rolę niedziałającego przez się człowieka. Czy to było skutkiem miękkości jego charakteru, czy wypadkiem głębokiego wyrachowania, aby w każdym razie mógł podać niezem niezwiązaną rękę przeważającej partyi, trudno odgadnąć malarzowi. Historykom Stanisława to zostawimy. Grabowska zamknęła się w lekkim swym pałacyku Łazienek, lubo zwykle o tej porze zamieszkała w mieście; w Zamku zaś nie widziano

jej od owej pamiętnej sceny u prymasa. Niebytność swoją kryła przed ogólnem uważaniem pokrywą ciężkiej żałoby; co dość zdało się podobnem, ile że każdemu jej stosunki z księżciem tajemnymi nie były. Wreszcie przyszło do tego, na czem Grabowska zakładała wszystko, że Stanisław zatęsknił po niej.

Rana świeżo zadana sercu królewskiemu śmiercią brata, nie miała troskliwej piastunki w roztrzepanej Luly; owszem Francuzka odganiała od niego to wspomnienie, tem więcej że myśl o bracie zaraz naiwnie natrącała Stanisławowi ów bilet, spotkanie, namowy i cały dramat przebytej walki.

Już nieraz król, co rzadko zwykł był czynić, wspomniął o chętnem porzuceniu zamku, o świtającej wiosnie; często przejeżdżał poszóstną karetą Łazienki, nie wstępując wprawdzie ni do swego, ni do Grabowskiej pałacyku; bo w każdej przejażdżce usłużna Luly towarzyszyła królowi i umiała tak nakierować wolą jego, że z tego zachecenia, co tyle mogło dawać nadziei jej rywalce, urabiała dla niej coraz większe dokuczenie.

Tak każdy objazd Łazienek stawał się hasłem u dworu do ogólnej przejażdżki i cały ogon dworskich pojazdów włókł się za Stanisławem i łoskotliwym swym biegiem po pod oknami biednej samotnej łazienkowskiej pustelniczy przelatywał z wrzaskiem i wesolnością, jakby urągając zapomnianej. Nieraz i ja wplątany zaproszeniem którego z szambelanów, oblatywałem to ciche schronienie dworaczki i nieraz zdało mi się widzieć jak podczas trzasku biczów i kół turkotu perskie firanki w oknach zapuszczone zadrgały ciekawą szarpniętą ręką i w ich małej szparze muślinów siwe oczy zakłętej mieszkanki świeciły.

Środa to była. Wieczorem odbieram wezwanie kobiecą ręką kreślone, iżbym z obrazem prymasa, który właśnie co wykończył jutro rano w pałacu Łazienek się stawił, że takie jest żądanie proszącej i z wolą króla zgodne; podpis: Grabowska.

Więc mój obraz, jak ów misterny węzeł gordyjski, zdał się rozwijać nici rozwlekle intrygowego kłębka. Był to ostatni tydzień przed Wielkanocą, ostatni czwartek między czwartą

godziną rano wpadł do mnie tenże sam posłaniec, co mi wczoraj kartkę wręczył i zaklinał bym się zbierał do Łazienek, gdyż król zbudzony i w rychle dla pilnej sprawy uda się tam do pałacu, gdzie go już pani Grabowska czeka.

Jadąc uważałem ruch dość znaczny na Krakowskiem przedmieściu i Świętokrzyskiej ulicy mimo porannej doby.

— Bośmy już właśnie zaczynali! — przerwał Bacciarlemu mój dziadek; i w niebieskich jego oczach coś młodzieńczego, wesołego a razem ognistego błysnęło.

Przybywam do Łazienek i niezabawem turkot królewskiej karety zatrząsł szybami pałacu. W zwierciadlanej sali w dogodnym miejscu ustawiłem portret prymasa.

Król wchodzi, za nim Grabowska z zapłakanemi oczyma, w czarnej grodeturowej robie z krótkimi rękawy po łokcie, a od nich aż do ramienia czarne kryzy koronek kładły się jedna na drugi. Ogon szeleszczący długi dworskiej etykiety czynił jej kroki poważnemi; zdała się w tej chwili ową smutną kapłanką cieni, którą przy urnach grobowych rzeźbiarz wpół zgiętą zwykle porzuca, by płacz wywołać.

Głos Grabowskiej przybrał owo brzmienie poważne długo w samotności zostającej osoby, w którym słowo nienawykłe często w usta przychodzić, w chwili bólu lub żalu nabierają tętna organu, co huczy drapiącemi usty.

— Królu mój! Oto ostatni raz jeszcze twój Cię brat wita i ostrzega! — I kiedyż — kiedyż jeśli nie dziś miał ci powiedzieć ostatnie słowa przestrogi?

Wówczas nie chciałeś ich słuchać i gdy się odzywały z malej piersi twej przyjaciółki i sługi Anny! — Nawet piers Hugona była za niską, aby strach w królewskich twych obudzić myślach!

To więc teraz posłuchaj innego głosu!...

Stała — rękę podniosła ku Warszawie: Głos dzwonów jednego po drugim, co się zrywały jak ptaki; potem głos nieustający pomieszanych wszystkich kościelnych dzwonów, głos gwałtu, dolatywał do nas.

— Ogień? — zawołał król poblady.

— To krew! — odrzekła ciszej Grabowska.

Królu! to nasza Wielkanoc!

— Dzwony?

— To głos miasta który się budzi, może aby nie zasnąć więcej!

— Grabowska! co to jest? wołał przestraszony Stanisław i załamał ręce nad głową, i tak modlące, dziecinne rzucił jej wejrzenie, że znać jak mu serce zubożało w męskości, jak tam mało samoistnego ducha!

Grabowska chwytając za rękę króla, ciągnie ku obrazowi prymasa i głosem mocnym, co już do rozkazu się bierze:

— On przepowiedział, zawoła, on i teraz przyszedł dodać ci odwagi, mój królu! — Działać i działać!

— Ale jak? zagabął król wzruszony!

W tem wpada oficer od ułanów królewskich.

Kurz na nim i wystrzelony pistolet, co na pasku się dygotał, jasno mówiły o jakimś poruszeniu miasta.

Od czapki skłonił czarną rękawicą, podkręcił wąs, sprostał się i zameldował:

— Pułkownik Hajman z regimentu Działyńskiego idzie na pomoc swoim.

Król stał, skrzyżował piękne swe ręce na piersi, popatrzył na oficera i poniósł oczy ku niebu.

— Pospieszcie z Bogiem! odpowiedziała Grabowska za króla.

Król głową skłonił, oficer brzęknął ostrogą, cwał konia przebrzmiał w dziedzińcu, znów cicho; ale głos dzwonów jęczy ciągle nad Warszawą.

— Straszna to chwila była, mój sędzio — i dziwna!

Tam zdala krzyki, czasem jaki strzał doleci; to znów ruchy jak wozów, jak wolań, jak pogoni.

A nas troje: król, Grabowska i ja, samotni prawie w tym letnim pałacu, co jak Wenecya z wody i w wodzie wzrósł; wpół zawieszeni w ruchach, w przestkach, bez straży, bez owego tłumu dworaków, nawet bez żadnego dworaka; znikąd wieści, znikąd pewności!

Szybą popatrzym, to z jednej strony biały kamienny So-

bieski skacze spokojnym ruchem po Turku na kamiennym moście, to z drugiej wysepkę widać, i na niej teatrzyk ze swemi wół rozrzuconemi drzewy, taki spokojny, zaciszony, jak czekający dziś aktorów; nigdzie żyjącej istoty, ruchu nigdzie, nigdzie pewności zachowania, nawet ucieczki! O! tak! bo nie wiem jako komu, ale mnie w tej chwili zająca chciałoby się wyścignąć!

W tem między drzewami alei wiądującej od miasta jakiś punkt czarny zwrócił naszą uwagę.

Nie szedł on prosto ku nam, ale od drzewa ku drzewu skacze, to się ogląda, to pędem leci; przycupnie, znów ślizga i coraz bliżej pałacu,

Już teraz poznać można i salopkę francuską czarną, i ów kapturek od niej zarzucony na głowę, i widać małą nóżkę...

— Ha, ha, ha! śmieje Grabowska.

Idąca przeszła mostek, co w dziedziniec wiedzie.

Grabowska jeszcze głośniej śmiechem zanosi, podbiega w narożne okno, otwiera je, rozpiera się oburącz w boki, i śmieje co może z całego gardła: Ha, ha, ha!

Wędrownica nasza stanęła chwilę, strzęsła się jak przestraszone ptaszę i czem prędzej wlatła do sali pałacu.

Była to Lully, biedna uciekająca Lully!

Burza miasta zastała ją pewnie na łonie jakiegoś wabnego wieczora; bo atlasowy biały trzewiczek z korkami resztki swojej świetności na małych nóżkach domawia. Zgrabna kamizelka w staniku szamerowana, *juste-au-corps* zwana ścisła jej zadyszana pierś: u gorsu jeszcze jakiś listek robionego kwiatu, co z Francyi pocztą przyleciał, zatrzymała szpilka, gdy sam kwiat gdzieś w tej wędrowce rozkołatany odleciał.

Zastraszone oczęta, włosy i głowa płowe w pół kapiszonem ściśnione, miały ów wabny nieład Pytonistki, kiedy z trójnoga się zrywa, przestraszona mocą nawiedzającego ją Boga.

Przybieżała ku nam, padła na pierwsze podane krzesło i małemi nóżkami tupocąc o marmurową posadzkę z zimna i ze złości, złożyła jak po modliwie ręce, i obróciwszy się do króla:

— Uciekajmy! Uciekajmy! woła.

— Dokąd? ironicznie pyta Grabowska.

— Wszędzie, byle nie tam, królu! Tam śmierć brudna, ohydna rzeźnicze ku mnie wyciągała dlonie! Tam dzwony gonią złowieszczym krzykiem! Jam uciekać musiała! Ja Lully piechotą, wasza dworska królu z karety wyrzucona, wyśmiana a jakieś pyzate wąsate twarze ważyły mi się grozić, wywlec! O! śmieć się pani! oni orężem grozili, oni przy mnie szukali króla! pijane ich ręce szukały w okoł mnie, złota pewno, to rozboje!

Rzuciłam im łańcuch wenecki, wasz łańcuch, drogi mój królu, podarowany mi w dniach szczęścia.

Oślepienie ich oczy nie poznały złota, odrzucili w błoto, w błoto zdeptali piękny mój łańcuch wenecki; oni nie łańcucha szukali, oni Was szukali.

Wynieśli mnie na swych błotnistych rękach i w głąb się karety zaryli z krzykiem:

— Gdzie król! Gdzie król!

Wówczas porzucona na środku ulicy, pobiegłam chyżo, uciekałam — uciekałam Bóg wie gdzie?

Tu do Łazienek chciałam się skryć, uciekać, byle uciec, byle dzwonów nie słyszeć, byle krwi nie widzieć. Bo tam i krew płynie, a wszyscy króla wołają!

To opowiadanie, przerywane łkaniem, szczególne na Stanisławie zrobiło wrażenie.

— Szukają mnie? Szukają? — wołał. — Dobrze! Bacciarelli każde nawrócić karecie.

— Królu! co chcesz czynić? — zawołały obie rywalki.

— Pojechać do nich w miasto; na cóż mnie darmo szukać mają? — Na cóż zwlekać? — Alboż tutaj nie znajdują?

— Uciekaj królu! — wołała Luly.

— Lepiej im ponieść głowę, jakby ją sami wziąć mieli.

— Kto? Oni? — przerwie Grabowska. Oni tej głowy upatrują jak słońca; nie żeby ją chmurzyć przestachem, ale jak słońca, by im świeciło pogodą.

Czarne Wam myśli, monarcho, zostawić dla biednej Luly, co zwałała błotem nowe swe atlasowe trzewiczki.

— I któż mi ręczy, że oni nie chcą mej zguby?

— Kto, miłościwy Panie? — podkanclerzy Hugo!

— Hugo? — wtórzył król z cicha i długo, jakby na tem imieniu chciał zakładać jakąś nadzieję.

A Luly zawodząc z płaczu :

— O ! wyście rozdmuchali ten ogień, Anno ! bo wam do miary każdy krok, chociażby o czyje życie chodziło.

— Wciąż burza, co na tej koronowanej głowie zawisła, was przestąpi, nie nadepce, boście za male na jej objęcia, boście za trwożliwe, by w czasie wybuchu pozostać.

Podpalić i uciec, spalić i śmiać się potem, ha ! na to was stać jeszcze !

Ale oburącz szamotać się z burzą, jak ja szamotała ; gadać ze śmiercią, widzieć twarze oprawców, leżeć w ich rękę i tylko słyszeć, i tylko czuć, i tylko boleć nad losem kochanka, o którego dopytywały się ich wszystkie głosy, o ! to nie dano Annie !

— Droga Lully ! tobie tak groźne każde głośniejsze stąpienie ! Tobie tak straszne każde dzwonu bicie !

Tyś się musiała zmęczyć, o ! Luly słysząc tyle uderzeń dzwonów tam na górze.

Biedne spłoszone dziecko, mój królu, jakby się co z rąk niańki wyrwało, jakby je co zestraszycyło z rąk niańki !

Oni ci nie dali dokończyć wieczora i stumanili wąsatemi twarzami oczęta przywykłe w okolo siebie widzieć samą dorosłą młodzież.

To mówiąc pochylila się nad nią i jakby matka potulając przestraszona córę, lekko ku piersiom swoim zwróciła jej jasną główkę.

Poznała żart Luly ; a odrzucając się z uścisku Grabowskiej.

— O moja pani — rzekła — jeżeli o strachy chodzi, nie umiem ich wywoływać, ale im stawić czoło jak Francuzka. U nas między życiem pałacu a ulicy większy jest przedział ak w waszem polskiem wychowaniu ; w francuskich dworach raz ino ręka gminu dotyka dworskich dam szyi — i to jedna ręka kata ! Wtedy wiemy co to są szorstkie słowa i ręka, ale po nich dworaczka już przestaje być dworaczką i kobietą.

U nas uśmiechy i słowa wzwycajone do echa salonów,

nie umieją zagadać do gminnej gawiedzi; nie umieją jak wy wyciągać im ręki do pocałunku, ręki jeszcze cieplej od pałacowych uścisków.

Piękne niebo Francyi my znamy albo przez szyby zamków naszych, albo w przejażdżkach uciechy, na których lud, jak wodna fala, błąka się w okół naszych pojazdów, aby nam przypatrzeć się z bliska i jak woda przepłynąć w oczach.

Czy on żyje, my nie pytamy o to, że żyje z nas to wiemy i każemy mu dla nas robić karety, stroje, umiatać drogi, ulice; sadzić ogrody i drzewa, aby było komu zapłacić, aby zarobił na siebie i pokrzyczał nam:

— Wiwat!

My raz ino kochamy; ale w on czas z objęć koronowanego kochanka wiemy tylko jedną drogę: do krat zakonnych, i jak de la Valière cierpieć umiemy.

My raz tylko chodzimy po piasku; ale wtedy idzie się krokiem Maryi Stuart do pnia czarnego, kędy błyszczy topór!

— Pieszczone dziecię salonu! Jakże twe drobne nóżki musiały wiele cierpieć od błota ulic warszawskich!

— Zwalały tyko obuwie, moje paryskie trzewiki, ucierpiałam strojem, nie sercem.

— Uciekałam, uciekałam, powiedz Lully! boć przecie my sami widzieli i samaś rzekła, żeś uciekała z przestרחu.

— A wy byście nie uciekali Anno?

— Grabowska nie miałyby czego uciekać.

— Ha, prawda! Możeby ją szewc własny, albo krawiec znajomy wybawił.

— Mnieby moje imię zbawiło.

— Które? Czy faworyty?

— Imię kasztelanowej krakowskiej! Imię własne rodowe i godność własna we własnym kraju!

— I popularność Hugona współniczki?

— Prędzej jak hetmanowej kochanki,

— Czyjej? — Kto? i zerwała się Lully.

— Twojej i ty, odpowiedziała Grabowska, całem okiem mierząc biedną rywalkę.

— I to w obec was Najjaśniejszy Panie! przy boku tego

kędym się myślała już wolną od przebytych złorzeczeń, gdy nowa potwarz pośmiechem pada okropnie na moje zranione serce! — Nikt nie pozali, nikt nie odeprze, nikt się nie ujmie!

— Za czem? Za waszą niewinnością może?

— Przynajmniej niechby mnie tego niewiasta nie zadawała!

— Albo cierpiąca, albo zastraszona, równie jak wy? Ha, ha, ha! biedna dziecino? Zawsze bo tryumfować byś chciała, a to nie co dzień niedziela! Nie co dzień można po pod oknami biednej samotnicy w Łazienkach przelatać poszóstnym pojazdem! Nie codzień można urągać smutkowi turkotem kół, biczków świstem! Nie co dzień Anna zamknięta w żalu! Nie co dzień można jeździć w karetach; czasem po błotnych ulicach Polski trza przelecieć w salonowej sukni, jak uciekająca mieszczanka!

O! boś ty Lully Markizy życie chciała przewlec na dworzec polski, jak stroik mody i uczuć jak ubioru nie racząc na gościnnej zmienić ziemi! — A u nas jeszcze nie cała Francya!

— U nas bardziej niewiasta przykuta do ziemi jak do nieba!

My przez kościół nie pokazujemy drogi kochankom do komnaty naszej; *) ale my pierwaj o kościołach jak o kochanku myślimy. A jeżeli co ukochamy, to nie waszem salonem zajęciem usadowiamy to przy sobie, aby nam się uśmiechało, podawało ramiona, bawiło!

My o naszym miłośniku mateczynem turbujemy się sercem, w miłość, jak kwiat pogładamy; ale nam na uwadze i ląka, na której ten kwiat wschodzi,

Łące tej ojczyźnie naszego kwiatu życzymy tak dobrze i wiernie, że na niej burzę czy pogodę zgadniemy, przeczujemy, zaklniem; bo chmura, co nad nią wisi, ma grad lub grom dla kwiatu naszego.

Dlatego my polskie niewiasty częściej depcemy piasek ziemi naszej; znamy ją nie okiem pałaców, trącamy ją nie tylko kołami karoc naszych, ale piersią znamy i gdy się ona zapieni, zaburzy, my nie uiekamy jak dziecko w atłasowych białych trzewikach, gnani grubym głosem motłochu; my silniejsze od was! W poskok myśli i ręce zespolim z podnoszącym się ludem! i tam, gdzie wy głowę, my ledwo rękę podamy!

I przeleci burza nie tknąwszy nas ni mieczem kata, ni dąsem słów uszczypliwych.

A jeśli przemokniemy łzami, to w zaciszy, lekka ta kara kochanki oschnie przekonaniem, żeśmy jak Polki cierpiały.

— Ale jak Francuski kochać nie umiały! — O! pani moja! Miłość wasza to żarty przeciw naszej miłości; to wieśniak z pod Czerniakowa, chcący się bratać z naszego Boufflera pasterzami! —

Gdzież u was to zajęcie się wyłączone lubym przedmiotem, żeby się aż o świecie zapomniało?

— Gdzież to zajęcie lubego, ażby on o wszystkim zapomniał prócz nas, prócz tej alkowy, prócz tej sofy co więzi przy nas?

— W miłości wy nie myślicie o sobie i chwalcie się tem Anno?

— Biedna pochwała! Więc jakże chcecie aby kochać mieli, co wy nie kochacie? Aby było im to drugim co wam na myśli nie było?

— My kochając, kochamy siebie, szalejemy za sobą — godzina lustra, toalety są miłszą dla nas jak godzina schadzki z kochankiem; bo my przy lustrach toczymy z nieobecnym tyśiączne różnolice rozmowy, a na każdą dobieramy coraz nowych odpowiedzi, coraz nowych poruszeń i rzutów, w którychby same nasze ciało mówiło duszą i próbujemy jak sukni tych ruchów, wdzięcząc się sobie, aby ich potem skochać.

I Luly jakby przypomniała sobie owe lekye dawane przez miłość własną, odrzuciła kapiszon z głowy, uśmiechnęła się do lustra, co naprzeciw blyszczy, krótką salopkę ściąga na nogi, aby błoto pokryć i jak mistrz zasiada do gry umizgów.

Małe swe czoło wyprostowała ze zmarszczków, płowe włosy zgładziła na czole, kilka kędziurów, co za daleko w tył zabiegły, nawolala w przód szyi i śmiejącym, chichocącym głosem tak bawi zdziwioną Annę:

— Oto wzór dla was! Oto godzina toalety!

— Posłuchaj pani przed odjazdem moim — bo ja tu nie myślę bawić, a dobrze że więcej jedno doświadczenie ci przybędzie, więcej jedna namiętność podobania się ludziom.

Ty z ludźmi zostaniesz, tobie tak ludzie potrzebni i różni ludzie a mnie dość jeden. —

To mówiąc rzuciła szybkie, jasne na króla wejrzenie i kończy dalej swoje umizgi przed zwierciadłem.

Zbladłą twarz małą naciera rączką, wnet rumieniec tryśnął; ona do niego wiśniowe swoje w całus urabia usta i rzucając go w powietrze: — „Tak go — mówi — całować będę, gdy mi o miłości zaczniesz prawić; perłowe ząbki z lekka przysłonię wargami, polechcę twarz jego całusem, ale z lekka: ot tak w powietrzu tylko ledwo dotknę, potem odrzucę głowę niezna- cznie żalując niby.

Ten rzut tak dobry jakby wahanie, jakby pół gniewu, żem tak długo czekała.

— On spojrzy — to ja zmrużam oczy by do łzy; podniosę piersią, by do westchnienia i dam mu chwilę wypytywania bojaźni i nawrócę mu myśl ku smutnym obrazom rozłą- czenia, cierpienia.

— O! bom cierpiała!

Rywalka moja miała go dopiero w swych uściskach — szczęśliwy i wesoły powrócił od niej!

Gdy go wesoło, szczęśliwie przyjmę, to o mnie jak o dalszym ciągu jej pieszczot myśleć będzie; pobawi, ale się nie zmieni; jej kochanka bym piastowała!..

Podnoszę oczy, zwolna ot tak; w szklannem oku drży mi łza, ale jeszcze nie pełna, nie z rozczulenia, jestto jakby dawna łza poczęta jego niewidzeniem, w oczekiwaniu na niego sama nie płacze, bo zwierciadło mówi że mi z tem nie dobrze. Więc lepiej gorzki uśmiech rzucić, ale tak luby żeby go nie rozdrażnił i nadał chęć całowania mi ust.

— Ha! patrzcie!

— Czy nie piękny ten uśmiech zaczęty, jakby się rozśmiać a zwolna prostujący się w twarzy niekończący się zaniechany? — I znów oczy spuszczone i znów łza ta sama przystygła, niespadnięta, nieotarta.

On się zaklina!

On się szamoce, on przysięga że mnie nie zapomina, nie zapomniał!

— Posunę ręką po czole, zatrzymam drobne me palce, powoli czoło na rękę, rękę na jego spieram ramieniu, w pół zgiętą kibicią niby mu się zwierzam a jednak lekko mu ciężę tylko.

To ciężar ciała, które zdaje się kłaść, ale drży by nie trafiło na twardy kamień, którym się boi zranić lub ukłuć!

— I tak w pół zgięta ja słucham jego głosu i bicia serca i ciepłe powietrze mych ust spragnionych.

— Patrzcie! — On się poi moim oddechem, on się tak zgina ku mej kibici, by ją uściskać w ramionach.

— Ale mi mówi moje zwierciadło, że mi tak pięknie w płacznej postaci; więc ja się kłonię, więc ja tak płaczę! — Kto wie?

Może ja na prawdę płaczę!!

Bo to jest męka drzeć tak o niego, bo to okropnie kochać nie sama; bo to okropnie nie mieć prócz niego nic a nic na świecie!

— Słuchajcie dobrze — pustą dziewczynę on skochał, sercem polubił i jej powiedział za pierwsze słowo:

— Ty będziesz moją na zawsze!

I wierzyła pusta dziewczyna; ciepłe swe niebo, piękne salony, zabawy świetne, wszystko rzuciła dla niego i tu zjechała, gdzie jej nikt z ludzi znajomem okiem nie wita; lecz ona o to ani pyta, bo w nim świat cały, matkę i braci i swe uciechy i swe zabawy zgubiła.

Jakże nie płakać, na co udawać?

— Chyba udawać można wesołość.

Ale niebodze, co w nim ma wszystko, gdy jej to wszystko ktoś poniewiera, jakże nie płakać — powiedzcie!

Pogonią za nim, pieszo za nim w błocie i płaczu, w trwodze i żalu biednam sierota gonila!

A on nie przyjął, ni mnie przycisnął, ani dał poznać że kocha!

I zmilknęła Lully, prawdziwie płacze!

August, co dotąd stał niewzruszony, co się z początku jej przysłuchiwał niby dorywco i bez uwagi, zerwał się teraz młodziennym skokiem, podbiegł aż do niej, a Lully — Lully płacząc rzuciła mu się w ramiona.

Zdrętwiała Grabowska!

W jej oczach rywalka w objęciach króla; w jej oczach król ścisła przeciwniczkę, całuje, pieści!

I świadek, ja świadek, stałem jak wryty w tej sali!

Pocieszona i spieszczona podnosi zwolna głowę z królewskiego ramienia, a obracając głos do Grabowskiej, rzekła jej na pół z uśmiechem:

— A tajemnica takiej potęgi oto jest: kochać tak jak Francuzka, goniąc kochanka choćby po błocie, choćby w objęciach rywalki i z nim uciekać, nie prawda królu? Choćby od świata korony!

— Uciekać? uciekać? — O paunie! to nie myśl wasza! To tej szalonej głowy!..... W dziejach twojego domu nie ma u królów takiej myśli! — Daruj mi, panie! Przebacz mi królu, ale krok hańby.....

— Krok Henryka Walezego — odparł Stanisław poważnie. Ja w nim hańby nie widzę.

— Uciekać! opuścić! — woła Grabowska. — Czyście wy o tem myśleli? — Nie chodzi o mnie, ja u Was mało; ależ tron niechaj zaważy!

— Oni cię na nim zabiją! szepce Luly.

— Oni cię gonić będą! woła Grabowska.

— Ucieknijem chyżo.

— Dogonią!

— Ja cię ocalę! Ja cię ukryję, przebiore, ukryję!

— Nie ocalisz! Nie nwieziesz! Ja wydam....

— Kogo? Jego? Króla, kochanka wydasz? — Ha, ha! Polka! chce króla wydać! Ha, ha! Kochanka chce śmierci lubego? — Piękna miłość, piękna cnota kochanki Polki!

W tem z poza muru gruby głos nieznanego przerwał śmiejącej Luly.

Poskoczyliśmy do okna i głupowata, wszystkim nam dobrze znajoma postać Jacusia, publicznego trefnisiu Warszawy uderzyła każdego w oczy! ⁶⁾

Zainstalował się pod oknem, musiał tam nocować niepostrzeżony, gdyż w tej chwili tuląc się mocno w łachmanisty swój płaszcz, podskakiwał całą siłą do góry, bijąc hołubca

dla rozgrzania, i śpiewał sobie własnym krojem krakowiaki, którymi tak obrzucił Warszawę.

Głos jego śpiewu waryacki, podpily, miał coś strasznego w sobie i dziwnego:

1.

Oj, hulajcie dzieci! bo hula babula!
Oj, hulaj Jacusiu! bo Warszawa hula!

2.

Tam dzwoneczki dzwonią, tam dzwoni i kula...
A Jacuś się śmieje, bo Warszawa hula!

3.

Oj, ja tam polecę, wezmą mię za króla!
Jacuś się nie boi gdy Warszawa hula!

4.

Na kamiennym moście, patrzcie na dziadula!
To król Polski, to Sobieski na Turczyńie hula!

5.

I ja też w tej dobie, jak królaćko zrobię!
Skacz Sobieski, królu lepski i ty Jacuś sobie!

6.

Oj hulajcie dzieci! bo hula babula!
Oj hulaj Jacusiu! bo Warszawa hula!

7.

U mojego króla Grabina i Lula,
A dla Jacka święto placka gdy Warszawa hula!

I ku Warszawie skrzyżował ręce, to znów w poskoku ku ziemi się czai, jakby bił pokłonem do okien Łazienek; pierś mu coraz mocniej dysze, z ust rozgrzanym skokiem, para dymem się wali; a on wciąż się kręci, wciąż klania ku królewskiemu oknu i słyhać już tylko z zasapanych piersi czasem nieznacznie

. hula! babula!
 bo Warszawa hula!

Dziwny ten obraz pijackiego tańca i ten śpiew Jacusia był jakby pożegnaniem miasta, przyniesionem królowi do Łazienek przez posłannika, trefnisia ludu.

Łachmany skaczące w takt dzwonów, śpiew dyszący całą głupowatością i ironją mazurską, piana wódki i piana szalu, co mówią o hulance miasta, dygotanie członków z zimna i wpychanie się w łachmany, co mówią o nędzy, wszystko to stanęło w oczy Stanisława, żegnając go językiem prawdy i szczeroty.

Nic nie brakło, nawet poezyi, którą tak król lubował; ale tym razem z ust Jacusia, nie sadzonym Naruszewiczowskim lała się rymem.

Gorzko się zamyślił Poniatowski, nad przeszłością pewno, bo wciągnięte rysy jego oblicza i ten wzrok zamglony, co jakby ściekł w głąb duszy, nie o przyszłość się kłopoce!

Wszystko mu znikło z pamięci.

Jeden Jacuś ciągle tańczy, śpiewa i tupa!

Jedna przeszłość królowi się wije, śpiewa o nim i tupa na niego.

A Lully swarzy z Grabowską:

— O! patrzaj to ich trefniś! Może go do ciebie wysłali, pani kasztelanowo! — W toalecie poseł i z dobrą mimiką! On śpiewa, dowcipkuje, może go podkanclerzy zdworaczył? Możeście go nuty uczyli w waszym pustelnicznym domku? — Gra i muzyka cudowna.

— Jak na pożegnanie stósowna! odgryza Anna — I przy tryumfalnej ucieczce waszej w miejscu trąb i kotłów niechaj wam służy jego piosenka!

A w tej chwili jakby zmówiony Jacuś znów głośniejsze śpiewa :

O! ja tam polecę, wezmą mię za króla...
Jacuś się nie boi gdy Warszawa hula!

Ucina, staje, głowę obrócił ku alejom, rozśmiał się i wskazał palcem.

A tam zdaleka widać tłum jakiś jak czarna plama, między dwoma rzędami topoli wałęsający się, bo woda się usuwa.

To oni!

Czołem widać kilkunastu konno — lecz i ci trzymają się tłumu, nie goniąc przodem.

Lully zakrzykła, porwała króla za rękę, wybiegła z nim w przedsień! Kareta! Kareta! woła, wskakuje, trzymając ciągle za rękę króla Stanisława i ciągnie za sobą.

Czy dojrzeli ruch i osobę króla idący od miasta, czy też w istocie pochód ich był tak prędkim, ale my o nim zdania sądzić nie mogli, dość że król nie uspiął drugiej nogi w stopień karety założyć, gdy trzask i tentent koni wyrwały się razem z tłumu i jednym skokiem otoczono karete.

Zemdląca Lully; król nie spokojniejsze zwrócił się do drzwi pałacu i z otaczającym go tłumem wszedł do sali.

W tłumie Grabowska gdy zoczyła podkanclerzego nie wraca już do pałacu, ale czem prędzej siada do karety obok zemdlonej, drzwiczki zasuwają i na woźnicę woła:

— Spiesznie do Czerniakowa!

Po półgodzinnej jeździe Luly przychodzi do siebie, trzęsiona powozem budzi się, przeciera oczy, patrzy obok i pyta:

— Gdzie jestem? —

— W karecie. —

— Gdzie król? —

— Któż tutaj? —

— Ja — odpowiada Grabowska.

— Ty Anno? —

— Boże cóż zamysłasz? — i chwyta ją gwałtownie za rękę.

— Nie, duszo! — Chciałaś się przejechać, jechałyśmy; teraz wrócić możemy już po przyjeździe. —

Dano rozkaz; wracają do Łazienek, już tam króla nie było. — Jadą na zamek; na Zamku jak dawniej cicho, spokojnie; tylko na Krakowskim Przedmieściu i Świętokrzyskiej ulicy konie musiały zwolna przechodzić, bo tłum był wielki a w niektórych miejscach obie damy słoniły twarz chustką, bo błoto było bardzo czerwone!



PRZYPISKI.

- 1) Mowa tu o porwaniu Stanisława przez konfederatów i o scenie w marymonckim młynie, kędy Kuźma miał być wybawcą króla.
- 2) Domysły i szczegóły nagłej śmierci prymasa opowiadał historycznie i wiernie.
- 3) Własne słowa królewskie, kędy doń przyszły władze miejskie z oświadczeniem: że Igelstrom ino królowi chce się poddać.
- 4) Jan z Tęczyna dał się slyszec (jak mówi Orzechowski) „iż wolalby Solimana widziec na tronie polskim, niż Barbę.“
- 5) Któraś dworska zapytana od Ludwika XIV. kędy wchód do jej alkowy: „Droga do niej, N. Panie, odrzekła, przez kościół.“
- 6) Warszawa miała woncezas trefnisia swego; siadał on najczęściej w bramie saskiego ogrodu i zagabywany, dowcipnemi odśpiewywał krakowiaki; podobno zwał się Jacuś,

jednak za historyczność nazwy nie ręczę. Za mojej pamięci równym przedmiotem ciekawości i żartów miejskich był — cio, pół-warjat, mający niekiedy przy karykaturycznej mimice i chwile pociesznych żarcików.

